

AHSAN RIDHA HASSAN

TRUPOJAD  
*i dziewczyna*

 GENIUS  
CREATIONS

Ahsan Ridha Hassan

Trupojad  
i dziewczyna



## **Trupojad i dziewczyna**

Copyright © Ahsan Ridha Hassan

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017

druk ISBN 978-83-7995-077-5

epub ISBN 978-83-7995-078-2

mobi ISBN 978-83-7995-079-9

Redakcja: Marcin Kiszela

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: Studio Grafpa, [www.grafpa.pl](http://www.grafpa.pl)

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

## **Table of Contents**

Prolog

Rozdział I Pani Klątwa Rozdział II Chowaniec Rozdział III Głupi Anioł Rozdział  
IV Dale Rozdział V Konsyliarz Rozdział VI Opętana Rozdział VII Uczennica  
Śmierci Rozdział VIII Sanie Kostucha Rozdział IX Król Myszy Rozdział X  
Vermisyta Rozdział XI Septimus Rozdział XII Trupojad

Epilog

## Prolog

Nie było najmniejszych wątpliwości – na torze siedział dostojnie czarny kot i obserwował pędzącego z prędkością błyskawicy czerwonego gokarta. Nawet nie zamierzał się ruszyć. Adrianna nie miała czasu na wahanie, to był odruch. Odbiła kierownicą w prawo, minęła wciąż spokojnie obserwujące ją zwierzę, a reszta była już tylko kłębowiskiem myśli i obrazów utrwalonych w klisze.

Klisza pierwsza: Adrianna widzi biało-czerwoną bandę, napina wszystkie mięśnie, wie, że zaraz uderzy w osłony z całym impetem, a jedyna myśl, jaka jej w tym momencie przychodzi do głowy, brzmi: *jak ja namówię rodziców, żeby dali mi pieniądze na naprawę gokarta?*

Druza klisza: szarpnięcie i zdziwienie, kiedy pojazd przebija biel ściany.

Klisza ostatnia: rozdarcie metalowego przepierzenia, zgrzyt gnącego się metalu, gwałtowne przechylenie w dół i nagle zbliżający się asfalt. *Tylko nie głowa, tylko nie moja głowa!*

Ciemność.

Przebudzenie, ułamek świadomości, pierwszy silny impuls (*oko, to chyba oko*), urwany oddech, ślina zmieszana z krwią, a potem... To, co następuje, wymyka się opisowi. Erupcja bólu. Ze wszystkich stron. Z każdej części nóg, rąk, palców, kręgow, czaszki, płuc, miednicy, bioder, kolan, stóp, żeber, nosa, skóry... Adrianna nie słyszała swojego jęku.

Ciemność pełna czerwonego bólu.

A potem zobaczyła coś zupełnie innego.

\*

### **Myśliwy był martwy!**

Dziewczynka w czerwonym kapturku biegła przez mroczny las. W dłoni ścisnęła kryształową fiolkę z Esencją, która rozświetlała drogę. Esencja migotała bladozłotym blaskiem jak świetlik w noc letniego przesilenia i odsłaniała przed dziewczynką krętą ścieżkę prowadzącą w głąb lasu, na polanę, na której stała chata Staruchy.

Dziewczynka biegła ile sił w nogach. Ledwo łapała oddech, pod jej świńskim noskiem pojawiły się kropelki potu. Nie mogła się jednak zatrzymać. *To ją doganiało.* Kątem oka widziała cień monstrum: ostre kły, nastroszoną szczecinę wyrastającą z nagich pleców. Cień prześlizgiwał tuż obok, za starymi drzewami, poza zasięgiem światła. Wiedziała, że chce ją pożreć, ale wcześniej wyrzuci jej krzywdę.

Czemu nie posłuchała matki?!

– Lilko, to obżarstwo kiedyś cię zgubi! – Groziła jej palcem rodzicielka. – Nosisz szkarłatny strój, podobnie jak wszystkie twoje starsze siostry. To olbrzymie zobowiązanie. Już teraz wyglądasz jak mały prosiaczek, a to dopiero początek przemiany. Matka Przeorysza z łatwością się dowie, że nie posiadasz cnót właściwych dla Szkarłatnych Panien i cię wyrzuci!

Lilka nie przejmowała się przemowami matki. Do niedawna. Zauważyła, że od momentu kiedy wstąpiła do Klasztoru, a Esencja zgęstniała, ona sama zaczęła się zmieniać. Łakomstwo przyspieszało tę przemianę: ciało stało się pulchniejsze, palce zaczęły przypominać serdelki, stopy stopniowo zmieniały się w racice, a na twarzy pojawił się ryjek. Kilka razy przy jedzeniu nawet chrumknęła.

Zgubiły ją maślane placuszki.

Matka przygotowała je w podzięce dla Przeoryszy, wrzuciła do wiklinowego koszyczka, przykryła haftowaną serwetą i zabroniła Lilce uszczknąć chociaż kęs. Lecz kiedy tylko dziewczynka opuściła miasto, zboczyła ze ścieżki, zaszyła się w opuszczonym młynie, zeżarła wszystkie placuszki i zasnęła. Obudziła się wieczorem. Wiedziała, że po zmroku wychodzą na świat błędne ogniki, demony, upiory i inne Istoty Nocy. Dopóki szła w świetle wiszących nad miastem latarń, czuła się bezpiecznie, ale kiedy zagłębiła się w knieję...

Był późny wieczór, nad drogą unosiły się kłęby wilgotnej mgły. Nagle ścieżka rozwidliła się, a na rozstaju wyrósł martwy dąb. Jego kora była czarna i śliska, a poskręcane gałęzie pozbawione liści. Przed drzewem, w błocie, leżała kusza z mosiężnymi zdobieniami w kształcie jelenich głów. Na grubej gałęzi powyżej wisiało ciało myśliwego. Oczy przekłuto mu patykami, na klatce piersiowej wydrapano plugawe symbole. Karykaturalnie wydęty brzuch zszyto grubą nicią.

Lilka wybałuszyla oczy w przerażeniu. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że światło latarń już do niej nie sięga.

— Pomóż... – jęknął myśliwy.

I nagle nic pękła, uwalniając ukryte w brzuchu myśliwego kamienie.

Coś zachichotało w krzakach, a śmiech szybko zmienił się w charczenie.

Lilka odrzuciła pusty koszyczek i zaczęła biec.

I nie zatrzymała się ani na chwilę. Aż do teraz. Upadła na ziemię, krztusząc się śliną i powietrzem. Nie miała już siły. Zsunęła czerwony kapturek do tyłu, na jej ramiona spłynęły złote loki.

Bała się, że *To* zaraz wyskoczy z lasu, rzuci się na nią i okrutnie skrzywdzi, a potem pożre. Ale nic się nie stało. Kiedy złapała oddech, podniosła głowę i rozejrzała się. Nic. Tylko wysoka ściana drzew, za którą kryła się nieprzenikniona, głucha ciemność, zaś nad nią jaśniały zimne i odległe gwiazdy. W oddali zahukała sowa.

Lilka podniosła się i rozejrzała raz jeszcze. Przed sobą na łańcuszku trzymała kryształową fiolkę z Esencją, która migotała bladozłotym światłem. Żaden kształt nie wyłonił się z mroku. Dziewczynka czuła, że *To* czai się gdzieś między drzewami, knuje, jak ją porwać w ciemność. Ale jej nie zaatakuje, bo zostało przez coś powstrzymane.

Kiedy obejrzała się przez ramię, zrozumiała, co odgoniło *To*. Niedaleko ścieżki paliło się ognisko, dobiegał stamtąd gwar rozmów. Rozróżniła kilka niskich, męskich głosów. Lilka zgubiła się na dobre, postanowiła więc przysiąc się do ogniska, a rano, kiedy ciemność, mgła i Stworzenia Mroku wreszcie odejdą, odszukać ścieżkę prowadzącą do Klasztoru.

Ruszyła w stronę ogniska. Kątem oka dostrzegła kryte wozy załadowane skrzyniami ze złotem oraz śpiące na stojąco kuce. Wokół ogniska siedziało siedmiu niskich mężczyzn. Karły. Rozmawiały żywo w swojej mrukliwej mowie, piły piwo z dębowych kufli, ćmiły fajki i jadły soloną wieprzowinę. Ogień rozświetlał ich brudne twarze, gęste brody i ostre zęby.

Dziewczynka w czerwonym kapturku poczuła, że nie jadła od bardzo dawna i dopadł ją straszny głód. Miała nadzieję, że niscy ludzie podzielą się z nią jedzeniem.

Weszła w krąg światła i przywitała się. Widząc dziewczynkę, karły umilkły. Wymieniły między sobą chytre spojrzenia, kiwnęły zdawkowo głowami, a jeden z nich wstał. Miał czarną brodę i czerwoną czapkę przekrzywioną na bok. Zachęcił Lilkę, żeby do nich dołączyła.

Wyglądały przyjaźnie, pomyślała więc, że na pewno obronią ją przed atakiem złej istoty z lasu.

Usiadła na pieńku między dwoma z nich i zaczęła opowiadać o sobie. Karzeł z czarną brodą, w czerwonej czapce na głowie, uśmiechnął się do współtowarzyszy.

Błysnął kiel.

## Rozdział I

### Pani Kłątwa

Niebyt. Nieczas. Nieból.

Niespodziewanie wszystko się zmieniło. Jakby ktoś podłączył wtyczkę do kontaktu – zasilanie wróciło.

Zmysły zaczęły pracować, przypominać sobie błyskawicznie swoje role: słuch do dźwięków, węch do zapachów, czucie do dotyków, smak do smaków, ból do bólu. Adrianna zaczęła odzyskiwać świadomość.

Z początku była całkowicie zdezorientowana. Jakby ktoś wybudził ją z pozbawionej snu pustki. Doświadczała przy tym niezliczonej ilości odczuć naraz, rozpaczy i euforii, radości i smutku. *Pstryk!* Nagle wszystko, jak za ucięciem noża, zawęziło się do kilku wyostrzonych zmysłów.

Najpierw odezwał się odległy ból. Adrianna nie była do końca świadoma, skąd pochodził – trochę z głowy, trochę z nóg, trochę z kręgosłupa i rąk. Ból to przybliżał się, to znów oddalał. Dziewczyna wiedziała, że leży na czymś miękkim, w zamkniętym pomieszczeniu.

Węch, smak i słuch wróciły mniej więcej jednocześnie:

– ...budzi się, zawołajcie lekarza...

W ustach smak kredy i wapna.

– ...Bogu niech będą dzięki...

W nozdrzach zapach powietrza z ostrą nutą lizolu, kreoliny albo innego środka dezynfekującego. Pachniało szpitalem.

– ...proszę na chwilę opuścić salę... jej stan jest wciąż niestabilny...

– ...nie płacz przy ludziach...

Wróciły strzępy pamięci, wrócił tor. Adrianna próbowała przywołać inne wspomnienia, lecz tępy ból nie pozwalał na głębszą koncentrację. Nie mogła się ruszyć, czuła, jakby miała ciało z waty. Szczególnie nogi. Podjęła wysiłek. Lewa powieka ani drgnęła, była jakby sklejona. Prawa jednak otworzyła się i zmysł wzroku znów zaczął działać.

Najpierw oślepiła ją jasność, którą po chwili zastąpiły inne kolory: szarość, czerń, matowa żółć i punkcik czerwieni. Kolory szybko wypełniły rysujące się kontury kształtów, a czerwony punkcik stał się ustami. Potem z jasności wyłonił się owal twarzy, kasztanowe włosy i ciemne oczy.

– Adrianno, jeżeli mnie słyszysz, mrugnij – zabrzmiał łagodny kobiecy głos. Dziewczyna mrugnęła. – Świetnie. Przedstawię się – nazywam się Katarzyna, jestem twoją lekarką. – Adrianna próbowała spytać, co się stało, ale spomiędzy jej



warg wyszła tylko bańka śliny. Lewe oko momentalnie zaatakował ból; napięła mięśnie. – Spokojnie, moja droga – mówił delikatny, acz stanowczy głos, a w jasności błysnęła igła strzykawki. Wszystko zaczęło się rozmazywać. – Miałas nieszczęśliwy wypadek, ale wszystko jest już dobrze. – Głos oddalał się. – Dostałaś właśnie środki przeciwbólowe. Twój organizm musi się zregenerować. Jesteś silną dziewczyną, poradzimy sobie. – Zaczęła odpływać. – A teraz śpij, Adrianno, zaśnij. Zasnęła.

\*

Wybudziła się łagodnie, nie pamiętała snu, nie miała pewności, czy w ogóle śniła. Wydawało jej się, że leży w swoim łóżku w niedzielny poranek. Mama woła ją na śniadanie, a ona odpowiada: zaraz przyjdę, po czym zawija się szczelniej w kokon kołdry i obraca na drugi bok. Jest przytulnie i bezpiecznie, nic złego się nie wydarzyło.

Kiedy Adrianna otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, że to wszystko było złudzeniem. Wszystko poza matką, która czuwała przy jej łóżku.

– Córeczko. – Chwyła dłoń dziewczyny i chciała coś jeszcze powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle.

– Mamo... – wychrypiała Adrianna, nie poznając swojego głosu. – Ja nie chciałam... Tak bardzo mnie boli...

– Już dobrze. – Oczy kobiety zaszkliły się, a dolna warga zadrżała. – Wszystko będzie dobrze.

– Jestem strasznie zmęczona – powiedziała dziewczyna cichym głosem i poczuła, jak pulchne palce matki zaciskają się na jej dłoni. Była bardzo słaba. Przymknęła oczy. Kiedy otworzyła je ponownie, przy łóżku była również pani Kasia. Adrianna zobaczyła, jak lekarka wstrzykuje coś do kroplówki. A potem wszystko się rozmyło, ucichło i zgasło.

\*

Kiedy się ocknęła, w pomieszczeniu było zupełnie ciemno i pusto. Jedynym wyraźnym przejawem rzeczywistości wydawał się drażniący nos zapach lizolu. Ale było coś jeszcze... coś niepokojącego.

Przebudziła się na chwilę, wiedząc, że zaraz znowu zapadnie w sen. Zdawała też sobie sprawę, że jest tak nafaszerowana środkami przeciwbólowymi, morfiną czy czymś podobnym, że nie tylko nie czuje żadnego bólu, lecz nawet nie może się poruszyć.

Nim zamknęła jedyną sprawną powiekę, dostrzegła coś jeszcze – cień. W mroku mały ciemny kształt krążył wokół jej łóżka, powoli i z gracją.

Powieka opadła wolno, a wraz z nią opadła czarna kurtyna.

\*

Tym razem było zupełnie inaczej.

Czuła się zdecydowanie lepiej. Nogi dalej miała jak z waty, a lewą powiekę zaklejoną, ale reszta zdawała się w porządku. W całym ciele czuła przyjemne mrowienie. Mogła też obracać głową bez większego wysiłku. Spróbowała podnieść rękę, ale od razu pojęła, że to wciąż ponad jej siły.

Postanowiła rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Po lewej stronie, między ścianą a łóżkiem, dostrzegła stojak z kroplówką. Od kroplówki odchodziła rurka, którą krystaliczna ciecz płynęła wprost do jej ramienia. Nieco dalej, w głębi pomieszczenia, znajdowało się duże odsłonięte okno. Za oknem – kasztan i niebo. Adrianna skierowała wzrok w stronę swoich stóp. Na kołdrze, którą była przykryta, leżały jej ręce. Prawą dłoń miała owiniętą bandażem. Nieznaczny obrót w prawo: puste szpitalne łóżko, uchylone drzwi na korytarz, krzesło, na którym leżała kolorowa gazeta o modzie i wisiała czarna dziewczęca torebka oraz jesienny płaszcz w czerwonej kratę; tuż przy łóżku stał metalowy stolik z misą pełną owoców i z wazonem świeżych słoneczników.

Hmmm, pomyślała Adrianna. – Płaszcz w czerwonej kratę, „Elle” i świeże słoneczniki. To może być tylko...

Od strony drzwi rozległ się dziewczęcy pisk.

– ...Agnieszka.

– Nareszcie, Aduś! Obudziłaś się! – Szczupła blondynka od razu podbiegła do łóżka i objęła Adriannę najdelikatniej, jak potrafiła. Zapachniało rumiankiem. Znowu zmieniałaś szampon, pomyślała Adrianna.

– Nie tak mocno, bo mnie połamiesz...

– ...jak się cieszę... Mówili, że może już nigdy... – Dziewczyna poczuła mocniejszy uścisk i wilgoć na szyi.

Agnieszka odsunęła się na długość ramienia i popatrzyła na Adriannę zielonymi, szklistymi oczami. Kilka łez spłynęło po piegowatych policzkach. A potem przybliżyła się i pocałowała ją w usta. Młodzieńczo, namiętnie.

Adrianna lekkim ruchem głowy przerwała pocałunek; bała się, że zaraz wejdzie matka albo ojciec, a może pani Kasia albo ktokolwiek inny. I je nakryje.

Agnieszka zrozumiała. Usiadła na skraju łóżka i chwyciła jej dłoń, delikatnie.

– Tęskniłam – powiedziała cicho.

– Ja też.

– Jak się czujesz?

– Mam straszny mętlik w głowie – zaczęła Adrianna. – Ciała nie czuję

prawie w ogóle, to chyba zasługa tej kroplówki... Możesz... Możesz mi powiedzieć, co się właściwie stało?

– Miałaś wypadek – powiedziała Agnieszka i umilkła. Po jej policzkach znów popłynęły łzy.

– Poważny? – spytała spokojnie Adrianna. Blondynka pokiwała głową. – Aga, daj spokój. Wiesz, że twarda ze mnie sztuka – zaczęła zawadiacko. – Nie rozklejaj się i opowiadaj wszystko. Bo znowu zasnę – pogroziła.

Agnieszka pociągnęła nosem. Opanowała się.

– No dobrze... Wyleciałaś z toru kartingowego.

– Tyle pamiętam.

– Podobno nagle straciłaś panowanie nad gokartem i uderzyłaś w bandę z taką prędkością, że wypadłaś z toru, przebiłaś blaszaną ścianę i poleciałaś jedno piętro w dół. Aż na parking.

– Coś sobie przypominam – Adrianna powiedziała ni to do niej, ni do siebie. – Mocno oberwałam?

– Podobno... – Aga pociągnęła nosem. – Podobno to cud, że przeżyłaś.

– Eee, aż tak źle nie może być. Jak długo tutaj leżę – trzy dni? Tydzień?

Agnieszka spojrzała na nią szklistymi, zielonymi oczami.

– Ponad miesiąc byłaś w śpiączce.

\*

Chwilę później pojawiła się matka. Minęła Agę w drzwiach, mówiąc: – Dzień dobry słon... – Ale kiedy tylko zobaczyła, że córka jest świadoma, od razu dopadła do niej, tuląc ją do piersi, szlochając i dziękując Niebiosom. Na szczęście to nierozważne tulenie nie uszkodziło Ady jeszcze bardziej, choć miała wrażenie, że matka poprzemieszcza jej wszystkie kości. Bezbronna wobec fali uczuć, Adrianna też się rozplakała. Nie trwało to jednak zbyt długo, bo zaraz weszła pielęgniarka.

– Pani Zofio – powiedziała stanowczo. – Proszę oszczędzać córkę, nie połamaj jej, łaskawie, jeszcze bardziej.

Matka, z wciąż przyciśniętą do piersi Adą, spojrzała na blondynkę jak lwica broniąca młodego przed napastnikiem, ale szybko się opamiętała. Pociągnęła nosem, ostrożnie ułożyła córkę na łóżku i otarła łzy.

– Dobrze.

– Pójdę po panią doktor – dodała pielęgniarka i zniknęła.

Na chwilę zapanowała cisza.

– Kiedy się obudziłaś?

– Niedawno. Jak Aga przyszła mnie odwiedzić.

– Agnieszka, bardzo fajna dziewczyna. – Matka Adrianny zaczęła swój

monolog. W chwilach wielkiego stresu zawsze mówiła dużo i przeważnie bez sensu, to ją uspokajało. Ada przywykła. – Tak, tak, cieszę się, że masz taką koleżankę. Zawsze miła, kulturalna, uśmiechnięta, cały czas przychodzi pomagać ci w rozwiązywaniu zadań domowych. – Ona nadal się nie domyśla, wynioskowała Ada, dobrze, niech tak zostanie. – No i codziennie była przy tobie. Bardzo wszystko przeżywała, to jest prawdziwa przyjaciółka, skarb jakich mało, moja córciu. Ceń ją sobie, naprawdę możesz na niej polegać. Boże, jak ona się martwiła, gdy tylko się dowiedziała, jako pierwsza przybiegła...

– Witaj, Adrianno. – Lekarka weszła niepostrzeżenie do sali i przerwała monolog matki. – Jak się czujesz?

– Dziękuję. Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku.

– Nie masz żadnych zawrotów głowy, nudności, nic cię nie boli? – wypytywała dalej tamta, zakładając słuchawki lekarskie. Miała lśniąca kasztanowe włosy i grzywkę. Jest bardzo ładna, pomyślała Adrianna.

– Nie, proszę pani. – Zastanowiła się. – To znaczy... Ogólnie czuję się dobrze, z głową chyba wszystko w porządku. Poza lewym okiem. No i mam problemy z unoszeniem rąk. Czuję je, ale podniesienie ich wymaga strasznie dużo wysiłku. A nogi... Czemu są jak z waty?

Pani Kasia przyłożyła metalową końcówkę słuchawek do piersi dziewczyny.

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę, a teraz oddychaj głęboko. – Ada posłuchała. Po kilku wdechach i wydechach pani Kasia zapisała coś w notatniku, który nosiła w kieszeni białego kitla, a potem znowu pokręciła przy kropłówce. Następnie stanęła nad Adrianną i włożyła ręce do kieszeni. Zupełnie na luzie. Wyglądała na młodą, acz doświadczoną lekarzkę.

– Powiem wprost – zaczęła po chwili namysłu, a jej głos nie brzmiał już jak głos miłej pani Kasi, a raczej jak głos weterana medycyny, który opiekował się tysiącami pacjentów i w minutę może postawić precyzyjną diagnozę. Przywodziła teraz na myśl skalpel – zimny i połyskujący. – Wskutek wypadku zapadłeś w śpiączkę, miałeś wstrząs mózgu, uszkodziłaś lewe oko. Jesteśmy w stanie je odratować, ale w tym momencie nie możemy zagwarantować, że odzyskasz pełną sprawność. Poważnie złamałaś prawy nadgarstek, kilka drobnych kostek uległo przemieszczeniu. Złamałaś również palec wskazujący i serdeczny, ale prawa dłoń jest już po operacji, wszystko powinno być dobrze. Niestety najbardziej ucierpiał kręgosłup i prawdopodobnie czeka cię bardzo długa rehabilitacja, zanim odzyskasz czucie w nogach i zdolność chodzenia.

– Ile to może potrwać? – Do Ady dopiero zaczęło docierać, co powiedziała lekarka. Była pod wpływem silnych leków, więc nie zareagowała tak, jak zareagowałby każdy, kto usłyszał, że może stracić zdolność chodzenia oraz mieć do końca życia problemy z widzeniem na lewe oko.

Pani Kasia milczała. Spojrzała na matkę, która w napięciu oczekiwała na

werdykt, a potem na Adę.

– Od sześciu miesięcy do trzech lat. – Dziewczynę zamurowało. – Ale spokojnie, dziecko, wszystko będzie dobrze. A teraz spróbuj zasnąć. – Pokręciła znowu przy kropłowce i nim Adrianna zdążyła zaprotestować, poczuła, jak całe jej ciało się rozluźnia, a ona odpływa.

Ostatnim, co zapamiętała, był szloch matki.

\*

Wieczorem, jak tylko Adrianna odzyskała przytomność, pojawił się ojciec. Tadeusz wyglądał jak zwykle: ciut za duża koszula włożona w jeansy, krawat i krzaczasty wąs. I jak zwykle wydawał się zmartwiony i przybity. Ada nie miała z nim zbyt wielu wspólnych tematów do rozmowy. Kiedyś bywało ich więcej, ale odkąd kilka lat temu Zbyszek, wspólnik ojca, narobił paskudnych długów w ich firmie remontowej i zostawił go na lodzie, Tadeusz zmienił się. Kiedyś był energiczny, pełen życia. Niestety, spłacanie długów i podejmowanie przez lata kolejnych nieudanych przedsięwzięć przytłoczyło go. Po powrocie do domu zazwyczaj siadał w fotelu i tylko milczał, niekiedy jeszcze czytając gazetę. Zamiast rozmawiać, głośno przeklinał złośliwych urzędasów, zakłamanych polityków, chciwą skarbówkę albo zagraniczne korporacje, wysysające siły vitalne z polskiej gospodarki. Ada przyzwyczała się do zachowania ojca. Nieraz chciała mu przerwać te monologi, powiedzieć, że już o tym gadał i że powinien spróbować jeszcze raz stanąć na nogi. Ale on nie potrafił. Odnosiła wrażenie, że gniewne monologi były jego jedyną osłoną przed paralizującym żalem i bezradnością. Granicami. Dlatego nie przerywała mu, potakując tylko i rozmyślając o swojej sytuacji.

– ...ta nowelizacja VAT-u od pierwszego stycznia to jakiś idiotyzm. Wyobrażasz sobie, jak będę wystawiał faktury z dniem wykonania zlecenia, a nie pod koniec miesiąca, jak do tej pory? Stracę kolejnych kontrahentów... – Może to z jego powodu zaczęłam interesować się dziewczynami? – ...Te stare ubeki i komuchy szukają sposobu, jak nam, uczciwie pracującym przedsiębiorcom, bardziej uprzykrzyć życie. I w ogóle nie zwracają uwagi na to, że nie możemy sobie wziąć urlopu, bo córka miała wypadek, tylko cały czas, całe życie pracować na ZUS, podatki... – Kobiety są silniejsze. – ...Krew mnie, córciu, zalewa, jak oglądam czasem obrady sejmu. U Perliczka, tego, co prowadzi z synami zakład mechaniki samochodowej, jest podobnie. Wiesz, co mi ostatnio powiedział? – Spojrzał na nią zaferowanym wzrokiem.

– Co, Tadeuszu? – Zawsze zwracała się do ojca po imieniu.

Wciągnął powietrze i już miał wyrzucić to z siebie, gdy akurat weszła pielęgniarka.

– Bardzo mi przykro, koniec wizyt na dzisiaj.  
Ada odetchnęła z ulgą.

\*

Od momentu całkowitego wybudzenia minęło kilka dni.

Agnieszka odwiedzała Adę codziennie. Wpadała przeważnie zaraz po szkole albo wieczorem, po lekcjach muzyki (chciała zostać wiolonczelistką). Zazwyczaj przemyślała masę opowieści ze szkoły oraz – jeśli nikogo nie było w pobliżu – pocałunek w usta lub w płatek ucha. Dobrze było poczuć skok adrenaliny po długich godzinach szpitalnej nudy. Jak tylko do Agnieszki dotarło, że stan Ady jest już stabilny, wspomniała o kilku rzeczach, jakie z nią robi, kiedy tylko ona wyjdzie ze szpitala. Adzie bardzo się to spodobało.

Codziennie przychodziła też matka, czasami z ojcem. Przyniosła jej telefon komórkowy, jednak w korzystaniu z niego przeszkadzały Adriannie dwie rzeczy. Po pierwsze nadal miała trudności z poruszaniem rękami. Czowała je, ale podniesienie którejkolwiek wymagało ogromnego wysiłku. Po drugie, poza Agą i rodzicami Ada nie miała nikogo bliskiego, no, może poza panią Anią, sąsiadką z góry, która raz wpadła z wizytą.

Rodzina Ady była jak archipelag silnie zatimizowanych, rozsianych po całej Polsce, Niemczech i Wielkiej Brytanii wysp. Szansę na zbliżenie dałoby chyba tylko przemieszczenie się płyt tektonicznych. Jak widać wypadek Ady nie został przez nikogo uznany za trzęsienie ziemi.

W szkole nie miała w ogóle znajomych. Dziewczyny jej nie lubiły, bo była chłopczycą, uczyła się miernie, a wszystkie jej zainteresowania koncentrowały się wokół sportu, co było zupełnie niezrozumiałe dla damskiego otoczenia. Na jej osiągnięcia sportowe koleżanki patrzyły z zazdrością. Ada była szczególnie dobra w biegu na pięć kilometrów, zdobyła kilka nagród w zawodach międzyszkolnych. To sprawiało, że choć pozornie były od niej ładniejsze, poza urodą niczym się nie wyróżniały. Przy Adzie czuły się jak śliczny, oszlifowany pustak. I to je irytowało. Gdyby koleżanki z klasy pały do Ady wyłącznie niechęcią, nie byłoby źle. Niestety dziewczyny były też bardzo złośliwe i rozpuściły w szkole brzydką plotkę na temat tego, co Adrianna zrobiła szkolnemu idiotcie – pseudonim Borsuk – w męskiej toalecie. Większość uważała, że jest to po prostu bzdurny dowcip, ale niesmak pozostał. Chłopcy z kolei nie przepadali za towarzystwem Ady, bo, jak słusznie zauważyła Agnieszka, hormony uderzyły im na dekiel i rozglądali się za wszystkim, co ma tyłek, cycki, seksowne ciuchy oraz odrobinę makijażu. Ada ubierała się raczej sportowo, nie używała podkładów ani szminek, była wąska w biodrach i – cytując złośliwych – płaska jak deska.

Jedynym wyrazem współczucia ze strony szkoły były kwiaty kupione za

pieniądze z komitetu rodzicielskiego. Wychowawczynie przekazała je w imieniu klasy. Kurierem.

Ada nie przejmowała się tym jednak, miała większe problemy.

Powoli zaczęła docierać do niej świadomość stanu, w jakim się znalazła. Wciąż nie wiedziała, co z jej lewym okiem. Według pani Kasi wszystko miało się wyjaśnić w ciągu tygodnia – dwóch. Było to zdecydowanie za długo, na dodatek Adzie coraz bardziej przeszkadzało to, że nie może otworzyć powieki.

Z rękami było nieco lepiej – lewą mogła już podnieść na kilka centymetrów, natomiast prawa przy każdym ruchu dawała o sobie znać silnym bólem. Najgorzej było z nogami – Ada w ogóle ich nie czuła. Zdawały się doszyte do jej ciała jak luźne nogawki spodni. Jakby powodów do zadręczania się było za mało, Ada musiała codziennie myć się i wypróżniać w towarzystwie pielęgniarek. Czuła się wtedy upokorzona nawet bardziej niż w dniu, kiedy dowiedziała się o złośliwej szkolnej plotce.

Na domiar złego jej stan znowu się pogorszył. Miewała raz na czas ataki gorąca i słabości. Raz nawet usłyszała, że może ponownie zapaść w śpiączkę. Spanikowała, ale niczego po sobie nie pokazała. Bała się, że zaśnie, że zostanie uwięziona w ciele młodej dziewczyny i obudzi się za czterdzieści lat, z brzuchem i bebechami starej baby. Minie jej młodość, czas rozkwitu. Zmarnuje życie. W trochę lepszym wypadku będzie kaleką, która nie będzie mogła uprawiać sportu. Ani seksu. Za dnia nie pokazywała, że boi się i jest zrozpaczona. Uśmiechała się do Agi i rodziców, starając się dodać wszystkim otuchy.

– Wyjdę z tego raz dwa – mówiła.

Za to nocą męczyły ją demony melancholii. Nie wystarczało już powtarzane jak mantra: Nie poddawaj się. Będzie dobrze. Nie poddawaj się. Będzie dobrze. Nie poddawaj się... Którejś nocy Ada po prostu się załamała i zaczęła ryczeć jak małe dziecko.

Wtedy nawiedził ją sen.

A wraz z nim przyszło coś jeszcze.

\*

Siedziała w czerwonym gokarcie, dłonie w rękawicach zaciskała na kierownicy, a stopę trzymała pewnie na pedale gazu. Właśnie wchodziła w zakręt. Czas zwolnił, wszystko rozmazywało jej się przed oczami jak smuga.

Adrianna wzięła głęboki oddech, wstrzymała powietrze i momentalnie ścięła zakręt. Wyprostowała na dłużej. – Uff, pięknie. Teraz kolejny. – Znowu mikrosekunda skupienia, głębszy oddech. Szuuuu! Weszła w kolejny zakręt z zawrotną prędkością. Ktoś nawet zaczął bić brawo. Ada nie słuchała, skupiała się wyłącznie na jeździe i na zrobieniu jak największej liczby okrążeń na

dwudziestominutowym karnecie. Właściciel toru znał ją od dawna i pilnował, by nikt inny nie jeździł, kiedy Ada była na torze.

– Ta dziewczyna pędzi jak sam diabeł – chwalił ją kiedyś przed znajomymi.  
– Kto wie, może będzie z niej jeszcze kierowca rajdowy.

Największym marzeniem Ady było zostanie kierowcą w rajdach WRC. Niestety, ten sport wydawał się zarezerwowany dla mężczyzn. I dobrze, pomyślała. Kolejne wyzwanie przede mną.

Wdech, koncentracja, szuuuu!, gokart zazgrzytał.

Zostało jeszcze kilkanaście sekund. Ada pragnęła zrobić o jedno okrążenie więcej niż ostatnio i pobić swój rekord.

Docisnęła mocniej pedał gazu, napięła wszystkie mięśnie, powietrze zaszumiało w nozdrzach. – Ostatnia prosta, zaraz zetnę skręt, potem kolejna prosta, skręt i pobiję rekord. Uda mi się!

Z szybkością błyskawicy pokonała prosty odcinek toru, z piskiem opon weszła w zakręt, adrenalina uderzyła jej do głowy. – Jeszcze tylko chwila i mi się uda!...

Na torze stał czarny kot.

Adrianna nie miała chwili na zastanowienie. To był odruch. Odbiła kierownicą w prawo, minęła wciąż nieruchomego kota, który z wolna obracał łebek w jej stronę, a wszystko inne... Wszystko inne zniknęło.

Najpierw poczuła lekkie szarpnięcie na szyi, jakby ktoś zakładał jej łańcuszek. Potem coś usiadło jej na piersi. Coś niedużego i ciepłego. Mruczało.

Spanikowana otworzyła zdrową powiekę. Zobaczyła, że na jej piersi siedzi czarny kot. Ten sam co na torze. Miał złote ślepie, przesywał ją mądrym spojrzeniem.

Dopiero teraz do Ady dotarło, co widzi. – Jak on się tu dostał? Zaraz pojawiła się druga myśl: była praktycznie bezbronna wobec jego pazurów.

– Psik! – Próbowwała ruszyć tułowiem. Nie udało się. – Psik, mówię! Spadaj, głupi kocie!

Kot siedział i nadal świdrował ją wzrokiem. Z widoczną rezygnacją wysłuchiwał obelg pod swoim adresem.

– Ech... To przez ciebie miałam wypadek. Gdybym tylko mogła ruszyć rękami, wyrwałabym ci ogon!

Kot nie zląkł się. Po kilku minutach wygrażania, psikania i prób zrzucenia zwierzęcia Ada poddała się.

– Dobrze, siedź sobie, głupolu. Ale jak spróbujesz na mnie nasikać albo mnie podrapać, to pożałujesz.

Kot wreszcie zareagował. Leniwie, ale zareagował. Zrobił klasyczny koci grzbiet, potem wyciągnął się w przeciwną stronę, wyprostował i znów spojrzał w jedyne zdrowe oko dziewczyny. Niespodziewanie uderzył ją łapą w policzek. Ada



odruchowo zamknęła powiekę. Zdawała sobie sprawę, że nie czuje bólu, kot nie podrapał jej więc pazurami. Nie mogła jednak otworzyć oka. Czuła na policzku miękką kocią łapę.

Nagle zaczęła zapadać się w mrok, jakby w siebie. Czuła podmuch zimnego powietrza i kocią łapę na policzku. A potem usłyszała głos, który należał do zwierzęcia:

– Obudź się teraz, nim będzie za późno. Przywołuję cię z tego długiego snu do świata, do którego należysz. Przebudź się i rozwiąż zagadkę. Do tego zostałaś stworzona. A twoje imię to Pani Klątwa.

Błysk jak wybuch bomby wodorowej.

## Rozdział II

### Chowaniec

Ada śniła, a przynajmniej wszystko na to wskazywało. Była w pełni sprawna. Stała na szczycie pagórka, spoglądając na skąpane w słońcu miasto. Po niebie leniwie sunęły białe obłoki. Ciepły wiatr musnął twarz dziewczyny i Ada odgadła, że musi być późna jesień. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że pagórek, na którym stoi, to słynny Kopiec, a w tym mieście spędziła całe życie. Ale wszystko, jak to w snach bywa, było nieco inne, bardziej tajemnicze i niepokojące. Najpierw Ada zwróciła uwagę na niezwykle soczyste kolory. Dostrzegła duże lampiony zawieszane nad miastem, lekko wirujące na wietrze. Unosiły się na wysokości kilkuset metrów, przymocowane do ziemi srebrnymi sznurami. Przypominały przezroczyste namioty cyrkowe, wypełnione świetlistą cieczą. Ciecz, mieniająca się jak rtęć, falowała leniwie, przelewając się z jednego końca lampionu do drugiego.

Adrianna zauważyła, że okolica wygląda nieco inaczej niż w rzeczywistości. Miasto otaczały lasy, na polach zalegała gęsta mgła, rozbłyskująca ruchomymi punktami światła, które przywodziły na myśl robaczki świętojańskie. Nie było asfaltowych dróg, autostrad ani licznych osiedli.

Część miasta wyglądała, jakby Ada cofnęła się w czasie o kilkaset lat. Zamek Królewski, Rynek, kościół z trębaczem, Kazimierz, Podgórze, Rynek Dębnicki, błonia, Wisła i prawie wszystkie kamienice, biurowce i stadiony pozostały bez zmian. Jednak niektóre domy zamiast dachówek miały strzechy, kilka ulic wyłożono kocimi łbami, brakowało części domów, w ich miejscu stały budynki z czerwonej cegły. Nie było też słynnego balonu koło Zamku, który wynosił turystów wysoko w niebo. Samochody i tramwaje ustąpiły miejsca powozom konnym.

Adrianna zdała sobie sprawę, że również ona się zmieniła. Poza tym, że odzyskała pełną sprawność, nie miała już na sobie szpitalnego ubrania, tylko długą do kolan suknię koloru indygo, wyszywaną szafranowymi gwiazdami. Jej ręce aż po łokcie okrywały rękawiczki wykonane z jagnięcej skóry, pasujące do szkarłatnych oficerek. Strój w ogóle nie utrudniał ruchów, co więcej, Ada poczuła się bardzo dostojnie.

Kiedy ponownie powiał ciepły jesienny wiatr, włosy dziewczyny zafalowały. Zdała sobie sprawę, że zmieniły kolor: z czarnego na złoty. Nie jasny ani ciemny blond – lśniły jak wypełniony złotem garniec na drugim końcu tęczy.

Na szyi miała srebrny łańcuszek – wisiał na nim kryształowy flakonik, a w

jego wnętrzu migotała bladożółtym blaskiem ta sama ciecz, która znajdowała się w lampionach. Fascynowała i jednocześnie niepokoiła dziewczynę.

Ada postanowiła otworzyć flakon. Już sięgała do niego dłonią, kiedy usłyszała za plecami znajomy głos.

– Nie robiłbym tego, Pani Kłątwo.

Odwróciła się. Stał za nią kot. Przyglądał się jej od dłuższej chwili. I wcale nie zdziwiła się, że gadał. W snach często tak jest.

– To ty – powiedziała, a własny głos wydał się jej trochę dziwny. Nie był cichy i nieśmiały, a wysoki, melodyjny i mocny.

– Tak, Pani Kłątwo, obudziłem Panią wedle dyspozycji. Moje uszanowanie.

– Ukłonił się, nisko schylając łebek.

– Jak to obudziłeś? Przecież to wszystko sen.

Kot pokręcił głową.

– Widzę, że nic Pani nie pamięta. Jak zawsze, chociaż tym razem był to bardzo długi sen. W takim razie przyjmijmy, że ta rzeczywistość jest snem. A ja jestem Pani Kotem, przez duże „K”. Będę Pani przewodnikiem do czasu, aż wszystko sobie Pani przypomni. A teraz ruszajmy do Patrycjusza. Mamy tajemnicę do rozwikłania, a któż lepiej wydziera serce sekretom od Pani Kłątwy? Ruszajmy.

– Zachęcił ruchem łapy.

– Ale... – oponowała Ada. – Wyjaśnij mi kilka rzeczy.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – przerwał Kot. – Wszędzie czają się wrogowie, wszędzie są oczy i pazury, a tajemnicę trzeba rozwikłać. Musimy odnaleźć małą Lilkę.

– No dobrze – dziewczyna uległa. – Zanim ruszymy, powiedz mi, jak mam się do Ciebie zwracać? Kocie? Przewodniku?

– Chowaniec – powiedział Kot. – Moje imię to Chowaniec.

– Chowaniec? Ładne.

– Czy możemy już ruszać, Pani?

– Jeszcze jedno. – Pokręciła głową. – Nie musisz zwracać się do mnie per „pani”.

– To wielki zaszczyt. – Kot ponownie się ukłonił, a potem ruszyli w dół Kopca, który podczas rozmowy zmalał do rozmiarów zwykłego pagórka, porośniętego dziką trawą.

\*

Szli w dół ścieżki, w stronę miasta. Ona i on. Ada i Kot. Pani Kłątwa i Chowaniec.

Adrianna ze zdumieniem przyglądała się okolicy, którą tak dobrze знаła. Kiedyś biegała samotnie w górę Kopca i z powrotem. Wszystko było niby takie

samo, a jednak inne. Domom wyrosły drewniane okiennice, ceglane kominy się poskręcały, płoty wykrzywiły i obrosły mchem, konary leśnych drzew przybrały dziwaczne, zgarbione kształty. Część krzewów pokryła się obficie czerwonymi jagodami i fioletowymi kwiatami, wreszcie dzwonki - dzwoniły na wietrze cichym szeptem, przywodząc na myśl pełen melancholii taniec leśnych elfów. W oddali pojawiały się macki gęstej mgły, która zalegała w mrocznym sercu lasu. Ada całkowicie naturalnie przyjmowała nowy punkt widzenia, oswajała obcość tego miejsca i zaczynała się do niego przyzwyczajać.

Podczas marszu, jak na ciekawską osobę przystało, zadawała pytania, co irytowało czarnego przewodnika, który szybkim krokiem dwóch par łap prowadził ją wzdłuż ciemnego lasu.

– Dlaczego stanąłeś wtedy na torze?

– Miałem cię obudzić.

– Nie mogłeś tego zrobić inaczej? Przecież jestem teraz w strasznym stanie.

– Nie jesteś, obudziłaś się. Zapomnij o tamtym.

– Jak to się obudziłam? Przecież mówiłeś, że to jest sen. I wiem o tym – dodała, ale z mniejszym przekonaniem niż wcześniej, na pagórku, którego prawdziwej nazwy już nie pamiętała.

Kot, nie przerywając marszu, pokręcił głową.

– Dlaczego nazywasz mnie Panią Kłatwą – drażyła dalej dziewczyna – zamiast używać mojego imienia? – Próbowала sobie przypomnieć. – Tego... innego.

– Tutaj nosisz to właśnie miano. – Chowaniec tłumaczył cierpliwie, ale w jego głosie słyhać było irytację.

– Dlaczego właściwie tu jestem?

– Już tłumaczyłem.

– Mógłbyś mi przypomnieć?

Tego było za wiele. Kot zatrzymał się i spojrzał w górę ze zmrużonymi gniewnie oczami.

– Słuchaj... – prychnął. – Skoro już pozwoliłaś zwracać się do siebie bezpośrednio, czy mogę teraz wyrazić swoje zdanie?

– Oczywiście – zgodziła się, nieświadoma tego, że nigdy, przenigdy nie powinno się dawać Kotom możliwości mówienia tego, co naprawdę myślą. Koty są wyrachowane i bezlitośnie cyniczne. A przynajmniej ten Kot taki był.

– Jestem poirytowany – oświadczył.

– Jak to?

– Ciągłe tylko pytania i pytania, jakbym nie miał innych rzeczy na głowie – prychnął. – Powtórzę jeszcze raz. Ale będzie to raz ostatni, potem sobie pójdę, a ty staniesz się zbędna i znowu zapadniesz w sen. Nie obchodzą mnie sprawy Pań Kłatw, Septimusów, Tercytów i morłogów. Zgodziłem się zostać przewodnikiem, a

to wielka odpowiedzialność. I niebezpieczeństwo, zwłaszcza u boku Pani Kłątwy. – Podkreślił ostatnie zdanie. Dziewczyna nie rozumiała zbyt wiele, ale zdała sobie sprawę, że nierozważnie byłoby dalej drążyć temat.

– Patrycjusz miał córkę, która zaginęła. Prawdopodobnie jest teraz Stygnącą. Twoim zadaniem jest rozwikłanie tajemnicy, wyjaśnienie, co się stało. – Chowaniec zatrzymał się wpół zdania, zamyślił, a potem dodał: – Kocia intuicja podpowiada mi, że z tej małej tajemnicy wyłoni się Duża Tajemnica. Ale dalsze wydarzenia pokażą, z czym mamy do czynienia.

– Rozumiem.

– Możemy ruszać czy masz jeszcze jakieś pytania? – powiedział, siląc się na uprzejmość. Uśmiechnął się, pokazując białe kły i zmrużył żółte ślepie.

– Jedno, ostatnie – powiedziała i szybko dodała – obiecuję.

Uśmiech zniknął.

– Gdzie ja właściwie jestem? Przecież to jest... – z trudem szukała w pamięci nazwy – ...moje miasto, ale nie do końca.

– Nieważne, gdzie jesteś. Ważne, kim jesteś. – Zgrabnie uprzedził pytanie. – Nazywasz się Pani Kłątwa. I tylko to się liczy.

Dziewczyna próbowała sobie przypomnieć swoje prawdziwe imię, ale nie była w stanie. Traciła pamięć na rzecz, jak jej się zdawało, innych wspomnień. Była Panią Kłątwą. Teraz to był jej jedyny punkt oparcia.

Kiedy tak stali, nagle w mrokach lasu coś się poruszyło. Dziewczyna dostrzegła cień. I błysk spojrzenia. Zmrużone oczy w kolorze jadeitu przypatrywały jej się badawczo. Cień szybko rozplynął się we mgle.

– Jesteśmy obserwowani – wyjaśnił Chowaniec. – Od początku. Twoja obecność jest, delikatnie mówiąc, niemile widziana przez niektórych. Dlatego nie możemy się zatrzymywać. – Ponaglił łapą i ruszył, a Pani Kłątwa podążyła za nim. – Jak mówiłem, wrogowie czają się wszędzie, a ostatnio pojawiło się coś jeszcze. Coś bardzo niepokojącego.

Dziewczyna przemilczała nasuwające się na myśl pytanie. Doszła do wniosku, że chociaż znajduje się we śnie, w bardzo realnym śnie, lepiej nie drażnić przewodnika. Postanowiła popłynąć z nurtem wydarzeń i zobaczyć, co się stanie. Być może niedługo się obudzi.

Zaczęły się nad nią gromadzić czarne chmury. W oddali błysnęło.

\*

Od dłuższego czasu szli w milczeniu. Nie-Ada próbowała zrozumieć, co dzieje się z otaczającą rzeczywistością, jednak wysiłki poszły na marne. Z niemą fascynacją obserwowała niepokojące zmiany. Ulica, którą właśnie zmierzali do domu Patrycjusza, miała swoją nazwę. Nie-Ada widziała litery, układające się w

słowo „Piastowska”, ale kiedy znowu się im przyjrzała, dostrzegała jedynie znaki w obcym języku. A potem wszystko uległo rozmyciu i nie było już tabliczki. Doświadczała stanu podobnego jak wtedy, kiedy jako mała dziewczynka jeździła pociągiem. Patrzyła w szybę, widziała swoje odbicie, ale kiedy spojrzała głębiej, dalej, nie była już w stanie skoncentrować się na obrazie własnej twarzy, widziała tylko mijane pola, budynki oraz wciąż zmieniającą się okolicę. Tak właśnie było teraz, gdy przed jej oczami ze znajomego miasta wyłaniało się nie-miasto.

Z każdym mrugnięciem jeden świat znikał na rzecz drugiego, tego zza okna. A może był to świat odbicia? Tego nie wiedziała.

Asfalt pokrył się kocimi łbami, budynki spuchły lub wystrzeliły w górę, kominy wyrosły i poskręcały się, dachówki zmieniły się w strzechy, dziesięciopiętrowce zmały, pokryła je cegła, samochody poznikały, pojawiły się powozy. Nawet ludzie, których mijala, idąc wraz z Kotem ulicami, zmieniali się błyskawicznie: grupa studentów, niby ta sama, za jednym mrugnięciem przeobraziła się w grupę żaków, biznesmeni w kupców, kelnerki w karczmarki, zabiegany tłum w zabiegany motłoch, kolorowi pracownicy działów reklamy i public relations w nawoływaczy w kolorowych czapach z piórami, rozwrzeszczane bachory w rozwrzeszczane latorośle o zasmarkanych nosach, prawnicy w garbatych włóczęgów o długich, haczykowatych nosach i kaczym chodzie, a rozpuszczona bananowa młodzież w kałużę. Tylko urzędnicy i żebracy za bardzo się nie zmienili.

– Fascynujące! – Dziewczyna aż jęknęła z wrażenia. Kot rzucił jej spojrzenie pełne politowania, więc dalej szła już za nim w milczeniu.

Wszystkich tych ludzi łączyła jedna rzecz: na szyi mieli zawieszane fiołki wypełnione cieczą, takie same jak ta, którą miała nie-Ada. Zazwyczaj jednak różniły się one od siebie wielkością, a ciecz kolorem. Dzieci nosiły małe fiołki ze srebrzystym płynem, dorośli nieco większe, z bladozłotym lub rtęciowo-srebrzystym. Niektórzy z nich mieli fiołki większe od innych, bardziej złociste. Fiołki dwojga żaków, objętych w miłosnym uścisku, były zaróżowione, za to u żebraków czarne i prawie puste, a u prawników zmienno-kolorowe. Jej fiołka była bardzo duża w porównaniu z innymi i mieniła się teraz czystym złotem. Dziewczyna zauważyła też, że kiedy w mijanej właśnie karczmie kupcy zamawiali gąsior wina, z ich fiołek ubywała niewielka ilość cieczy. Wszyscy kłaniali się dziewczynie grzecznie i z szacunkiem, by zaraz oddalić się w pośpiechu w przeciwną stronę.

– Kocie, czy oni się mnie boją? – spytała szeptem nie-Adrianna.

– Tak. I słusznie. – Chowaniec odpowiedział swoim głębokim, kocim basem.

– Jesteś Panią Kłątwą, wrywasz serca tajemnicom. Każdy ma swoje tajemnice. Myślę, że już rozumiesz?

– Rozumiem – kiwnęła głową. – Rozumiem doskonale.

– A tymczasem... – Chowaniec obwieścił głośniej – ...dotarliśmy do celu. – Zatrzymał się. – To tu.

Przed nimi wyrosła strzelista kamienica, ogrodzona wysokim płotem. Porastał go beżowy kolczasty bluszcz oraz kwiaty, których płatki miały na krawędziach rzędy ostrych jak szpilki zębów. Nie-Ada chciała dotknąć kwiatu i sprawdzić, co się stanie, ale ubiegła ją wyjątkowo tłusta mucha. *Trzask!* Dziewczyna odruchowo cofnęła dłoń.

Stali przed bramą, a nad nimi górowały dwa budzące grozę gargulce. Na pierwszy rzut oka przypominały plastyczny materiał zalany płynnym kamieniem, który potem zastygł. Jednak tym plastycznym materiałem były ludzkie ciała. Zszyte ze sobą metalową nicią korpusy i kończyny przypominały dzieło krawca-sadysty, który stworzył nieregularną, pełną ekspresji i trwogi parodię ludzkiego organizmu. Głowy należały do niemowlaków, z czoł wyrastały rogi. Rzeźby miały bardzo nieprzyjemne spojrzenie. Te oczy nie mogły należeć do dzieci, musiały to być wylupane wcześniej oczy seryjnych morderców. Obydwie kamienne głowy skierowały budzące odrazę spojrzenia w stronę przybyszów.

– Patrycjusz już na was czeka – oświadczyły oba głosy równocześnie. Nie-Adrianna wzdygnęła się. Głosy gładko wpłynęły do jej głowy – oślizgły ton, wydobywający się z tych kamiennych gardeł, budził skojarzenia z grobem, wilgocią i potępieniem.

Brama otworzyła się. Ujrzeli ścieżkę prowadzącą ku mahoniowym drzwiom. Po obu stronach ścieżki ciągnęły się dwa rzędy pięknych frezji, za którymi znajdował się najwspanialszy ogród, jaki nie-Ada kiedykolwiek widziała. Były tam wszystkie znane jej rodzaje kwiatów: od rozmaitych gatunków róż, stokrotek, bławatków, astrów, krwawników, aksamitek, cynii, sasanek, fiołków, dzwonków, surfinii, śniedków, kaczeńców, skalniaków, zawilców, wrzosów, tojadów – aż po rośliny tak dziwne, że na pewno nie mogły należeć do świata, z którego pochodziła nie-Ada. Miała ochotę podejść i powąchać pierwszy okaz z brzegu, różę wielkości jej głowy.

– Nie zbaczaj ze ścieżki – ostrzegł Kot. – Idziemy prosto do drzwi.

Pani Klątwa usłuchała. W głębi siebie czuła, że ten piękny obraz skrywa pod sobą coś bardzo nieprzyjemnego. Nie chciała sprawdzać, co – mucha i kamienne gargulce przekonały ją, że nie warto.

Ruszyli wprost do domu Patrycjusza.

\*

Siedzieli w sali kominkowej, w głównym holu rezydencji. Wcześniej przedarli się przez ciemny, głuchy korytarz, który miał tylko dwa źródła światła: drzwi wejściowe i drzwi prowadzące do holu. Na ścianach tego olbrzymiego pomieszczenia wisiały portrety kobiet i mężczyzn, dystyngowanie ubranych,

stojących w dostojnych pozach. Nie-Adzie przypominały portrety starych włoskich rodów, takich jak Medyceusze. Kobiety miały obfite kształty, owalne twarze, pełne usta oraz loki. Mężczyźni byli tędzy, o pociągłych twarzach, mieli małe usta i długie, smukłe palce. Łączyło ich jedno: spojrzenie. Zatrważająco spokojne i dumne, zimne i wyważone, bezwzględnie niehumanitarne. Osoby z portretów bez mrugnięcia okiem potrafiłyby zrobić wszystko dla osiągnięcia celu – nieważne, czy byłoby to ufundowanie świątyni, czy przeprowadzenie masowego ludobójstwa.

Między portretami wisiały wypchane głowy zwierząt, bestii pokrytych sierścią i łuską, o pyskach wyszczerzonych w teatralnej agresji. Ale wisiało tam coś jeszcze.

– To wrogowie Patrycjusza. Jego polityczno-religijni przeciwnicy – szeptem wyjaśnił Kot, widząc minę dziewczyny, która przyglądała się nieszczęśnikom o twarzach wykrzywionych w grymasie cierpienia. – Patrycjusz jest niebezpiecznym człowiekiem. A teraz cicho, idą – syknął.

Najpierw usłyszeli echo obcasów, uderzających o wypolerowaną na błysk posadzkę z granitu, ułożoną w czarno-białą szachownicę. Sala była tak duża, że nie-Adrianna nie mogła dostrzec, kto zbliża się z odległego półmroku. Ujrzała światło, a potem trzy postacie. Na przedzie szedł wyprostowany jak struna stary lokaj, ubrany w nienagannie skrojoną liberię, z koronkami u mankietów. Był siwy, a skóra jego twarzy marszczyła jak zżółknięty papier. Za nim podążała ona: pulchna, obfita, dystygowana arystokratka o rudych lokach. Musiała być żoną Patrycjusza. Obok szedł Patrycjusz, wysoki na ponad dwa metry, o pociągłej twarzy, wąskich ustach i nadzwyczaj długich palcach. Ta trójka skojarzyła się dziewczynie odpowiednio z szerszeniem, modliszką i pajakiem.

– Pani Klątwo, to zaszczyt – przemówił pan domu niskim głosem, który nie znał sprzeciwu. – Proszę nie wstawać. – Stanowczym gestem powstrzymał nie-Adę, kiedy ta zaczęła podnosić się z wysokiego fotela w kolorze czereśni. – To my jesteśmy dla Pani.

– Panie Chowańcu – zwrócił się do Kota. – Również dziękuję za przybycie.

– Zaszczyt po mojej stronie – odklonił się Chowaniec.

– Chociaż było to zbędne – dodał Patrycjusz i zasiadł w fotelu. Pani Klątwa dostrzegła nerwowe drgnięcie na pyszczku Chowańca.

Za panem domu usiadła jego małżonka. Zaszleścił materiał. Nie odezwała się, jedynie nieznacznie dygnęła w stronę nie-Ady. Na Kota nie zwróciła uwagi. Zaniepokojony Chowaniec poruszył ogonem.

Lokaj zmierzył przybyszów spojrzeniem swoich szerszenich oczu, w których nie było nawet odrobiny życzliwości czy zaufania. Potem odwrócił się na pięcie i ruszył w odległą część holu, która niknęła w mroku. Siedem płomieni kandelabra rozświetliło ciemność, a potem oddaliło się, zmałało, aż w końcu zniknęło wraz z lokajem. Zapanowała cisza. Tylko drewno trzaskało w płomieniach.



Siedzieli w kręgu, w wysokich fotelach z mahoniowymi podłokietnikami i obiciem w kolorze czereśni. W przezroczystym palenisku osadzonym na podstawie w kształcie pentagramu tańczył ogień, rzucający krwistopomarańczowy blask na twarze zgromadzonych. Krystaliczne palenisko było całkowicie przezroczyste, bez śladu dymu czy sadzy.

W powietrzu wisiała aura napięcia i wyczekiwania.

Nie-Adrianna milczała, czując na sobie badawcze spojrzenie gospodarzy.

Po lewej stronie miała pulchną żonę arystokraty, wydającą się jedynie dodatkiem do męża, a po prawej milczącego Chowańca, który najwyraźniej czuł się skompromitowany. Naprzeciwko siedział Patrycjusz. Spokojnie spoglądał na Panią Klątwe swoimi szarymi oczami, z dłońmi ułożonymi w kształt piramidki, na której wsparł brodę.

Był zamyślony. A może po prostu czekał, aż ona się odezwie?

Milczenie stawało się nieznośne.

– Zaginęła trzy dni temu. Wypuściliśmy myśliwych na poszukiwania, ale nie znaleźli ani śladu. – Zrobił pauzę, jakby ważąc każde kolejne słowo. – Rzadko proszę o przysługę, nigdy o pomoc. Niestety, okoliczności zmieniły się i jestem zmuszony właśnie o nią Panią prosić. O pomoc. – Zatrzymał przenikliwe spojrzenie na nie-Adzie. – Znam zasady, wiem, że Pani Klątwy nie wzywa się z błahego powodu. Do Pani należy ocena, czy zasadne jest, aby Pani angażowała swoje moce. – Przerwał. Słowa Patrycjusza odbiły się echem pod wysokim sklepieniem holu. Powietrze zgęstniało.

Dziewczyna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie miała pojęcia, o jakich mocach mówi ten groźny człowiek, jak miałyby znaleźć ich córkę i czy nie mogłaby po prostu odmówić, skoro miała do tego prawo. Jednak gdzieś środkiem czuła, a nawet była tego pewna, że jest w stanie im pomóc. Jakby coś drzemało w niej od bardzo dawna i nagle wybudzało się, dyktowało, jak myśleć i co mówić. Coś, co wiło się, pełzało w jej głowie. W swoich trzewiach miała potwora.

Momentalnie zrobiło jej się niedobrze. Jakby połknęła bardzo gorzki syrop, lekarstwo wywołujące odruch wymiotny.

– Proszę o niej opowiedzieć – wyrzuciła z siebie, nie do końca swoim głosem.

– Należała do Klasztoru... – zaczął Patrycjusz, ale Pani Klątwa zrobiła coś, co wybiło go z rytmu. I całkowicie strwożyło Kota.

– Matka – szeptał w jej głowie zmienił się w rozkaz, który wymówiły usta. – Niech matka opowie. – Zwróciła się w stronę pulchnej kobiety.

Żona Patrycjusza rzuciła mężowi szybkie spojrzenie, a ten kiwnął głową. I zrobił coś jeszcze, co nie umknęło uwadze Pani Klątwy: zacisnął palce na oparciu, aż pobielaly mu kłykie.

Drewno trzaskało w palenisku.

– No więc... – Głos kobiety był wysoki, przepelniony emocjami. Jest matką, pomyślała nie-Adrianna, to zupełnie normalne. – To wydarzyło się w czasie pełni, trzy dni temu. Starsze siostry wyruszyły do Klasztoru wcześniej, przywdziały szkarłatne szaty, wzięły koszyki z jedzeniem i poszły w stronę ścieżki, prowadzącej przez las. We trzy wyruszyły w stronę Klasztoru i mgieł, jedna za drugą, na tle zachodzącego słońca i czarnych drzew.

– Co robiła najmłodsza? – Znowu zimny, rozkazujący głos potwora wydobył się z gardła Pani Kłątwy. Patrycjusz zmrużył oczy, Chowaniec przyglądał się z fascynacją, nie-Ada była nie do końca świadoma stanu, w jakim się znalazła. – Szczerze, bez owijania w bawełnę.

– Spała. – Pulchna kobieta powiedziała to takim tonem, jakby jej córka popełniła największą zbrodnię na świecie. Nie-Ada domyśliła się, że wymagania dotyczące stosownego zachowania córek Patrycjusza są bardzo wygórowane. *Spytaj ją o przemianę*, zacharczał głos w głowie dziewczyny. Spytała. – Tak, zmieniała się ostatnio. – Matka westchnęła, a potem... Potem wydarzyło się coś niezrozumiałego.

Jak pod naciskiem niewidzialnej siły wszystkie kajdany tajemnicy i dostojęstwa puściły.

– Mówiłam jej, że jeśli wstępuje do Klasztoru, powinna panować nad swoimi słabościami, Pani Kłątwo! – wyrzuciła z siebie.

– Herligo. – Patrycjusz chrząknął. – Opanuj się.

– Niech mówi – powiedziała Pani Kłątwa. – Całą prawdę. – I pochyliła się w stronę kobiety. Teraz tylko one się liczyły, reszta świata zniknęła. Dziewczyna poczuła ból tamtej, jej ogromne rozczarowanie i dręczące ją wyrzuty sumienia.

– Od początku była inna – podjęła matka. – Miała słabości, mnóstwo słabości. Dręczyła służbę i dzieci, kłamała, nie знаła umiaru w jedzeniu, była niesumienna i leniwa. Nie wiem, po kim odziedziczyła ten charakter. – Nie-Ada pomyślała, że zna odpowiedź, przynajmniej jeżeli chodzi o dręczenie innych. – Potem skończyła jedenaście lat i przyszedł czas, żeby wstąpiła do Klasztoru. Wszystkie wysoko urodzone dziewczęta tak postępują. To wielki zaszczyt nie tylko dla niej, ale i dla rodu. Mówiłam jej: musisz panować nad swoimi słabościami. Kiedy wstąpisz do Klasztoru, flakon z Esencją powiększy się, będzie na ciebie bardziej oddziaływał, kształtował cię. Niestety – westchnęła. – Córka nie wzięła sobie do serca ani jednego mojego słowa. Zaczęły jej rosnać spiczaste uszy gremlina, stopy zmieniały się w racice, a nos...

Atmosfera stała się zbyt gęsta.

– Pani Kłątwo – wtrącił Patrycjusz, wyraźnie poirytowany szczerością swojej żony. Nikt nie miał prawa wiedzieć tych rzeczy! To był jego ród, nieskazitelny, o twardych zasadach i wysokiej pozycji. – Nie wzywaliśmy Pani, ale dowiedzieliśmy się, że przybywa Pani do miasta, wezwana przez kogoś innego.

Dlatego... – Nie-Adrianna nie usłyszała dalszych słów. Najpierw spojrzała na Kota, który wiercił się nerwowo. Już chciała powiedzieć, że Chowaniec poinformował ją, z jakiego powodu została obudzona – właśnie po to, aby odnaleźć córkę Patrycjusza. Ale wtedy wymówiła coś, czego nie zamierzała, nad czym zupełnie nie panowała:

– Imię – powiedziała. – Jak miała na imię?

– Lilka – wyszeptała matka.

Błysk!

Pani Klątwa leciała nad lasem. Widziała złotowłosą dziewczynkę w czerwonym kapturze. Widziała, jak tamta biegła, uciekała przed pół zwierzęciem, pół człowiekiem. Wokół mgła. Myśliwy. Złowrogi księżyc, demony, upiory, Stworzenia Nocy. Zobaczyła polanę, zobaczyła karły. Zobaczyła ucztę. I to coś, co stało w mroku i przyglądało się jej. Wiedziała.

– Wiem – powiedziała, wyrwana z transu. – Wiem, gdzie zamordowano waszą córkę.

\*

– Kocie, nie mam pojęcia, co się tam ze mną działo. – Gdy tylko wyszli za bramę, nie-Adrianna spróbowała się otrząsnąć. – Ale wiem, gdzie była ostatnio, gdzie urywa się ślad.

– Jesteś Panią Klątwą, to normalne. Jesteś pewna, że dziewczyna nie żyje?

– Tak mi się wydaje – zaczęła niepewnie. – Wtedy, tam, byłam tego pewna, ale teraz jakby mniej...

– Lepiej, żebyś się nie myliła – powiedział Kot poważnie. – Bo jeśli okaże się, że Lilka żyje, a ty sprawiłaś, że żona jednego z najgroźniejszych ludzi w Aerie wpadła w czarną rozpacz bez powodu...

Przełknęła ślinę.

– Cieszę się, że opuściliśmy to ponure miejsce – szybko zmieniła temat, czując mieszaninę ulgi i podekscytowania.

– Ja też.

– Powiedz, co robimy dalej?

– Znowu zaczynają się pytania. – Kot przewrócił oczami. W duchu cieszył się, że nie został spytany o coś zupełnie innego.

– No i jeszcze jedno. – Pani Klątwa przystanęła. – Patrycjusz mówił, że...

– O, o. – Kot zatrzymał się i skrzywił pyszczek.

– Co? – Dziewczyna spojrzała na Chowańca, a potem podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. I aż ją zmroziło.

W ich kierunku zbliżała się niepokojąca istota. Na pierwszy rzut oka przypominała zakapturzonego mnicha w postrzępionym, stalowoszarym habicie.

Ale nie był to mnich, nie był to też człowiek. Kaptur miał naciągnięty głęboko na twarz, widać było jedynie bardzo szerokie, sine usta i dolną szczękę. I dłonie. Skóra na dłoniach i na szczęce wyglądała, jakby była dotknięta trądem. Istota, niższa o głowę od nie-Ady, w prawej dłoni dzierżyła sękaty kij, dwukrotnie ją przewyższający. Zakończony był dużą bryłą przezroczystego kwarcu, w której wnętrzu mieniła się rtęciowo-srebrna ciecz. Nieznajomy zbliżał się do nich. Szybko, jakby chciał na nich natrzeć.

Pani Kłątwa stała w osłupieniu. Nie wiedziała, co zrobić.

Kot zareagował momentalnie. Wyskoczył przed nią, nastroszył sierść i zaczął syczeć.

Istota zatrzymała się, spojrzała z głębi kaptura na Panią Kłątwę, potem na syczącego Kota, i przemówiła tym samym syczeniem, mową żmij.

Chowaniec wydał parę nieprzyjemnych dla ucha dźwięków, istota odpowiedziała w przyprawiającym o ciarki dialekcie, a potem odwróciła się gwałtownie i ruszyła w kierunku, z którego przybyła. Tłum ustępował jej miejsca z jeszcze większym zapalem niż wtedy, gdy rozstępował się przed Panią Kłątwą.

Kiedy zniknęła, Kot przestał się jeżyć i odwrócił w stronę dziewczyny.

– Jesteśmy wzywani do Monastynu. To pilne.

– Co to było?

– To był morloq, sługa Kapłanów.

– Ale czy to... Czy to był człowiek?

Chowaniec zamyślił się.

– Człowiek? Dziwna kategoria – prychnął. – Kot to Kot, Patrycjusz to Patrycjusz, Pani Kłątwa to Pani Kłątwa, a morloq to morloq. O ludziach nie możesz tego powiedzieć z taką samą pewnością.

Nie odpowiedziała. Czowała mieszaninę strachu, podniecenia i odrazy. Miała też wrażenie, że zaraz trafi w nurt niesamowitych wydarzeń. Przeczuwała, że nad jej głową zbierają się mroczne chmury, zwiastuny burzy. Niemal słyszała piorun rozdzierający niebo.

Nie-Adrianna uznała, że zanim zanurzy się w ten niesamowity, szalony nurt, chce poznać przynajmniej jedną więcej odpowiedź.

– Kocie... – zaczęła.

– Służą Kapłanom, pilnują porządku rzeczy. – Westchnął. – I dobrze ci radzę – jeżeli nie musisz, nie wdawaj się w dyskusje z morlokiem. Są zagadki, których nawet Pani Kłątwa nie powinna rozwiązywać. Straszne tajemnice. – Zamilkł.

Minęła ich dwukółka powożona przez zakapturzonego woźnicę, który był tak wielki, że przypominał omszały kurhan. Dziewczynie wydawało się, że rzucił jej ukradkowe spojrzenie.

– Chodźmy do Monastynu.

– A co z małą Lilką?

– Do tego wrócimy później. Mamy jeszcze cztery dni. A teraz za mną,  
wprost do siedziby Kapłanów!  
Poszli w milczeniu.

## Rozdział III

### Głupi Anioł

Droga do Zamku wprawiała nie-Adriannę w zdumienie. Przestrzeń, czas i ludzie *Tu* byli jak plansza pod puzzlami świata *Tam*. Skorupa starej rzeczywistości kruszyła się, odsłaniając rzeczywistość zupełnie inną. Co chwilę kolejny fragment odległej rzeczywistości (a może snu?, pytała siebie Pani Klątwa z coraz mniejszym zdziwieniem) odrywał się od planszy, by odsłonić świat prawdziwy. Najpierw odpadały mniejsze puzzle: nazwy ulic, język, elementy elewacji, kolory. Potem bardziej złożone, jak ludzie, pojazdy, krajobraz. Lecz istniały też takie fragmenty misternej układanki naniesionych na siebie rzeczywistości, które tak łatwo nie zniknęły – jednym z nich był Zamek.

– Widzisz te strzeliste, czarne wieże, na których szczycie połyskują białe ogniki? Te monstrualne gargulce wokół kopuły? – wypytywał Chowaniec w prawdziwym zachwycie.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo – odpowiedziała zgodnie z prawdą nie-Adrianna. Kiedy przechodzili mostem przez Wisłę (po której pływały barki wyładowane drewnem), wciąż widziała te same, dobrze znane mury, baszty i wieżę Katedry.

– Jeszcze się całkiem nie wybudziłaś – cierpko stwierdził Kot.

Dziewczyna dostrzegła pewien element, który nie należał do Zamku Królewskiego. Była nim złota smuga światła, spływająca z różnych stron ku wieży Katedry. Po chwili nie-Ada zdała sobie sprawę, że to nie żadna złota smuga, a miliony pszczoł, lecących w stronę Zamku i odlatujących w różnych kierunkach tego niesamowicie niepokojącego świata.

Kiedy podeszli do bramy, zatrzymał ich strażnik.

– Co sprowadza was do Septimusa? – spytał tubalnym głosem wielki mężczyzna, okuty w pełną zbroję płytową, z hełmem w kształcie głowy orła. Dziewczyna zwróciła uwagę na wielki młot w dłoni strażnika i pelerynę utkaną ze stalowo-złotych piór, która spływała z masywnych ramion. Na jego szyi wisiała fiolka wypełniona czerwoną cieczą.

– Gryfito – Kot dumnie wypiął pierś – jestem Chowaniec, a to Pani Klątwa.

– Na dźwięk tego imienia gryfita ptasim ruchem głowy przekrzywił dziób w stronę dziewczyny. – Zostaliśmy wezwani przez morłoga do Jego Jasności. Przepuść nas.

Strażnik nie odpowiedział. Spojrzał na Kota, potem na Panią Klątwę, potem znowu na Kota.

– Dobrze. Ale muszę zawiadomić Septimusa, że przybywacie. – Swoją

mocarną dłonią z niespodziewaną delikatnością uchylił wieko kryształowej fiołki, zawieszanej na łańcuszku na jeszcze ludzkiej szyi. W tej samej chwili podleciała do niego złota pszczoła, zanurzyła się w czerwonej cieczy niczym w pyłku kwiatowym i odleciała, wznosząc się w stronę wieży. – Chodźcie za mną.

Ruszyli, a w miejsce gryfity natychmiast przyleciał kolejny strażnik, wyglądający dokładnie tak samo.

\*

Przeszli przez dziedziniec i skierowali się do wnętrza Zamku. Nie-Adrianna znowu doświadczała stanu zamazywania i zakrzywiania rzeczywistości, wyłaniania świata ze świata. Wnętrze Zamku wydawało się być takie, jakim odległa część umysłu dziewczyny je zapamiętała. Przenikała je jednak inna przestrzeń, dużo bardziej niepokojąca. Rozmiary Monastynu przyprawiały o zawrót głowy swoją wielkością. Kojarzyła je z wnętrzem olbrzymiej istoty – dziewczynie na myśl przychodziło jej jedno słowo: lewiatan. Wydawało się jej, że Monastyr-lewiatan mają ze sobą przynajmniej jedną cechę wspólną: bijące serce.

Wysokie ściany pięły się w stronę podświetlonego sklepienia, które z dołu wydawało się bardzo odległe. Z ciemnych, śliskich ścian obwieszonych pochodniami wystawały żebrowe łuki, tworząc misterne konstrukcje mostów, łączących przeciwległe części sali. Łuki pięły się w górę, budując coraz to nowe piętra. Na początku i końcu tego długiego korytarza znajdowały się witrażowe rozety, przedstawiające mieniające się postacie świętych. Na posadzce leżał dywan w kolorze wina. W powietrzu unosił się ostry zapach mirry i kadzidła.

Potężny gryfita prowadził przybyszów, a z każdym krokiem jego stalowo-złote skrzydła powiewały. Raz po raz mijali ich kapłani. Szli w pośpiechu, zamyśleni. Pszczoły cicho bzyczały, ledwie słyszalne.

Nagle zbliżył się do nich morłok. Nie-Adrianna odruchowo napięła mięśnie. Minął ich jednak, nie zwracając uwagi na dziewczynę z Kotem.

– Spokojnie. – Chowanec zwrócił się do Pani Kłątwy. – Morłok nie zainteresuje się tobą, jeżeli nie ma takiego rozkazu. Jesteśmy dla nich niewidzialni.

– To dobrze. – Dziewczyna wypuściła powietrze z płuc.

Dotarli do końca korytarza i zatrzymali się. Gryfita przyłożył dłoń do kamiennej ściany i wyszeptał formułę. Jego fiołka zapłonęła rubinowym światłem. Po chwili krótszej niż oddech cztery kamienne bloki rozpląnęły się w powietrzu, ukazując wąskie schody. Nie-Adrianna zauważyła, że nieznaczna ilość cieczy wyparowała z fiołki strażnika.

– Podążajcie za mną. – Rozkazał. – Nie macie prawa zatrzymać się nawet na chwilę.

Nie zadawali pytań, w milczeniu ruszyli za gryfitą.

Pierwszy szedł strażnik, za nim Kot, na końcu Pani Klątwa. Szybko zdała sobie sprawę, czemu nie mogli się zatrzymywać. Szli bardzo wąskimi schodami, pnącymi się stromo w górę. Z odległych zakamarków pamięci nie-Adrianny wylaniały się mgliste obrazy podobnych klaustrofobicznych klatek schodowych, które zazwyczaj prowadziły do lochów. Z każdym kolejnym krokiem stopień za nią zniknął, a w jego miejsce pojawiała się ściana z kamienia. Dziewczyna nie była do końca pewna, czy to kamień, czy może żywa tkanka Monastynu. Zdawało jej się, że budynek jest organizmem, a oni intruzami w jego wnętrzu, którzy pogłębiają ranę, aby jak najszybciej dostać się do serca. Organizm błyskawicznie się zablizniał; z przyjemnością pochłonałby nieproszonych gości.

Wreszcie dotarli do otwartej błony ściany. Przeszli przez niskie kamienne przejście, a kiedy Pani Klątwa stanęła na posadzce pomieszczenia i odwróciła się, nie było już śladu po przejściu, jedynie biała, alabastrowa ściana, na środku której widniało niewielkie, prawie niewidoczne pęknięcie.

Może faktycznie to była blizna?, pomyślała.

Znajdowali się w jasnej, owalnej sali. Sklepienie miało kształt kopuły, a freski na niej przedstawiały ogród, jabłoń, dwie wężopodobne istoty i człowieka, który nadstawiał nadgarstek, aby go ukąsiły. Na środku pomieszczenia, na podwyższeniu, stały trzy kryształowe trony, w których wnętrzu mieniła się ręciovą cieczą, pozbawioną koloru. Na zewnętrznych tronach siedzieli morloqowie. Pośrodku zasiadał Septimus.

– Witaj, Klątwo – przemówił piskliwym, mało męskim głosem. – Spodziewałem się, że przybędziesz. – Wstał i ruszył ku nim. Prawie dwieście kilogramów żywej wagi falowało pod kapłańskimi szatami w brawach bieli, złota i fioletu. Trzy fiołki z cieczą, które kapłan nosił na piersi, miały barwy platyny, jaspisu i złota.

– Witaj, Chowańcu. – Septimus wyciągnął tłuste palce. Na jednym z nich tkwił sygnet w kształcie dwóch złączonych w symbol nieskończoności wężopodobnych istot. – Możesz pocałować pierścień.

Kot stanął na dwóch łapach, przysunął pyszczek i polizał sygnet.

– Klątwo, ty nie musisz tego robić. – Septimus machnął ręką, odwrócił się i ruszył w stronę tronu. Usiadł, poprawił okrągłe okulary i rozkazał:

– Niepotrzebni wyjść!

Morloqowie zerwali się jak na komendę i wydając nieprzyjemne, syczące dźwięki, pobiegli w stronę przejścia, które niepostrzeżenie otworzył gryfita. Po chwili cała trójka zniknęła. Została tylko Pani Klątwa, Kot i Septimus.

W powietrzu niósł się odgłos bzyczenia. Nie-Ada podniosła głowę i dopiero teraz zauważyła, że nad kapłanem krąży rój tysiąca pszczół. Septimus otworzył dwie fiołki, a wtedy kilkadziesiąt spośród nich zniżyło lot i zaczęło krążyć wokół jego głowy. Zawisły nad nią jak aureola i jedna za drugą podlatywały do fiołki,



wchodziły do niej, tarzały się w cieczy i odlatywały, nieco cięższe. Kiedy ostatnia z nich wyleciała, Septimus zakręcił fiolkę i cmoknął.

– Wyborne wieści – powiedział do siebie. – Kongregacja zbierze się za tydzień. Naprawdę wybornie... – Dziewczyna spojrzała niepewnie na Kota, ten tylko wzruszył ramionami.

– A teraz, Kłątwo, zbliż się – rozkazał Septimus.

Nie-Adrianna usłuchała, podeszła do kapłana.

– Nie wiem, co sprowadza cię do nas, ale dowiedziałem się, że złożyłaś wizytę Patrycjuszowi – mówił piskliwy głos. – Tak się składa, że my również mamy pewną tajemnicę, której należy wyrwać jeszcze bijące serce. Dosłownie – podkreślił i zaczął się śmiać, a wszystkie podbródki zatrzęsły się jak galareta. – Pochyl się, Kłątwo. – Pochyliła się. Szybkim, niespodziewanym ruchem otworzył jej fiolkę i zanurzył w cieczy opuszek małego palca. – Wszystko, co jest potrzebne do rozwikłania mroków rzeczywistości, znajdziesz teraz w środku. – Wyjął palec i zamknął fiolkę. Dziewczynie zakręciło się w głowie. – A teraz idź i czynj swoją powinność. Niech największa z tajemnic, moc Pani Kłątwy, prowadzi cię we właściwym kierunku. W kierunku rozwiązania Wielkiej Tajemnicy. Audiencja skończona! –Gdy tylko klasnął w dłonie, przez ścianę wyszedł gryfita.

\*

Podążała schodami w dół. Kręciło jej się w głowie, wszystko zaczęło wirować.

– Pani Kłątwo, szybciej, droga się zamyka. – To musiał być Chowaniec. *Robię, co mogę, tylko czuję się tak dziwnie* – próbowała mu powiedzieć, ale niewypowiedziane słowa krążyły wyłącznie w głowie. Lewa noga, prawa, stopień, stopień, stopień, dwa stopnie, zaczęła tracić równowagę, krzyk Kota (*musiałam nadepnąć na ogon*), w ostatnim momencie reakcja gryfity, otwarcie nowego przejścia, lot w otchłań.

\*

Z ciemności wyłoniła się pszczoła. Duża, świecąca pszczoła. Dziewczyna leciała za nią, czuła podmuch wiatru na policzkach. Pszczoła nagle zatrzymała się, kazała czekać. Podleciała do przodu i zatrzymała przed cieniem czarniejszym od ciemności. Nie-Ada zrozumiała: pszczoła chciała pomóc w odkryciu tajemnicy. Okrążała kształt, próbowała go rozświetlić, pokazać Pani Kłątwie. Tamta istota była dużo większa od dziewczyny. Miała ręce i nogi, ale nie do końca ludzkie. Nie była też morlokiem. Miała parę oczu, które odbijały światło pszczoły. Bliżej, pomyślała dziewczyna, podleć bliżej, żebym wiedziała, z czym mam do czynienia.

Pszczoła usłuchała, podleciała jeszcze bliżej. I to ją zgubiło.

Postać błyskawicznie złapała świecącego owada, a potem go pożarła. Jej ruchy były tak szybkie, że w oczach nie-Ady wyglądały jak smuga. Dziewczyna widziała, jak potwór wkłada pszczołę do ust i zaczyna ją gryźć. Owad pisnął i zgasł. Nastąpiła ciemność.

A potem zabrzmiało wycie.

Bardzo ludzkie.

\*

Odzyskała świadomość. Bolał ją nos. Musiała wypaść ze ściany, uderzyć o posadzkę. Rozejrzała się i stwierdziła, że znajduje się w ciemnym korytarzu. Na jego końcu dostrzegła światło pochodni, bez zastanowienia ruszyła więc w tamtym kierunku. Kiedy przekroczyła próg pomieszczenia na końcu korytarza, zrozumiała, że nie był to najlepszy pomysł.

Pomieszczenie było nieco większe niż siedziba Septimusa. Na środku sali siedziała istota jeszcze większa od kapłana. Na szyi miała aż siedem fiolek z rtęciową ciecżą, która mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Istota była człowiekiem, lecz bardziej przypominała wielką galaretę z niby-rękami, niby-nogami, niby-głową wrośniętą bezpośrednio w olbrzymi brzuch i zmarszczkami, które świadczyły o tym, że kiedyś w ich miejscu były oczy i usta. Nie-Adriannę najbardziej zdziwiło samo pomieszczenie. Wszystkie ściany, podłoga i sklepienie kopuły wyłożone były oczami. Ich tęczówki miały wszystkie możliwe kolory i kształty właściwe dla ludzi, zwierząt, potworów i upiórów. Oczy momentalnie skierowały spojrzenia na intruza. Przerazona, wciągnęła powietrze do płuc.

– Tu Pani jest. – Usłyszała za sobą głos gryfity, a potem poczuła delikatny uścisk na wysokości talii, uniesienie w powietrze i obrót. Strażnik wziął ją pod pachę i wciągnął w ścianę.

\*

Kiedy Pani Klątwa skończyła wymiotować przed murami Zamku-Monastynu, Kot podszedł do niej i ze współczuciem poklepał łapą po ramieniu.

– To normalne. Zawsze wymiotujesz po zbyt dużej ilości tajemnic do odkrycia. – Zapewnił. – A teraz przestań się mazać i idziemy.

– Dokąd? – Spytała, wciąż blada.

– Jak to dokąd?! – Kot prychnął. – Odnaleźć małą Lilkę. Tylko nie mów mi, że nie wiesz, gdzie... Ech, znowu. – Pokręcił głową z rezygnacją, kiedy

dziewczynie ponownie zebrało się na wymioty. – Ej, chłopcze! – Chowaniec zawołał za nosiwodą. – Podejź tu, panna musi się trochę ogarnąć.

Kilkunastoletni chłopak z brudną buzią, bardzo małym flakonem zawierającym ciecz w kolorze słomkowym i dwoma wiadrami na barkach usłuchał zawołania.

– Pani? – pochylił się nad nie-Adą i postawił wiadro obok.

– Dziękuję ci bardzo – powiedziała, nie odwracając się. Czuła się zażenowana. Zanurzyła dłonie w zimnej wodzie i ochlapała twarz. Od razu lepiej.

Kiedy poczuła, że może się podnieść, odwróciła się w stronę młodego nosiwody o cherlawej posturze.

– Nie wiem, czym mogłabym ci zapłacić – zaczęła, ale widząc na twarzy młodzieńca mieszaninę podekscytowania i przerażenia, zamilkła.

– Pani... Pani Kłątwa – wydusił z siebie. – T-to zaszczyt...

*Przyłóż swoją fiolkę do jego*, usłyszała głos w głowie.

Zbliżyła się, chłopak odskoczył nerwowo.

– Nie bój się – przemówiła nieswoim, spokojnym głosem. – Pani Kłątwa potrafi się odwdziżyć. – Zrobiła, co nakazał głos.

Kiedy fiołki zetknęły się, rtęciowa ciecz w obu pojaśniała. Z jej fiołki ubyła minimalna ilość cieczy, a jego... Jego napełniła się po sam brzeg złotą substancją.

Nagle chłopiec się rozpromienił, jego pozbawione nadziei spojrzenie zabłysło tajemniczą iskrą, pokrzywione ciało wyprostowało się, a dołeczki w policzkach zniknęły.

– Dziękuję Pani. – Ukłonił się. – Dziękuję Pani najmocniej. To bardzo hojny dar, nie zmarnuję go, przyrzekam! – Odwrócił się i ruszył w stronę miasta. Na ziemi zostawił wiadra z wodą.

– Czy zrobiłam coś złego? – spytała, wyraźnie zdezorientowana.

– Wręcz przeciwnie – odparł Chowaniec. – Właśnie pozwoliłaś mu dostrzec szansę. Szansę, o której marzył, a której nie potrafił wykorzystać, bo brakowało mu odwagi. Dzięki twojej Esencji dokona cudów. A teraz ruszajmy.

Dziewczyna nadal nie rozumiała, o co chodziło przewodnikowi. Postanowiła spytać później.

Kiedy już miała ruszyć za Kotem w stronę mostu, dostrzegła coś kątem oka.

– Kocie?

– Czego?

– Patrz, jaka zabawna mysz w kapeluszu. Chyba nam się przygląda...

– MYSZ?! GDZIE?! – Odwrócił się gwałtownie i najeżył sierść. – Widzę ją! To wróg! Za mną, Pani Kłątwo! Musimy ją złapać! – I puścił się w pogoń za białą myszą w kapeluszu z szerokim rondem na głowie i ze szpadą przyczepioną do pasa.

Mysz dostrzegła pościg, pisnęła i zeskoczyła z beczki wprost na swojego

wierzchowca. Był nim szczur, ale nie taki zwykły. Trzykrotnie większy od normalnego, miał postrzępione i poprzebijane kolczykami uszy, wielkie kły, czerwone oczy, brudną sierść, obrozę nabitą ćwiekami, siodło, lejce i długie, zakrwawione szydełko przypięte do boku niczym lanca.

Mysz popędziła ostrogami wierzchowca i w ostatniej chwili uniknęła szponów Kota, który z impetem uderzył w beczkę.

Pozbierał się szybko i krzyknął:

– Za nimi!

Pani Kłątwa bez zastanowienia pobiegła jego śladem.

Ulicę wypełniały tłumy przechodniów. Widząc Panią Kłątwe, rozstępowali się, a widząc biegnącą Panią Kłątwe robili to w jeszcze szybszym tempie. Niestety, nie wszyscy ją zauważyli. Potrąciła jakiegoś kupca (*Przepraszam!*), matkę z dzieckiem (*Najmocniej przepraszam!*), grupę żaków (*Wybaczcie!*) oraz kilka innych osób przeróżnych rozmiarów i profesji. W innych okolicznościach byłoby jej głupio, ale teraz kierował nią wewnętrzny głos, który przeczuwał, że jeżeli mysz ucieknie, stanie się dla niej zagrożeniem. Zresztą nie tylko dla niej.

Doskonale widziała przed sobą białego uciekiniera na szarym wierzchowcu, który zwinnie przemykał między nogami ludzi, kopytami koni, po błocie, kałużach, zgniłych warzywach, rozdeptanych owocach, pomiędzy drewnianymi kołami powozów i żebrakami, leżącymi na drodze z resztką czarno-rtęciowej cieczy w fiolkach.

Kot gdzieś zniknął.

Pani Kłątwa dostrzegła również, w jakim kierunku pędzi szczur: kilkadziesiąt metrów przed nimi była otwarta studzienka kanalizacyjna. Na tyle duża, by zmieściła się w niej mysz na dużym szczurze, lecz na tyle mała, by nie weszła tam dziewczyna.

Kiedy łapiąc dech w piersi próbowała dogonić wroga i zdała sobie sprawę, że jej się to nie uda, niemalże znikąd pojawił się Chowaniec. Zeskoczył z dachu i zagroził wejście do studzienki. Mysz zatrzymała swojego wierzchowca. Wyglądało na to, że chce się poddać albo zawrócić i wpaść wprost w ręce Pani Kłątwy, kiedy niespodziewanie podniosła zakrwawione szydełko. Wycelowała nim w Kota, spięła szczura ostrogami i natarła z całym impetem. Chowaniec zdał sobie sprawę, że postąpił dość głupio i że nie zdoła uniknąć ciosu.

Szydełko przebiło kocie płuco.

A raczej: prawie przebiło.

Nie-Adrianna jednym kopnięciem zmieniła tor jazdy szarżującej myszy. Ta poleciała kilka metrów w bok, wprost w wąską uliczkę. Kot próbował capnąć w tym czasie szczura, ale ten uniknął jego morderczych pazurów i wskoczył do studzienki. Chowaniec zdołał go tylko zadrasnąć, rozrywając skórę na grzbiecie.

– Cholera! – fuknął. – Już go prawie miałem, widziałaś? – Pani Kłątwy

jednak już nie było obok, wbiegła w uliczkę.

Zatrzymała się. Kilkanaście metrów przed nią zaczynał się gładki i bardzo wysoki mur. Dziewczyna chciała sprawdzić, czy mysz miała możliwość ucieczki jakimkolwiek innym wyjściem. Ceglane ściany były brudne. Na ziemi żadnych studzienek, dziur czy rur kanalizacyjnych, jedynie odpadki. W powietrzu unosił się smród zgniłych pomidorów i kartofli.

Nigdzie nie widziała myszy. Wtem tuż przed sobą dostrzegła biały kształt. Pobiegnęła w jego kierunku, pochyliła się, już go miała złapać, kiedy mysz zwinnie odskoczyła, a Pani Kłątwa straciła równowagę, poślizgnęła się i wywinęła kozła.

Wróg momentalnie wykorzystał okazję. Usłyszała świst powietrza, poczuła, jak coś z impetem odbiło się od jej brzucha, zobaczyła białą smugę, która odskoczyła od ściany jeszcze wyżej, a w locie błysnęła wyciągnięta szpada. To była kwestia ułamka sekundy. Mysz z nienawistnym okrzykiem w nieznanym dziewczynie języku rzuciła się ku niej z wyciągniętym ostrzem. Nie-Adrianna nie miała szans się zasłonić. Widziała, jak ostrze i pełne złości czerwone ślepiea zbliżają się w stronę jej szeroko otwartych oczu.

Cap! Czarny cień śmignął w tym samym momencie, gdy ostrze znalazło się milimetry od jej oka. Pani Kłątwa poderwała się na nogi, słysząc piskliwy krzyk.

– Mów, co wiesz?! – Kot łapą przyparł wroga do ściany. – Szybko!

– Nic ci nie powiem – zapiszczała mysz. Potem splunęła Kotu w oko.

Chowaniec wyrwał jej łapkę.

– Mów, gdzie oni są – wycedził.

– Ha, ha, ha – zaśmiała się nerwowo mysz. – Ich głowy leżą już u stóp króla!

– Łzesz! – Kot wydał z siebie pełen nienawiści syk i wyrwał myszy ucho. –

Mów, gdzie są, natychmiast!

Gryzoń kaszlnął krwią.

– Wszyscy... Cały wasz ród został zgładzony... Będziesz następny...

Chowaniec miauknął z furją.

Mysz sapała głośno, Kot czuł, jak pod jego zakrwawioną łapą panicznie wali serce wroga. Odwrócił głowę w stronę dziewczyny. Jego spojrzenie bardzo jej się nie spodobało. Przypominało wzrok tamtych przyprawiających o ciarki gargulców.

– Jeżeli dalej masz podejrzenia, że ten świat jest tylko snem, to się przypatrz.

– Podniósł gryzonia wyżej. Strumień mysiego moczu pociekł mu po łapie. Kot zwrócił się głośno do wroga, którego białe futerko zalane było posoką. – Ten świat... – przyłożył pazur na wysokości mysiego serca – ...parzy jak każdy inny.

Pchnął.

\*

Zostawili za sobą miasto. Przed nimi rozciągała się ścieżka między

drzewami. Było późne południe, słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Przed sobą mieli pustą drogę, mgła schowała się w głębi lasu.

Teraz patrzyła na rzeczywistość oczami Pani Klątwy. Las był tu zawsze. Niezglębiony i tajemniczy. Zawierał sekrety dużo starsze i dużo bardziej mroczne niż te, które skrywało miasto. Od czasu kiedy opuścili ślepią uliczkę, szli w milczeniu. Dziewczyna miała wiele pytań, ale nie chciała drażnić Kota. Z początku wyglądał, jakby miał zaraz pobiec w inną stronę, zostawić ją i zająć się swoimi sprawami. Coś go gnębiło, ale mimo mocy, jakie posiadała, wewnętrzny głos nie potrafił jej odpowiedzieć, o co chodzi.

Po półgodzinie Kot zaczął mrużyć, aż w końcu doszedł do siebie i stał się arogancki i bezczelny. Koty potrafią dać do zrozumienia, że czyjeś towarzystwo w danym momencie jest dla nich uciążliwe. Pani Klątwa właśnie tego doświadczała. Postanowiła zerwać okowy milczenia i kociej nonszalancji.

– Gdy gryfita otworzył przejście, znalazłam się w bardzo dziwnym pomieszczeniu – powiedziała ni to do siebie, ni do Kota. Nie zwrócił uwagi, dalej szedł przodem z wysoko uniesionym ogonem. – Było pełne oczu, a na środku siedziało... Siedział człowiek. Przypominał galaretę w kapłańskich szatach. I miał siedem fiolek na szyi. – Chowaniec z mrużenia przeszedł do nucenia kociej przyśpiewki. – I zastanawiam się... kim mógłby być...

– To Tercyta – wypalił Kot. – Widzi przyszłość, koniec tematu. I jakbyś była uprzejma nie przerywać mi. Tworzę. – Wrócił do nucenia swojego: *siedem żyć, siedem nieszczęść, koci los, kocia dola*, a potem zaczął cicho miauczeć.

– No dobrze. – Zamilkła, zrozumiawszy, że nic nie wyjdzie z tej rozmowy.

Po pewnym czasie doszli do rozdroża, pośrodku którego rósł zdrowy dąb.

– Którędy teraz? – Kot przerwał swoją przyśpiewkę.

– Muszę się zastanowić. – Pani Klątwa nie była pewna, czy skręcić w lewo, w głąb lasu, czy iść w prawo, w stronę jego obrzeży. Czekwała na impuls, ten sam, który kazał jej dojść do tego miejsca. Impuls nie pojawił się.

– Więc? – Kot spojrzał na nią spode łba.

– Co więc? Na razie nie wiem, muszę...

– Ech, marnujesz mój czas... – Chowaniec westchnął.

– Marnuję? Sam się zaoferowałeś zostać moim przewodnikiem, a od prawie godziny jesteś obrażony na wszystko. Co ja ci zrobiłam?

– Tak tylko mówię – udał, że nic się nie stało.

– Jeżeli nie chcesz, nie musisz mi towarzyszyć. Jakoś sobie poradzę.

– *Jakoś sobie poradzę* – zaczął ją przedrzeźniać. – Nie poradzisz sobie! Beze mnie nie przypomnisz sobie, dlaczego się tu znalazłaś. Lepiej mnie nie denerwuj. Myślisz, że to dla mnie przyjemność ganiać z tobą po Patrycjuszach i Septimusach, konfrontować się z morloqami i próbować znaleźć ciało ludzkiego dziecka? Odpowiem ci: to jest udręka.

– W takim razie czemu to robisz?

Nie odpowiedział. Zmierzył ją badawczym wzrokiem i odwrócił głowę. W tym momencie usłyszeli nad sobą gruchanie i spojrzeli w górę. A potem jak oparzeni odskoczyli od drzewa.

– Spory w spory iść nie warto, wartosztosz?

– Eee – odpowiedzieli równocześnie.

– E, bzde, do was sfrunę czy nie sfrunę, miejsce zróbcie – odpowiedział głos, a potem zrobił, jak obiecał. Sfrunął z gałęzi, na której siedział i wylądował przed nimi.

Pani Kłątwa pierwszy raz widziała anioła. I, łagodnie mówiąc, była zaskoczona. Większość aniołów, gdy je sobie wyobrażała, miało gniewne rysy, złote napierśniki i płonące miecze w dłoniach. No i potężne skrzydła. Anioły budziły strach i szacunek. Pojawiały się też takie, od których biła czysta dobroć. Ten był inny. Młodzieniec o bardzo efemerycznej urodzie, dużych błękitnych oczach, raczej kobiecym uśmiechu, blond włosach, ubrany w białą tunikę. U ramion miał przyklapnięte skrzydła. Sposób, w jaki mówił, patrzył i poruszał się, kojarzył się dziewczynie... z gołębiem.

– No więc jestem, grugru – zagruchał. – Czym uraczyć podróżni dróżnicy mogę was? Czy na gałąź przycupnąć zaś mili moi twoi oi?

Kotu opadł pyszczek.

– Ehm... Witaj, jestem Pani Kłątwa. – Wyciągnęła dłoń.

– Kłątwa mątwa ątwa. – Anioł podał jej łokieć i żywo nim potrząsnął. – Panie, co zajmują się tajemnic wydzieraniem. Brzydkich, ładnych i okropnych. – Zaczął kręcić się w kółko jak derwisz, z oczami skierowanymi ku niebu. – Tych ukrytych w skrytkach skrytych; tych otwartych, acz niewartych; tych, co wiedzą, co nie wiedzą; tych, co ich diabły i demony strzegą; tych, co strzygi diabłom jabłoń; tych, co naszych mąk uśmierzą... – Zatrzymał się. – I co aniołom blask oddadzą. Zgadza się, nie zgadza, Kłątwa wie czy nie wie? – Zatrzymał na niej nieustępliwe spojrzenie.

– Ekhm – zawahała się. To spojrzenie przez chwilę miało w sobie coś więcej niż tylko obłąd.

– Wie, że nie wie, a się dowie, bo opowiem. – Istota stanęła w wykroku, ręce rozstawiła szeroko. – Niech posłucha.

– Dobrze? – Spojrzała niepewnie na Kota, który tylko postukał się łapą w okolicach głowy i wymruczał bezgłośnie: jest stuknięty.

Anioł zaczął machać rękami, udając lot:

– Słońce, słońce hen wysoko, a my z nim lecieli. Chmury, bury, wicher, który nam rozskrzydlał skrzydła wzwyż. I tam z góry widać las, widać popas, gałąź ta, więc my w dół, pikujemy i na chwilę się zatrzymać chcemy. – Zaczął ich okrążać, wciąż udając, że leci. – Pikujemy w dół tam z góry, krótką przerwę w

locie długim zrobić chcieli. Skrzą się miecze, napierśniki, nasz cel w górze, hen daleko, ale chwila, krótki popas. Wylądował orszak naszych braci, wojowników. – Przykucnął. – Się siedziało, wino piło, przycupnęło, rozmawiało, wina piło więcej. Wino w gardło, serce, umysł, na języki. Inni pili, gaworzyli, ja też piłem, dużo wlałem i za kołnierz nie wylałem. – Gestem pokazał wlewanie wina z czary za kołnierz. – Wtem zasnąłem, sen głęboki, obiboki, sen tak długi, że niedługi czas upłynął, odlecieli, zostawili, zapomniałem, po co przyleciałem. Chciałem, chciałem, ale nie umiałem. Znaleźć drogę? – Wskazał palcem w niebo. – Tak, ja mogę, ale nie od razu. Zapomniałem, kim, czym chciałem być i byłem, czym się stałem. By rozwiązać tę zagadkę wypróbować muszę się. Czy pomoże tej anielskiej musze?

– Ech... Chyba nie do końca zrozumiałam, o co...

– Jak w potrzebie przybędzie, anioł czekał na gałęzi będzie. – I wskoczył na gałąź, na której przycupnął jak ptak. – Pani Kłątwa mąta ąta niech rozwiąże tajemnicę, sama swoją, moją, kocią tę intrygę, co ja widzę? Kocie płocie, coś straszego, niedobrego, coś, co wstydzi się powiedzieć...

– Koniec. – Kot fuknął. – Mam dość tego głupiego gadania. Idziemy w lewo, postanowiłem.

Pani Kłątwa uznała, że Kot ma rację, przeczucie kierowało ją wyraźnie w głąb lasu. Spojrzała na anioła, który przekrzywił głowę i patrzył na nich nieobecny spojrzeniem. Musiał być szalony. I chyba zrobiło mu się przykro.

– Kocie płocie, czemuś dociec chcę, próbuję, nieprzyjemny?

– Dajmy mu już spokój. – Kot się zdenerwował, jakby ktoś nadepnął mu na ogon. – To tylko pomyłony anioł, nietot w dodatku! Nie to, co potężne Anioły. Nikomu niepotrzebny. – Aniołowi ewidentnie zrobiło się przykro.

– Wszak ty Kocie ze mną pogrywasz, acz twa gra nie do końca jawna, coś mi się widzi, że ktoś szydzi. Ze mnie szydzi, z siebie szydzi, z Pani...

– Dość! – miauknął Kot, aż futro nastroszyło mu się na grzbiecie. -- Dość tych bzdur. Idziesz ze mną czy zostajesz z tym nietotem? – zwrócił się do Nie-Ady.

– Pójdę – odpowiedziała krótko. Ten anioł chyba faktycznie był obłąkany. Spojrzała na niego jeszcze raz, chciała przeprosić za zachowanie Chowańca, ale... on już spał na gałęzi.

– Głupi anioł – mruknął Kot na odchodnym i podążył w stronę lasu.

Pani Kłątwa poszła za Kotem. Zastanawiała się, czy awersja Chowańca do skrzydlatego pomyśleńca wiąże się z jego awersją do wszystkich upierzonych istot. Czy być może chodzi o coś więcej? O kocią intrygę?

Głos milczał.

\*



Kiedy podążali ścieżką w głąb lasu, znowu poczuła w głowie nieprzyjemne pełzanie. Niespodziewanie nawiedziły ją niepokojące obrazy przeszłych wydarzeń i emocji.

Kamienna droga była spowita ciemnością i mgłą, a jedyne źródło światła stanowił kryształowy flakonik dziewczynki w czerwonym kapturku. Spokój został zmałowany i Pani Klątwa odczuwała duszność w klatce piersiowej, pot na całym ciele, paniczny strach i podchodzące do gardła jedzenie, którym się obzarła w opuszczonym młynie.

– Wszystko w porządku? – Chowaniec z ciekawością przyglądał się dziewczynie, która nagle przystanęła, z szeroko otwartymi oczami rozejrzała się dookoła, a potem zgięła się wpół, jakby miała zwymiotować.

Mgła była wszędzie. A we mgle pojawiły się Istoty Nocy, demony. On wisiał na gałęzi z brzuchem pełnym kamieni, *To* ją śledziło, było tuż, tuż, zaraz miało wyskoczyć zza linii drzew. Czemu nie posłuchała matki?!

– Spokojnie, nie gniewam się już, nie musisz odstawiać przedstawienia...

Czemu nie posłuchałam matki? Czemu jej nie posłuchałam? Głos powtarzał nerwowo, a serce łomotało coraz szybciej.

– Przerażasz mnie trochę. – Chowaniec zrobił krok w tył, widząc, co się dzieje. Dziewczyna przycupnęła na ziemi, zaczęła nerwowo obgryzać paznokcie i z szeroko otwartymi czarnymi oczami bez białek rozglądała się wokół jak przestraszone zwierzę. Z gardła wydobywał się obcy głos, który cały czas powtarzał: *czemu jej nie posłuchałam? Czemu to zrobiłam?* Jej twarz również się zmieniła. Nie była już gładka, to była pomarszczona twarz staruchy. Fiolka ze złotą ciecżą zaczęła świecić rubinowo.

Głosy, szepty, zapachy, odczucia — to wszystko zagęściło się w Pani Klątwie. Znała teraz wszystkie sekrety młodej Lilki, wiedziała o jej małych zbrodniach, obrzydliwych tajemnicach, ohydny charakterze, planowanych zemstach i intrygach przeciwko innym dziewczynom z Klasztoru. Szkarłatne nici tych wszystkich rzeczy jaśniały w ciemności, splatały się ze sobą i prowadziły w jednym kierunku, w stronę pewnego wydarzenia, które miało miejsce kilka lat wcześniej. Kiedy zakradła się do podziemnego gabinetu ojca, do którego nikt nie miał prawa wejść, i obserwowała, jak Patrycjusz przekonuje przedstawiciela władz miejskich do słuszności swojego poglądu na temat udzielenia pewnej licencji. To było straszne, ale nie odeszła. Stała i patrzyła z fascynacją. Ta tajemnica nie była jednak najważniejsza.

Znowu znajdowała się na drodze, patrzyła w mgłę, w ciemną noc. Serce kołatało jej w piersi. Coś czaiło się w mroku. Nagle w oddali zobaczyła światło. I prawie wszystko, co się później stało.

– To ja już może sobie pójde. – Kot powiercił się nerwowo, czując na sobie straszne spojrzenie staruchy. Ale za każdym razem, kiedy robił krok w lewo lub w

prawo, śledziły go czarne oczy bez źrenic.

– *Zjedli mnie.* – Głos przemówił szeptem, a Kot, słysząc to, aż nastroszył futro. – Zostawili nieopodal obozu, na później. A potem przyszedł on. I odebrał, co miałam najcenniejszego. – Starucha wyrzuciła z siebie ostatnie tchnienie i zemdląła.

\*

Kiedy doszli do obozowiska karłów, Pani Klątwa wyglądała normalnie. Czuła się dobrze, oszołomienie już przeszło. Ale Kot patrzył na nią podejrzliwie. I chwilowo nie prawił złośliwości, był wręcz miły, milcząco uprzejmy.

Zastali całą siódemkę w obozie. Gdy Pani Klątwa i Chowaniec się zbliżyli, tamci poderwali się na nogi, chwycili kilofy, młoty, pałki i stanęli w obronnym szyku. Kot zatrzymał się, lecz dziewczyna, prowadzona głosem, szła dalej.

– Stój! – zaskrzeczał czarnobrody w czerwonej czapce. – Stój, bo cię zatłuczemy – pogroził kilofem.

– Nikt – przemówiła dziewczyna – nie będzie groził Pani Klątwie. – W tym momencie głowa krasnala z impetem uderzyła w trzonek kilofa. Karzeł padł na ziemię, a z jego czoła zaczęła sączyć się krew. Widząc to, inne karły odsunęły się. Pani Klątwa była teraz otoczona przez półludzi. Żaden nie odważył się odezwać.

Przyjrzała się wszystkim po kolei. Czarne, rude, brązowe i siwe brody, kartoflowate nosy, brzydkie usta, ostre, żółkłe zęby, świadczące o paleniu dużej ilości tytoniu, cofnięte dziąsła, u niektórych początki szkorbutu, popękane dłonie, sugerujące ciężką pracę w kopalni lub w kamieniołomie, i ten sam niepokojący błysk w oczach. Różne stadia obłędu.

Dostrzegła czerwoną arterię ich wspólnej tajemnicy. Dotarła do serca, wszystko zrozumiała.

– A teraz usiądziemy przy palenisku i o wszystkim mi opowiecie – oznajmiła, kiedy karzeł w czerwonej czapce podniósł się z ziemi. – Opowiecie mi o dziewczynie, którą zamordowaliście cztery dni temu. – Na te słowa półludzie zaczęli mrużyć gniewnie między sobą. – Ale zanim zajmiemy się tym tematem, pomogę rozwikłać waszą tajemnicę.

Karły zamilkły.

– Opowiedzcie mi wszystko o królownie Śniegowinie.

\*

– Nie chcieliśmy jej stracić – wyznał cicho Rungalbundurlowski, przywódca kompanii. Miał zaschniętą krew na czole. Od dłuższego czasu siedzieli wokół paleniska. Oni niżej, Pani Klątwa na podwyższeniu, a u jej stóp leżał potulnie

Chowaniec. Bał się karłów, widział, jak na niego patrzyły, niektóre oblizywały się nawet. Wolał poświęcić swoją dumę i udawać potulnego kociaka Pani Klątwy niż zostać nadzianym na patyk i obracany nad ogniskiem żarciem.

Wokół nich stały wozy, a na nich puste dębowe beczki i skrzynie pełne kamieni, które Lilka wzięła mylnie za złoto. Obok pasły się wychudzone kuce. Jeden z wozów zakrywała fioletowa plandeka. Dziewczyna przeczuwała, co pod nią jest, wołała jednak poczekać, aż karły same pokażą jej zawartość.

Ognisko płonęło, cienie wydłużały się, a potem zapadł zmrok i obozowisko otuliła mgła. Nastąpiła przedwieczorna cisza, karły paliły fajki, kuce rżały, a Chowaniec wiercił się niespokojnie.

Półludzie, jeden po drugim, opowiadali różne historie. Pani Klątwa słuchała ich burkliwej mowy, a nie-Ada z zafascynowaniem zastanawiała się, co się z nią dzieje. Ta silna kobieta, która widziała niewidzialne i znała odpowiedzi na niezadane pytania, coraz bardziej przejmowała jej osobowość.

Karły, z których większość ćmiła fajki albo z zaciekawieniem opierała się o kilofy, czekały na to, co Pani Klątwa będzie miała do powiedzenia. Opowiedziały też kilka historii. Pierwsza dotyczyła ich imion.

– Kiedyś – podjął drobny rudobrody – nazywaliśmy się inaczej: Kichacz, Wiedzący, Gbur, Nieudacznik, Rady, Lunatyk i Wstyd. Zmieniliśmy imiona po pewnym wydarzeniu. – Wymienił ich nowe miana, ale dziewczyna nie była w stanie ich spamiętać. Poza Rungalbundurlowskim.

– Popadliśmy w nędzę – ciągnął inny, z przykrótką lewą ręką. – Nagle nikt nie chciał skupować kamienia, który wydobywaliśmy z miejscowego kamieniołomu Za Krzewami. Jako jedyni w okolicy mieliśmy licencję na wydobywanie. Pewnego dnia odwiedził nas przedstawiciel Patrycjusza i zaproponował, że od tej pory to on będzie pośredniczył w dostawach kamienia przeznaczonego do rozbudowy miasta. Zażądał bardzo konkretnego procentu. Wyśmialiśmy go i kazaliśmy iść precz, kopiąc w zadek na pożegnanie – dodał z dumą, a współtowarzysze zarechotali. Po chwili dokończył smutniejszym tonem: – Patrycjusz bardzo wyraźnie dał nam do zrozumienia, że podjęliśmy złą decyzję. Zostaliśmy kilka razy napadnięci przez dziwne kamienne istoty, a kiedy wciąż odmawialiśmy współpracy, liczba kontraktów zaczęła gwałtownie spadać. Od kilku miesięcy nikt nie chce kupować od nas kamienia, a władze miasta udzieliły licencji na wydobywanie innej ekipie.

– Sponsorowanej przez Patrycjusza – kwaśno dodał karzeł, który gładził kuca po chrapach.

– Od tego czasu głodujemy – dokończył ten z przykrótką ręką. – Musieliśmy zjeść dwa kuce, ale za nic nie ulegniemy Patrycjuszowi ani też nie wyjedziemy stąd.

– Choćbyśmy mieli umrzeć i pozjadać się nawzajem – przemówił hardo

przywódca, a inne karły zawtórowały mu okrzykiem.

– Rozumiem. – Pani Kłątwa pokiwała głową, mierząc badawczym spojrzeniem wszystkich półludzi. – A teraz opowiedzcie mi, proszę, o królownie Śniegowinie.

Z początku karły milczały i wierciły się nerwowo.

Wyłamał się Rungalbundurlowski.

– Przygarnęliśmy ją kilka lat temu, kiedy zrozpaczona błądziła po lesie i chciała popełnić samobójstwo – zaczął półczłowiek o czarnej brodzie. – Nie znaleźliśmy do końca powodu jej tragicznego stanu. Dziewczyna mówiła coś o ojcu, który wydziedziczył ją i kazał stracić. Podobno została zhańbiona, a wraz z nią cały ród, który władał miastem, z jej ojcem na czele. Podobno była to intryga złej macochy. Zaopiekowaliśmy się Śniegowiną, karmiliśmy ją i dość mocno zżyliśmy się z królowną. – Inne karły mruknęły, jakby wspominały stare pogodne czasy.

– To była dziewczyna o złotym sercu – mówił półczłowiek w czerwonej czapce. – Powodziło nam się dobrze, więc mogliśmy zapewnić jej wszystkie wygody. Po kilku latach stała się nieodłączną częścią naszej kompanii. Chcieliśmy, żeby tak było zawsze. My, karły, nie kochamy tak jak inni, u nas nie ma czegoś takiego jak miłość. Nigdy się to nie zdarza. Ponad wszystko pożądamy bogactwa. Niestety, królowna Śniegowina stała się dla nas skarbem, którego chcieliśmy strzec za wszelką cenę.

– Dlatego ją w końcu uwięziliście – zgadła Pani Kłątwa.

– Tak. – Rungalbundurlowski pokiwał głową. – Musi Pani zrozumieć, my jej pożyliśmy jak najdroższego diamentu, jak skrzyń pełnych skarbów, a nawet bardziej. Nie mogliśmy dopuścić, żeby ktokolwiek inny posiadał ten skarb. A im bardziej jej strzeżliśmy, tym skarb coraz bardziej bladł. Ale wciąż był skarbem.

– Uciekała, a wy ją łapaliście i biliście. – Dziewczyna przeniknęła myśli karła.

– To było dla jej dobra, zapewniliśmy jej ochronę.

– A kiedy pojawił się młody książę... Wtedy ją otruliście – dokończyła.

– Tak.

– Opowiedz mi o tym.

– Wiedzieliśmy, że Śniegowina coś szykuje – podjął karzeł po chwili zadumy. – Była niezwykle potulna, codziennie stroiła się w najpiękniejsze szaty, wyglądała jak poranek – rozmarzył się. – Gotowała dla nas bez kręcenia nosem, nawet nie musieliśmy już zostawiać nikogo w obozie, żeby jej pilnował. To znaczy – wtrącił – zawsze jeden z nas zostawał, ale daleko od obozu, żeby nie domyśliła się, że jest obserwowana. I pewnego dnia, kiedy Wstyd został na posterunku, królowna wyszła z obozu. Podążył za nią. Wkrótce dotarła na polanę, gdzie czekał na nią ten śliczny książę. Wstyd podszedł bliżej, podsłuchał ich rozmowę i poznał intrygę. Okazało się, że książę chciał najechać obóz wraz ze zbrojnym oddziałem i

powyrzynać nas jak świnie. Śniegowina nalegała, żeby tego nie robił. Kiedy dał się przekonać, wręczył jej fiolkę z silnym środkiem nasennym i kazał wlać do gulaszu. My byśmy posnęli, a on przyjechałby po królownę i mogliby uciec daleko stąd.

– Kiedy wróciliśmy z kamieniołomu i Wstyd opowiedział nam o wszystkim, postanowiliśmy zabić Śniegowinę. Po namyśle zmieniliśmy zdanie. Uratowało ją tylko to, że nie zgodziła się na zaszlachtowanie nas w nocy przez oddział księcia.

– Przyszła pora kolacji, królowna doprawiła kocioł z gulaszem swoją „przyprawą” i zawołała: *Chłopcy, czas na posiłek*. Przyszliśmy. I nakarmiliśmy ją jej własną kolacją.

– Zapadła w śpiączkę i umieściliśmy ją w kryształowej trumnie. – Wskazał kiwnięciem głowy wóz, okryty fioletową plandeką. – Tej samej nocy zasadziliśmy się na księcia, a kiedy wpadł w nasze ręce, wykastrowaliśmy go. I więcej się tu nie pojawił. Uciekł za siedem gór i za siedem lasów – dokończył rechocząc. Kot, słysząc ostatnie zdanie, zwinął się w kłębek.

– Wtedy zmieniliście imiona. Od tamtego momentu toczy was obłąd. Macie skarb, który nie może już być waszym skarbem – stwierdziła Pani Klątwa. – Pokażcie mi ją.

Rungalbundurlowski wstał, za nim reszta kompanii. Podeszli do wozu, karzeł odsłonił plandekę i przyświecił lampą. – To jest właśnie królowna Śniegowina, nasz najcenniejszy skarb.

Kot, widząc „skarby”, odskoczył od wozu i pobiegł z wymiotować.

– Zakryjcie to. – Pani Klątwa, choć chciała, nie mogła oderwać wzroku od czegoś, co kiedyś było człowiekiem, a od kilku miesięcy stanowiło obraz rozkładu, zaburzonego wpływem tajemniczego specyfiku. Nigdy w życiu nie widziała tylu etapów gnicia tkanek jednocześnie. – Jeszcze dzisiaj królowna Śniegowina ma znaleźć się tam, gdzie chowacie wszystkie drogocenne skarby. Pod ziemią.

\*

– A teraz opowiedzcie mi o Lilce – powiedziała, kiedy znowu usiedli przy palenisku. Nie był to uprzejmy głos, a szorstki rozkaz. Po chwili pojawił się Kot, chwiejnym krokiem podszedł do jej stóp i zwinął się w kłębek. Coś wystawało mu z pyszczka.

– Co tu dużo mówić – podjął Rungalbundurlowski. – To był dzień jak co dzień. Wróciliśmy z kamieniołomów, wciąż nikt nie chciał z nami handlować. Byliśmy głodni. I wściekli. Wiemy, że to wszystko wina Patrycjusza. I tak się złożyło, że kiedy jedliśmy resztki naszego kucyka, przyszedł do nas prosiaczek w czerwonym kapturku. Pani Klątwa, proszę uwierzyć, ona nie wyglądała jak dziewczynka – zapewnił karzeł. – Miała ryjek, ogonek, a nawet racice. Więc szybko go złapaliśmy, jednym celnym uderzeniem kilofa powaliliśmy na ziemię,

spuściliśmy krew i zjedliśmy tylko najdelikatniejsze kawałki. Zaczęliśmy od karku... – Rungalbundurlowskiemu zaświeciły się oczy, kilka karłów oblizało usta, ale Pani Kłątwa stanowczo przerwała opis tej makabrycznej uczty:

– Dostyc. – Spojrzała na nich groźnie, aż skurczyli się w sobie. – Wiem, co zrobiliście i czemu to zrobiliście. I nie okłamuj mnie, Rungalbundurlowski. Wiedzieliście, że macie do czynienia z człowiekiem. Doskonale zdawaliście sobie sprawę, że to była mała dziewczynka, a w dodatku wiedzieliście, czyją była córką. To była zemsta. – Karły solidarnie milczały.

– Być może – przywódca kompanii mruknął pod nosem. – Ale czy nie mieliśmy prawa...

– Koniec – znowu przerwała. – Dobrze wiecie, jak to się dla was skończy. I nie interesują mnie wasze motywy. Jestem Panią Kłątwą, wydawanie osądów to nie moje zajęcie. – Z każdym słowem nie-Ada znikwała, coraz bardziej stawała się Panią Kłątwą. – Jutro przyjdą tu ludzie Patrycjusza, zabiorą to, co zostało z ciała dziewczyny. Lepiej, żeby was tu nie było.

Karły zaczęły mruzczyć między sobą.

– Dobrze wiem, co chcecie zrobić, widzę, że jednego z was tu nie ma i że on zaraz zbliży się i spróbuje zamachnąć się na mnie toporem, ale... nie radzę. – Odwróciła się. Nad nią stał karzeł z toporem wzniesionym do ciosu. Półczłowiek, który kiedyś nazywał się Lunatykiem, nie potrafił się ruszyć. Pani Kłątwa wstała, karły odskoczyły. – I nie jest moim obowiązkiem wymierzać wam sprawiedliwość. Kara was dosięgnie, wiem to. Można ją tylko odwlec. Przybyłam tu po to, aby rozwiązać Wielką Tajemnicę, by dowiedzieć się, kto albo co kręciło się przy zwłokach dziewczyny tej samej nocy, kiedy wyrzuciliście je poza obozowisko. Mówcie.

– Ta istota. – Rungalbundurlowski rozejrzał się nerwowo po lesie. – Ona zjada Stygnących, zjada trupy. I robi coś jeszcze. Zabiera ich Esencję.

Na te słowa ciemność wlała się do głowy Pani Kłątwy. Zobaczyła świetlistą pszczołę, zobaczyła szybki ruch ręki, zobaczyła ludzkie oczy w ciemności i istotę, która nie mogła być człowiekiem.

Potem nastąpił wybuch i Pani Kłątwa obudziła się we śnie, krzycząc z bólu.

## Rozdział IV

### Dale

Początkowo nie wiedziała, co się dzieje. Eksplozja bólu w nogach, oku i kręgosłupie. Ciało mimowolnie wygięło się w łuk i głośno uderzyło o materac szpitalnego łóżka.

– Podajcie morfinę! Szybko! – Usłyszała komendę, wypowiedzianą nieznajomo-znajomym głosem.

Z trudem uniosła prawą powiekę. Wszystko rozmazywało się pod wpływem bólu głowy i łez, które zalały jedyne zdrowe oko. Wokół panowało zamieszanie, ludzie w białych kitlach biegali tam i z powrotem, ktoś wstrzykiwał jakieś płyny do kroplówki. Nie-Pani Klątwa pomyślała, że śni jej się przedziwny koszmar, ale miejsce wydawało się znajome. Ze względu na nieznośny ból postanowiła jak najszybciej się obudzić. Zamknęła powiekę i zaczęła odpływać.

– Pośpieszcie się! Tracimy ją...

To były ostatnie słowa, jakie usłyszała. Potem wpadła w ciemność.

\*

Kiedy otworzyła oczy, odetchnęła z ulgą. Nieznośny ból minął. Jednak w tym samym momencie rozwarła usta w niemym przerażeniu.

Leżała na czymś miękkim. Nad nią, na granatowym niebie, jaśniały gwiazdy. Zbliżał się świt. Po ziemi sunęła rzadka, chłodna mgła. A w tej mgle nie-Ada zobaczyła upiora.

Eteryzna istota utkana z szarych włókien wilgoci wyduła usta w niemym krzyku i wyciągnęła szponiaste dłonie w stronę jej szyi. Kiedy miała zapleść długie, lodowate palce na gardle Pani Klątwy i zacisnąć je, znikąd pojawił się ratunek. Jaśniejący kolorem palonego magnezu płomień zaczął spopielać końcówki szponów upiora. Szybko zajęła się cała ręka. Upiór wrzasnął przeciągle i odleciał łukiem w stronę nieba, by po chwili rozpląnąć się w powietrzu.

– Nic ci nie zrobią – usłyszała spokojny męski głos. Podniosła się. Spostrzegła, że jedzie leśną ścieżką na drewnianym dwukołowym wozie. Wszędzie dookoła była mgła i powykrzywiane twarze upiorów oraz Stworzeń Nocy. Wyglądały jak potępięcy, którzy chcą dotknąć żywych i wciągnąć ich do swojego świata mgieł i beznadziei. Upiory przypominały oszpeconych ludzi w różnym wieku. Byli tam starcy o ślepych oczach i małe dzieci o pomarszczonej skórze, mężczyźni i kobiety wyglądający na zniszczonych wieczną, beznadziejną pracą,

chciwe istoty, lubieżnicy i mordercy, marynarze i cieśle, duchowni, królowie i zbrodniarze. Byli wszyscy, absolutnie wszyscy, o których pomyślała albo nie zdążyła pomyśleć, a łączyło ich potępienie. Upiory krążyły wokół, ale nie zbliżały się do wozu, tylko cicho zawodziły między drzewami. Na przedzie wozu kołysała się latarnia pełna rtęciowej cieczy. To od niej bił blask, który odganiał Istoty Nocy, torując bezpieczną drogę pośród mgieł. Obok lampy siedział zakapturzony woźnica. Nie odwrócił się.

– Przejeżdżamy przez upiorzysko – powiedział i pstryknął palcami w stronę lampy. – To nas chroni przed nieproszonymi gośćmi. A teraz zalecam dalszy sen. Jest piąta nad ranem, dopiero świta. Nie wiem, czy strażnicy wpuszczą nas do Aerie tak wcześnie.

– Chyba odechciało mi się spać – odpowiedziała z przekąsem. – Gdzie ja w ogóle jestem?

Woźnica obrócił się na koźle, wyciągnął mocarną dłoń.

– Nazywam się Dale. – Wysilił się na ponury uśmiech, ukazując komplet zdrowych, białych zębów. Usta otaczały mu dwa warkocze jasnych wąsów, a całą twarz porastała równie jasna broda zapleciona miejscami w warkoczyki poprzątkane srebrnymi koralikami.

Zdała sobie sprawę, że gdzieś już widziała tego olbrzyma w opończy barwy mchu.

– Pani Klątwa, miło mi. – Odwzajemniła uścisk. Na te słowa oczy o odcieniu głębokiego oceanu zaiskrzyły na ułamek sekundy. Zaraz jednak woźnica odwrócił się i znowu zapatrzył się na drogę. W dłoniach trzymał lejce, zamocowane do uprzęży kasztanowego konia. Zwierzak musiał przywyknąć do tych niepokojących istot, które wyłaniały się z morza wilgoci.

Dziewczyna patrzyła przez chwilę na woźnicę i na konia. Z trochę większą pewnością rozejrzała się po rzednącej mgłę i zawodzących między drzewami zjawach. Wciągnęła powietrze, było mroźne i pachniało ściółką leśną. Zastanawiała się, jak tu trafiła. I kim on właściwie jest?

– Dale – zagadnęła. – Czy mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego jestem na wozie?

Woźnica milczał. Było słychać wyłącznie rytmiczne uderzenia kopyt, skrzypienie drewnianych kół, obracającą się oś wozu i zawodzenie upiorów, wymieszane z szumem porannego wiatru.

– Mówi się, że Panie Klątwy przenikają wszystkie tajemnice – powiedział, nie odwracając się. – Czy wiesz, jaką tajemnicę wiozę ze sobą?

Zastanowiła się, głos jednak milczał.

– Nie mam pojęcia.

– Jest to tajemnica pustego brzucha – odparł. – Sięgnij do małego zawiniątka między pakunkami, leży tam suszona wieprzowina.



Zrobiła, jak prosił i podała mu owinięte w materiał plastry mięsa, które wyciągnęła spośród płóciennych worków.

– Dziękuję ci. – Łapczywie ugryzł kawałek. – Jeżeli chcesz, częstuj się.

– Nie. Nie jestem głodna.

– Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać, jeżeli będę zwracał się do ciebie bezpośrednio, co?

– Nie ma problemu.

– Nie przywykłem mówić do młodych dziewcząt per *pani*. – Machnął lejcami, a potężne ramiona poruszyły się pod opończą. – Zaspokoilem głód, więc mogę ci opowiedzieć, co się stało.

– Dale? – przerwała mu.

– Hmm?

– Masz coś do okrycia? Jest mi strasznie zimno – powiedziała dygocąc. W końcu miała na sobie ciągle ten sam strój, który nosiła w ciepłe południe poprzedniego dnia.

– Oczywiście. Koc powinien być pod ostatnim workiem. Nie gwarantuję jego świeżości, ale zawsze się ogrzejesz. Masz?

– Tak, dziękuję ci. – Owinęła się szczelnie. Koc pachniał mokrym psem.

Mgła prawie zupełnie zrzędła, a wraz z nią poznikały upiory.

– Opowiadaj, co się stało.

– Jechałem nocą w okolice Białych Mogił, wioski, do której przewożę towary z Aerie. Wtem natknąłem się na Chowańca, znasz go? To ten zarozumiały Kot, któremu brakuje jeszcze kapelusza i butów, żeby mógł obnosić się ze swoim dostojemstwem.

– Tak, jest moim przewodnikiem.

– Wyglądał jakby zobaczył samą Śmierć z Uczennicą. Wołał w moim kierunku. Zatrzymałem się. Mówił nieskładnie, że potrzebna jest moja pomoc, że jakaś istota, co pożera Stygnących, znajduje się w okolicy i on nie jest w stanie udźwignąć. Czego udźwignąć, pytam się go. Pani Klątwy, odpowiada. I od słowa do słowa okazało się, że zemdląłeś, a ten dumny nicpoń, który nigdy o nikogo się nie troszczy – jest w końcu Kotem – czuwał nad tobą przez pół nocy. W pewnym momencie, kiedy coś zaczęło się do was zbliżać, obleciał go strach i pobiegł po pomoc.

– Mówimy o tym samym Chowańcu?

– Tak – mruknął woźnica i sięgnął po kolejny płat suszonej wieprzowiny. – Obiecał wyświadczyć mi przysługę, więc pojechałem za nim. Nieopodal, na pustej polanie, znalazłem ciebie. Leżałaś bezwładnie na ziemi. Zauważyłem coś jeszcze...

– Jak to na pustej polanie? Nie było tam karłów? Obozowiska?

– Poza tobą i świeżo zasypaną dziurą w ziemi, z której wydobywał się straszny smród, nie było nic więcej. No, może poza tą istotą.

– Jaką istotą?

– Mówią o mnie, że jestem szalonym przewoźnikiem – zniżył głos. – Że jako jedyny odbywam nocne kursy, bo mogę podbić stawki i zarobić więcej Esencji. Że życie mi niemiłe. Prawda jest taka, że wszyscy boją się wyjechać w ciemną noc na trakt. Ale kiedy pali się to światło – postukał w lampę – żadne Istoty Nocy, demony, upiory czy inne potwory, które wyłazą z mgły, nie są mi straszne.

– Muszę jednak przyznać – dodał po chwili – że wczoraj w nocy obleciał mnie strach. Od kiedy jeżdżę po ciemku na trakcie Aerie – Białe Mogiły, nigdy nie spotkałem się z człowiekiem, który swobodnie chodziłby pośród mgieł. A raczej z czymś, co przypominało człowieka.

Pani Kłątwa znowu przypomniała sobie o świetlistej pszczole. I o ludzkim wyciu.

– Słyszałem ostatnio opowieści o istocie, która pożera trupy – dodał prawie szeptem. – O niebezpiecznej kreaturze. Wieśniacy, chłopcy oraz starszuszki mówią, że coś niedobrego pojawiło się w okolicy. Zazwyczaj macham ręką na takie bujdy. Jednak tej nocy, kiedy ujrzałem go... to... Nie czuję się już tak bezpiecznie.

Znowu jechali w ciszy. Słysząc było tylko skrzywienie kół i obracającą się oś dwukółki. I ptaki. Przed nimi zaczęły pojawiać się mury miasta.

– Jak ona wyglądała? – zainteresowała się dziewczyna. – Ta istota... która pożera trupy?

– Trudno powiedzieć. – Podrapał się po głowie. – Wyglądała jak człowiek, ale nie była do końca człowiekiem. Była daleko, przyglądała ci się, chyba ją spłoszyłem. Zanim uciekła, wydała przeciągły skowyt. Brzmiał bardzo ludzko.

– Dlatego też – dodał po chwili – będę musiał podnieść cenę moich usług.

Pani Kłątwa chciała spytać o Chowańca, ale Dale wtrącił:

– Dojeżdżamy, prrrr!

\*

Zatrzymali się przed bramą wjazdową. Obok znajdował się posterunek, z którego biła łuna bladego światła lampy oliwnej.

– Kto tam? – Jeden ze strażników wyszedł z kuszą w ręce i próbował dojrzeć, kto prowadził wóz.

– A kto jest na tyle szalony, żeby jeździć po zmroku traktem? – Olbrzym zeskoczył z wozu.

– Dale! – Strażnik odłożył kuszę. – Widzę, że znowu udało ci się wrócić, ty synu nocnych panien.

– Jak co noc, Ziemku – odparł olbrzym i wyściskał strażnika.

Po chwili z posterunku wyszedł drugi, z obgryzioną kością w jednej ręce i butelką miodu pitnego w drugiej.

– Się masz, olbrzymie. – Machnął butelką i zachwiał się.

– Widzę, że nieźle sobie balujecie na służbie, Łokietku.

– A dajże mi spokój. – Tamten zachwiał się i wycelował kość w pierś woźnicy. – Pilnuj swoich spraw. – Potem spojrzął na wóz i zmrużył oczy. – A kim jest ta panna?

– Wiozę ze sobą pewną dziewczynę. Mam nadzieję, że nie będzie z tym problemu? – odpowiedział Dale.

– Panna? – Łokietek czknął i ruszył chwiejnym krokiem w stronę dwukółki.

– A skąd masz taką ponętą dziewczkę, he? – Oparł się o wóz i przyjrzał dziewczynie. Milczała, patrzyła na niego zimno i wyniośle. Strażnik uśmiechnął się głupkowato. – Z lasu?

– W zasadzie to tak...

Łokietek uśmiechnął się jeszcze szerzej, pokazując resztki mięsiwa na zepsutych zębach. Zionęło od niego kwaśnym oddechem. Chyba próbował ją zauroczyć. Nie działało. Dziewczyna przyglądała mu się z wyczuwalną rezerwą. Postanowił zmienić taktykę. Spojrzął na Dale'a:

– Dasz później poruchać? – spytał głośno.

– Sam jej spytaj – odparł Dale, a potem dodał jeszcze głośniejsze: – To Pani Kłątwa.

Łokietek nagle otrzeźwiał. Zbladł jak płótno i spojrzął z przerażeniem na dziewczynę.

– Ehm... Tak... Chciałem powiedzieć, czy możemy... *Postuchać* potem jakichś historii... Panie Kłątwy to bardzo ciekawe kobiety, które znają mnóstwo...

– To jak, wpuścisz nas? – Dale zagadnął Ziemka, kiedy drugi ze strażników płaszczyl się przed wozem.

– Chyba nie mam wyboru. – Tamten wzruszył ramionami.

Olbrzym uściśnął mu dłoń, a potem wskoczył na wóz. Ukradkiem puścił dziewczynie oko i strzelił lejcami.

– Niech Esencja chroni was przed mrokami świata – zawołał strażnik, kiedy go mijali.

– I przed podłością ludzką – dodał Łokietek.

Wóz zniknął w bramie.

\*

– Obiecałem temu futrzastemu nicponiowi, że zaopiekuję się tobą do jego powrotu.

– Gdzie on teraz jest? – spytała, gdy dojeżdżali do Rynku Głównego.

– Chowaniec, jak każdy Kot, chadza tylko sobie znanymi ścieżkami. – Dale zatrzymał powóz. – Będę ci towarzyszyć, ale najpierw muszę odwieźć towar do kupca na Rynek Dębowy. Zajmie mi to trochę czasu, możesz go wykorzystać na

odświeżenie się – dodał obcesowo i wyciągnął w jej kierunku wielką dłoń, żeby pomóc zejść z wozu.

– Dziękuję, poradzę sobie. – Zeskoczyła zgrabnie.

Olbrzym wzruszył ramionami.

– Nie to nie. Jesteś bardzo zasadniczą kobietą.

– Jestem – odparła sucho. – Czyli zostawiasz mnie tutaj samą?

– Nie do końca, spójrz tam. – Wskazał palcem fasadę jasnej kamienicy, którą przyozdabiały kamienne głowy kozłów. – Przejdziesz przez bramę, zejdziesz schodami w dół i trafisz do Piwnicy pod Kozłami. Kot mówił, żebyś spytała o Petra Skrzynię, on się tobą zajmie. Ja tymczasem – wskoczył na wóz i chwycił lejce w dłonie – pojedę na Rynek Dębowy. Nim się obejrzysz, będę czekał na dole, przy kuflu. Tymczasem! – Strzelił lejcami i kasztan ruszył.

Pani Kłątwa spojrzała za oddalającym się wozem. Nie lubiła bezpośredniości, ale Dale wzbudził w niej sympatię. Poczula przyjemne ciepło w brzuchu.

Kiedy wóz zniknął, przysłonięty przez pierwszych handlarzy, którzy zaczęli rozkładać stoiska, Pani Kłątwa ruszyła do Piwnicy pod Kozłami.

\*

– Witam! Pani Kłątwo, tyle czasu minęło! – Energiczny jegomość z bokobrodami, w słomkowym kapeluszu na głowie, przywitał ją w progu. – Tak się cieszę, że Panią widzę.

– Witam... Petr Skrzynia, tak? – zapytała niepewnie.

Karzeł zmierzył ją uważnym spojrzeniem i cmoknął.

– Ha! Widzę, że niedawno się Pani wybudziła, kłopoty z pamięcią... Tak, to ja, Petr Skrzynia we własnej osobie, kłaniam się nisko. – Zgiął się w ukłonie i machnął zamasyżycie kapeluszem. – A teraz, żeby nie marnować czasu, pójdę otworzyć Pani pokój.

– I zbiegł po wąskich schodach w dół korytarza. Wrócił po chwili z wielkim pękiem kluczy.

– Zdaję sobie sprawę, że Pani Kłątwa zawsze ma mało czasu i pojawia się wyłącznie w jasno określonym celu, dlatego nie marnujmy go! Proszę za mną. – Ruszyli w górę schodów. Dziewczyna znowu znalazła się na dziedzińcu. Petr Skrzynia przeszedł przez podwórze, otworzył drzwi do jasnej kamienicy i zawołał do dziewczyny: – Proszę, proszę!

– Dobrze, ale dokąd idziemy?

Karzeł przystanął, odwrócił się.

– Jak to dokąd? Do kwatery Pani Kłątwy – powiedział i zniknął w korytarzu.

Kiedy wspięli się na najwyższe piętro budynku, Petr Skrzynia zaczął szukać

klucza, otwierającego drzwi z czerwonego drewna. – Nie, nie ten... Ten też nie... – mówił do siebie przy akompaniamencie brzęku metalowych kółek. – O! Ten powinien być odpowiedni. – Włożył duży, poskręcany klucz do zamka. Szczęknęło. – Gotowe, zapraszam do środka. – Uchylił drzwi i ukłonił się. – Wewnątrz jest wszystko, czego Pani potrzebuje. Kierowany przeczuciem, że Pani przybędzie, z samego rana kazałem przygotować wannę do kąpieli. – Powiedział dumnie. – Proszę się rozgościć, a ja tymczasem zlecę przygotowanie posiłku.

– Dziękuję bardzo. – Dziewczyna odkłoniła się. Karzeł z bokobrodami uśmiechnął się, a potem pośpiesznie udał w dół schodami wyłożonymi czerwonym dywanem.

Pani Kłątwa weszła do środka. I oniemiała z wrażenia.

Pomieszczenie było bardzo rozległe. Z prawej strony znajdowało się łożo, zwieńczone granatowym baldachimem z kaszmiru, na którym mieniły się złote gwiazdy. Obok stała trzyskrzydłowa toaleta, na której tłoczyło się mnóstwo flakoników, pudrów i szminek. Pośrodku, przy ścianie z ciemnych drewnianych paneli, którą przyozdabiała skóra olbrzymiego tygrysa, znajdowała się szafa długa na prawie dwanaście metrów. Jej wyłączną zawartość stanowiła garderoba Pani Kłątwy. Po lewej stronie stała miedziana wanna, w której przygotowano gorącą kąpiel z różową pianą. Ściany mieniły się różnymi odcieniami błękitu i fioleto, z okien zaś rozpościerał się widok na Rynek Główny.

W powietrzu unosił się zapach drzewa sandałowego, cytryn i mocnej kawy.

Pani Kłątwa stała w niemym zachwycie. Patrzyła na wszystkie ubrania, zgromadzone w ogromnej szafie, na te piękne suknie, tiule i koronki, na flakoniki z perfumami i biblioteczkę z czarnego dębu, która skrywała grimoary, setki grubych książek oprawionych w skórę. Leżał tam również plik pożółkłego papieru, na którym spoczywało czarne wieczne pióro. Coraz bardziej czuła, że to miejsce jest jej znane. Jakby spędzała tu wcześniej mnóstwo czasu. A potem zamknęła drzwi, zrzuciła ubrania i wzięła kąpiel.

\*

– No, no, no, cóż za przemiana. – Dale pokiwał głową z uznaniem, kiedy Pani Kłątwa pojawiła się w Piwnicy pod Kozłami. – Usiądź, proszę, karzełek przygotował to wszystko na twoje przyjście. – Wskazał stół, na którym stały dwa gąsiory wina, pieczona kaczka, kawałki cielęciny nabite na szpadę, pod którą płonął ogień, półmiski owoców i mocno przyprawionych warzyw. Widząc ogrom smakowitego jadła, Pani Kłątwa uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna.

Nie pokazała tego po sobie. Usiadła powoli, dostojnie.

Pierwsi klienci utkwili w niej spojrzenia pełne zachwytu. Olbrzymowi również błysnęła iskra w oku. Mimo że potrafił ukryć to lepiej niż inni, Pani

Kłątwa wiedziała, że zrobiła na nim wrażenie.

– Wyglądasz zjawiskowo – powiedział jakby od niechcenia.

– Dziękuję. – Ukłoniła się nieznacznie, z dystansem. Zapach jaśminowych perfum wypełnił powietrze, atramentowa suknia zalśniła pod wpływem światła lamp. – Jemy?

– Oczywiście. – Olbrzym podniósł dębowy kufel i pociągnął duży łyk piwa, wciąż patrząc w oczy Pani Kłątwy.

Wydawało jej się, że Dale kryje w sobie jakąś tajemnicę. I to niejedną. Nie potrafiła jednak jej dostrzec. Mimo że jego obecność dawała jej poczucie bezpieczeństwa, skrywał w sobie niepokój. Coś, co od pierwszego momentu kazało zachować w stosunku do niego ostrożność.

– Dlaczego nie nosisz flakonu z tą rtęciową cieczą na szyi, jak wszyscy? – spytała znad półmiska z gęsią i warzywami.

– Mówisz o Esencji? Noszę ją, tylko gdzieś indziej. – Postukał w żelazny kuferek przypięty do pasa. – Chcesz, żebym ci coś o niej opowiedział? Widzę, że niewiele pamiętasz. – Bezceremonialnie wziął udziec barani do ręki i zaczął go jeść bez użycia srebrnych sztućców.

– Tak, opowiedz mi o Esencji. – Wargi pomalowane rubinową pomadką zanurzyła w czarce z winem o podobnym odcieniu. – Zamieniam się w słuch.

Dale żuł, patrząc przed siebie.

– Esencja jest wszystkim i możesz z nią zrobić wszystko – odezwał się w końcu. – Esencję możesz wymienić na jedzenie, na miejsce do spania, możesz ją włączyć do obrotu wymiany towarów, pobierać za jej pomocą opłaty za usługi, jak ja to robię. Możesz ją komuś podarować i – w zależności od tego, jakim jesteś człowiekiem – uszczęśliwić tę osobę albo ją pogrzyżać, dosłownie przelewając na nią swoje niegodziwości. Esencja pokazuje, kim jesteś, do jakich organizacji należysz, czy należy ci się szacunek. Dla przykładu wiele młodych dziewczyn, panien z *dobrych domów* – dodał z kpiną – stara się o przyjęcie do Klasztoru. Dzięki temu fiołka z ich Esencją zwiększa się. – Pani Kłątwa zrozumiała, dlaczego wszystkie córki Patrycjusza zostały wysłane do Klasztoru. – Wszyscy pragną mieć jej jak najwięcej, ale nie są do końca świadomi konsekwencji. Im masz więcej Esencji, tym mocniej ona cię kształtuje. Załóżmy, że żebrak, w dodatku morderca, dostał tak dużą fiołkę z Esencją jak twoja. – Wskazał palcem dekolt dziewczyny. – W czasie krótszym niż tydzień jego twarz stałaby się szpetna i byłoby widać, kim naprawdę jest. Najgorsza byłaby oczywiście sytuacja tych, którzy są dotknięci *peccatum tensi*.

– *Peccatum tensi*? – Odkroiła kawałek kaczki i włożyła do ust, śledząc wzrokiem spojrzenie Dale'a.

– Nic nie pamiętasz... – stwierdził. Jego głos był szorstki. – Jeżeli dokonasz czegoś strasznego, popełnisz naprawdę ohydną zbrodnię, zawartość twojej fiołki

zmienia kolor, czernieje. I wtedy zaczyna się prawdziwy koszmar – wyjaśnił, obgryzając udziec i koncentrując się na nim bardziej niż na rozmówczyni. Trochę ją to zabolalo. – Nie jesteśmy chronieni przed żadnymi złymi siłami, demonami czy upiorami. Co więcej, zaczynamy sami siebie zjadać od środka. Esencja jest silnie związana z naszą religią i naturą. Jeżeli zrobimy coś przeciwko nim, to zaczniemy zmierzać ku samounicestwieniu. Powoli, ale skutecznie. Na pewno zwróciłaś uwagę na wątle sylwetki, pochowane w mrokach uliczek. To są właśnie ci wszyscy ludzie, którzy popełnili przynajmniej raz w życiu *peccatum tensi*.

– Rozumiem – pokiwała głową.

– Z Esencji można wyczytać wszystkie informacje o danej osobie. Ale spokojnie – mrugnął i uśmiechnął się cierpko – ja tego nie potrafię. Nawet Panie Kłątwy nie mają tego daru. Zajmują się tym kapłani i to jedynie wybrani.

– Jak Tercyta?

– O, widzę, że już coś zaczynasz sobie przypominać. – Dopił piwo i zawołał w stronę korytarza. – Dobrodzieju, przynieś mi jeszcze jedno!

Po chwili przybył Petr Skrzynia, dzwigający duży kufel piwa. Biorąc pod uwagę kontrast jego niskiej postury z rozmiarami kufla, piwo wydawało się naprawdę ogromne.

– Proszę bardzo, panie Dale. – Postawił piwo przed olbrzymem i rzucił obojgu siedzącym przy stole gościom badawcze spojrzenie. Machnął na dwie piersiaste pomocnice, żeby pomogły mu zebrać puste naczynia, a potem nachylił się do dziewczyny i spytał:

– Pani Kłątwo, czy jedzenie smakuje? Czy mogę czymś służyć?

– Wszystko jest doskonałe, panie Petrze. – Uśmiechnęła się.

Gospodarz dodał konspiracyjnie, tak, żeby tylko ona słyszała:

– Radzę uważać na tego osobnika. – Wskazał głową na Dale'a, marszcząc przy tym brwi. – To podejrzany typ. – Po czym szybko wtrącił weselszym głosem: – Jeżeli w czymś mógłbym pomóc, proszę mnie zawołać. Wystarczy szept i zaraz przybędę – zapewnił, odklonił się i zniknął w korytarzu wraz z pomocnicami.

Dziewczyna dopiła wino i odstawiła czarzkę na stół. Dale, widząc to, sięgnął po karafkę, ale powstrzymała go, kładąc dłoń na jego wyciągniętej ręce.

– Opowiedz mi, skąd wzięła się Esencja – zaproponowała.

– No cóż... – Puścił uchwyt kryształowej karafki i objął dłonią kufel. – Nigdy nie był ze mnie zbyt dobry znawca historii... – Podrapał się po nosie. – Takie rzeczy wiedzą przeważnie Arkaniści, ale co nieco słyszałem. – Ściszył głos. – Celebrowałem kiedyś wyjątkowo udaną transakcję z moim partnerem handlowym. Poza kupiectwem, w wolnym czasie, zajmował się powiększaniem liczby woluminów w prywatnych bibliotekach. – Rozejrzał się po karczmie. Było pusto. Nachylił się w stronę Pani Kłątwy. – Kupiec Rękawek, handlarz kawą i tego typu specyfikami, opowiadał mi kiedyś, że udało mu się zdobyć kilka tomów

*Magna historia mundi*. To jest oczywiście tajemnica i liczę, że Pani Kłątwa nie zajmie się tą sprawą. – Nieznacznie kiwnęła głową, chociaż przed oczami miała już wylaniające się z ciemności czerwone nitki wydarzeń, które przedstawiały brodatego kupca, wręczającego grubą fiołkę z Esencją pewnej zakapturzonej postaci o spiczastym nosie, łobuzerskim uśmiechu i zwinnych palcach. Widziała, jak cień zeskoczył z cichym łopotaniem płaszcza z najwyższego okna kapłańskiej biblioteki i miękko wylądował na posadzce. Widziała paniczną ucieczkę przed gryfitami, przekazanie ksiąg, które odbyło się wśród mgieł, na moście, a w którym pośredniczył znajomo wyglądający woźnica. Widziała wreszcie zaszytego w najgłębszych piwnicach swojego domostwa kupca Rękawka, który z wypiekami na twarzy studiował wiedzę dostępną nielicznym.

– Nie będę się tym interesować.

– To dobrze. – Mierzył ją baczny, badawczy spojrzaniem zmrużonych oczu. – Mój partner handlowy opowiedział mi, że w dawnych czasach, przed mgłą i Esencją, światem rządzą królowie-tyrani. Byli wielcy jak giganci, głowy golili na łyso i malowali oczy. Podobno przybyli z południa, o czym miała świadczyć śniada karnacja. Ziemię, z których przybyli, nie nadawały się już do życia, więc najechali i podbili nasz kontynent. Założyli siedem królestw, podporządkowanych największemu z nich, które leżało na południu. Teraz znajduje się tam oczywiście Urbi Calvariam, Miasto Czaszki, z przyległymi terenami, czyli siedziba Primusa, któremu podlegają Secundusi, którym z kolei podlegają Tercyci i Septimusi. Mniejsza o to.

– Skąd pochodzi ta nazwa? Miasto Czaszki?

– Od głowy Ra, Króla Ludojada, umieszczonej w centrum sklepienia Wielkiej Kaplicy, w której Primus urzęduje na co dzień. Na pamiątkę ostatniej bitwy.

– Rozumiem. Nalej mi wina i opowiadaj dalej. – Uniosła czarękę. – Do połowy, dziękuję.

– Królowie tyrani przywieźli ze sobą, poza ogromnym okrucieństwem, również swoją wiarę oraz coś jeszcze. Nawiasem mówiąc – wtrącił – czy wiesz, w jaki sposób można było zostać królem? – Wzruszyła ramionami. – To jest ciekawe. Rękawek mówił, że w każdym królestwie raz na siedem lat trzech najsilniejszych mężczyzn stawało do walki na śmierć i życie między sobą, a potem ten, który wygrał, walczył z królem. Oczywiście na gołe pięści. Jeżeli król był dostatecznie silny, żeby pokonać rywala, oznaczało to, że potrafił rządzić królestwem twardą ręką, a jeżeli nie... Zwycięzca urywał mu głowę. Zębami starego króla dekorowano koronę.

– Brutalne. – Skrzywiła się.

– To jeszcze nic, ale nie będę cię zanudzał wszystkimi szczegółami. – Urwał kolejny kawał udźca baraniego i zaczął jeść. – Na początku królowie za



pośrednictwem kapłanów narzucili swoją wiarę miejscowej ludności. Kiedy jednak kapłani zdali sobie sprawę, że mają dużą władzę, zaczęli spiskować przeciwko królom. Tamci rozumieli, że wszyscy ludzie mają dwulicową naturę, nad którą nie można zapanować. Dlatego zaczęli odsuwać kapłanów na rzecz innej grupy, technologików.

– Coś mi ta nazwa mówi. – W głowie Pani Kłątwy mignęło blade wspomnienie.

– Technolicycy zajmowali się tworzeniem konstruktów, które miały zapewniać królom panowanie nad ludźmi bez udziału istot myślących. Na początku udoskonalili broń, potem zaczęli tworzyć maszyny, które umożliwiały szybki transport z jednego królestwa do drugiego. Widziałem rycinę przedstawiającą ogromnego, mechanicznego ogara z czerwonymi oczami, którego dosiadał dumny król Re. Technolicycy stworzyli system komunikacji na odległość, a także chmury, które gromadziły informacje na temat każdego mieszkańca królestw. Ostatecznie, zanim nastąpił Wielki Przewrót, zaczęli tworzyć pół ludzi, pół maszyny z podpiętymi z tyłu głowy rurkami, przez które płynęła para wodna.

Dale ucichł. Koło nich przeszła kobieta w ciemnym płaszczu. Zniknęła w mroku przeciwległego kąta sali, pozostawiając mocną woń róż.

– Kapłani nie mogli patrzeć na to wszystko beczynn timer – podjął szeptem woźnica, kiedy uznał, że znowu mogą bezpiecznie rozmawiać. – Pod przywództwem Primusa Garivaldiego stworzyli ruch oporu, który utrzymywali w konspiracji przez kilka pokoleń. Ich znakiem rozpoznawczym były dwie wężopodobne istoty, które są symbolem naszej religii. Zaczęli nawracać ludzi na prawdziwą, organiczną wiarę, która była przeciwieństwem technologicznej, napędzanej parą tyranii królów olbrzymów. Pierwsze Rytuały Nawróceń odbywały się w jaskiniach. Nawróceni przyjmowali religię, przyjmowali Esencję i zaczęli widzieć, jak świat wygląda naprawdę. Ujrzeni mgłę, demony i Istoty Nocy. Zrozumieli, jak świat powinien wyglądać, jakimi wartościami trzeba się kierować.

– Primus Garivaldi szybko zebrał rzeszę wyznawców i pod jego przywództwem podczas Purpurowej Nocy dokonano jednoczesnych przewrotów we wszystkich siedmiu królestwach. Supremator królów, Re Ludojad, zdążył zbiec i wkrótce stoczono ostatnią z bitew. Po jednej stronie stanęli technolicycy i ich śmiercionośne maszyny, po drugiej zwolennicy nowego porządku. Wtedy, w noc przed bitwą, Primus Garivaldi wraz z innymi kapłanami rzucił Kłątwe Gniewu na oddziały wroga. Rękawek nie powiedział, co to była za kłątwa, podobno nawet w *Magna historia mundi* napisano, że została rzucona po raz pierwszy i jedyne, dokonując spustoszenia w oddziałach przeciwnika. Re Ludojad poległ, a jego głowa... Resztę historii już znasz.

– No dobrze, ale skąd Primus Garivaldi wziął Esencję?

– Tego nie wiem. Esencja, przyjęcie religii i aktualny obraz świata związane

są z początkami naszego systemu wierzeń, a o tym *Magna historia mundi* nie wspomina. – Pociągnął łyk piwa. Pani Kłątwe wydawało się, że Dale nie mówił całej prawdy. Wydawało jej się też, że kobieta, która ich minęła i zniknęła w mroku, siedzi tam teraz i przygląda się jej. Po prostu czuła na sobie spojrzenie. Spojrzenie fioletowych oczu, które już wcześniej ją badawczo lustrowało. Odczuwała niepokój. – Wiem jeszcze tylko tyle, że dzień po bitwie wszyscy technolodzy zostali schwytani i spaleni wraz ze swoimi technologiami. Od tego czasu wprowadzono rządy kapłanów prawdziwej religii, Esencji i morloqów.

Morloqowie nie dawali dziewczynie spokoju.

Dale przyglądał jej się znad kufła. Poczowała ciepło na wysokości brzucha.

– Ekh... – odchrząknęła. – Mówiłeś, że Esencja nie chroni przed demonami osób, które popełniły *peccatum tensi*. Mógłbyś to wyjaśnić?

– Dziewczyno, zadajesz strasznie dużo pytań. – Olbrzym zareagował jak Chowaniec. – Nie zwróciłaś uwagi na lampiony rozwieszane nad Aerie? Albo na morloqów z ich długimi kosturami, zakończonymi kryształami wypełnionymi Esencją? Albo na lampę na moim wozie? No właśnie, to wszystko jest w stanie zapewnić nam bezpieczeństwo, kiedy nadchodzi zmrok i mgły. To chroni przed Złym. Oczywiście, potrzebna jest duża ilość Esencji, inaczej nocny spacer wśród mgieł mógłby się skończyć źle, nawet dla Pani Kłątwy. – Znowu sięgnął po kufel, ale zatrzymał się w połowie ruchu i uśmiechnął szeroko. – Jednak są też tacy, którzy mimo światła lampionów wciąż przywiązują się nocą do baldachimów, żeby ich żadna potępiona istota nie porwała. Na przykład Gruby Rumpert, wielce szanowany dowódca straży. – Podniósł piwo do ust i pociągnął duży łyk, po czym niespodziewanie przygrzmocił kuflem o dębowy blat. – Słuchaj, dziewczyno, nie mam już zbyt wiele czasu, ale... Mogę opowiedzieć ci jeszcze o dwóch sprawach związanych z Esencją.

Spojrzała na niego spod długich rzęs. Szybko zlustrowała ciemności, ale nikogo nie dostrzegła.

– Po pierwsze, Esencja jest ściśle związana z morloqami i Bankiem. Każde dziecko w ciągu siedmiu dni po urodzeniu jest przez rodziców zabierane do najbliższej świątyni, gdzie kapłan odprawia rytuał Pokropienia. Niemowlę dostaje dwie fiołki, które wiesza mu się na szyi. Tydzień później do domu przychodzi morloq i zabiera jedną z nich. Jest odpowiedzialny za to, żeby trafiła do Banku. Tam trafiają Esencje wszystkich ludzi. Po co? Na przykład po to, żeby odtworzyć fiołkę z Esencją, gdyby się komuś zgubiła. Niemożliwe jest przeżycie bez fiołki dłużej niż trzy miesiące.

– Jak to?

– To znaczy nie dzieje się tak od razu – olbrzym poprawił się. – Morloqowie początkowo przychodzą do domu raz w miesiącu, żeby doglądać, czy Esencja dobrze się rozwija, a kiedy dziecko jest większe i potrafi mówić, przychodzą raz na

miesiąc na Nauki. Kiedy dziecko skończy siedem lat, czeka je rytuał Połączenia, wtedy staje się wyznawcą wiary i dopiero od tego momentu jest tak, że gdyby nie miało przy sobie fiołki z Esencją przez ponad trzy miesiące, umarłoby.

– Rozumiem, że nie wiadomo, co się dzieje z dziećmi, które wcześniej zgubiły swoją Esencję, przed rytuałem Połączenia?

– Krążą różne straszne opowieści, ale to bujdy. – Machnął ręką. – Sam widziałem dzieciaka, który chyba z pół roku chodził po wsi bez fiołki, tylko dlatego, że jego rodzice nie mieli czasu udać się do Banku. Był zdrowy i normalny.

– Yhm. Ale skoro przy pomocy Esencji dokonuje się różnych transakcji, ona się zużywa. W takim razie w jaki sposób...

– ...Można ją odnowić? – dokończył. – Tak, to była druga kwestia, którą chciałem poruszyć. Esencja odnawia się zazwyczaj kiedy śpisz, kiedy odprawiasz rytuały, znane wyłącznie wtajemniczonym kapłanom, kiedy uczestniczysz w niedzielnym misterium odprawianym w świątyni albo kiedy dostajesz zapłatę za swoje usługi. Wtedy zazwyczaj powiększa się zawartość twojej fiołki. Nie wiem, jak to działa, ale obie fiołki, ta na szyi i ta w Banku, są ze sobą połączone i poziom Esencji zmienia się w tym samym czasie.

– Rozumiem – powiedziała w zadumie i jeszcze raz zerknęła w stronę ciemności. Nie uszło to uwadze Dale'a. Spojrzał na dziewczynę pytająco.

– Wydawało mi się, że kobieta, która koło nas przeszła, przygląda mi się... Ale nikogo tam nie ma.

Dale zamyślił się.

– Omerta – mruknął.

– Słucham?

– Musimy jak najszybciej opuścić to miejsce. – Spojrzał jej w oczy. – Jesteś śledzona.

– Przez kogo? – Nie rozumiała, ale na wysokości splotu słonecznego poczuła ukłucie. – Przez bardzo niebezpiecznego łowcę. – Dale wstał od stołu z głośnym szumnięciem krzesła. – Odprowadzę cię w bezpieczne miejsce. Spotkamy się tam z Chowańcem.

\*

– Powiedz mi... – Wzięła go pod rękę, kiedy Petr Skrzynia pożegnał ich zamaszystym machnięciem kapelusza, rzucając jej porozumiewawcze spojrzenie (Pani Kłątwa poczuła, jak pół kropli Esencji znika z jej flakonu). Wyszli na dziedziniec. – Czemu tak ważne jest pochowanie Stygnących?

Olbrzym, zaskoczony dotykiem Pani Kłątwy, odpowiedział łagodnie:

– Jeżeli ktoś umarł, to nie jest jeszcze martwy. Jest ciepły, Stygnący. W ciągu tygodnia trzeba pochować go w ziemi i odprawić rytuał Odejścia. Wtedy

przychodzi Śmierć z Uczennicą i zabierają go dalej.

– A co się stanie, jeżeli się go nie pochowa?

Dale nagle się zatrzymał. Dziewczyna poczuła lekkie uderzenie na wysokości splotu słonecznego. Przypomniała mu o czymś albo o kimś, kto odszedł w taki właśnie sposób. To był ktoś bliski. Kobieta.

– Zmienia się w Istotę Nocy i odchodzi w mgłę.

\*

Kiedy czekała na wóz i Dale'a, z mroku bocznej uliczki dobiegł ją syk.

– Zbliź się tutaj, mam coś dla ciebie – przemówił ktoś oślizgle.

– Kim jesteś? – Próbowwała dostrzec właściciela nieprzyjemnego głosu, ale nie potrafiła.

– Jesteś Panią Kłątwą, mam dla ciebie zagadkę. – Szept docierał z bliska. Dziewczyna, zamiast zrobić krok w tył, jak ostrzegał ją instynkt, postąpiła krok naprzód, stając u wejścia do ciemnej jak noc uliczki. Czerń była na wyciągnięcie ręki.

– Co to za zagadka? – Nie bała się zapytać.

– Zagadka jest bardzo prosta – usłyszała tuż przy swoim uchu i po plecach przeszły jej ciarki.

Z mroku wystrzeliły dwie pary chudych, brudnych rąk, które złapały ją w kleszcze uścisku. Dziewczyna momentalnie została wciągnięta w głąb uliczki i przyparta do ściany. Nie mogła się ruszyć.

– Zagadka brzmi: w jaki sposób będziesz chodzić, kiedy zerzniemy cię jak zwykłą kurwę? – Śliski język polizał ją po karku.

Wpadła w panikę. Chciała się wyswobodzić, ale przeciwnicy byli dużo szybsi. Poczowała na swojej twarzy śliskie, zimne dłonie, które tłumili krzyk, i lubieżne uściski na wysokości piersi i ud. Straciła oddech. Wiedziała, co się zaraz stanie. Była bezsilna.

Nim zdążyli podciągnąć jej suknię, wydarzyło się coś zupełnie niespodziewanego. Pani Kłątwa usłyszała gniewny okrzyk, a następnie poczuła, jak napastnik został poderwany z ziemi i odrzucony na bok. Kolejne pary trzymających ją dłoni puściły pod naciskiem mocarnych palców.

Dziewczyna poczuła, jak ktoś bierze ją na ręce i wynosi z uliczki, po czym delikatnie kładzie na ziemi.

– Nic ci nie zrobili? – Usłyszała głos Dale'a.

– Nie – powiedziała roztrzęsiona.

– To dobrze. – Ruszył w stronę człowieka, którym rzucił.

Dziewczyna obserwowała tę scenę z szybko bijącym sercem. Nie docierało do niej jeszcze, co się przed chwilą wydarzyło. Z przerażeniem przyglądała się

istocie, którą Dale wyrzucił na światło dzienne.

– *Peccatum tensi* – wyszeptała.

Istota przypominała człowieka. Miała długie, pajęczne nogi, długie ręce zakończone szponami, kompletnie czarne oczy, dwie szparki zamiast nosa, spiczaste uszy, ostre zęby i łysą głowę. Kiedy olbrzym podniósł istotę z ziemi, ta zaczęła się wyrywać, rozpaczliwie przebierając nogami. Kiedy to nie pomogło, długim zielonym językiem próbowała sięgnąć twarzy mężczyzny.

Dale przytrzymał ją wysoko nad głową, tak wysoko, że Pani Klątwa zdołała dojrzeć łańcuszek pełen czarnej jak smoła Esencji, kołyszący się na kredowobiałej szyi oprawcy. Olbrzym powiedział bardzo wolno, akcentując każde słowo:

– Nigdy. Więcej. Jej. Nie. Tykaj. – I z całym impetem wrzucił istotę w cień zaułka.

Doszedł ich odgłos uderzenia o przeciwległą ścianę i syk. Potem nastąpiła cisza. Dale, cały czerwony, dyszał głośno. Roztrzęsiona Pani Klątwa podniosła się z ziemi i podeszła do niego.

– Dziękuję ci – wyszeptała, a potem przytuliła go.

Błysk! Kolejna wizja: noc, przyćmione światła świec, pot, dyszenie, splecione ciała.

– Zaprowadź mnie do Chowańca – powiedziała zmieszana.

– Tak, chodźmy stąd.

\*

Czekała przed Bankiem. Dale odjechał już jakiś czas temu. Chowaniec miał zjawić się lada moment.

– Koty mają swoje sprawy – powiedział olbrzym na odchodnym. – Kroczą własnymi ścieżkami. Ich nie obowiązują terminy. Może pojawi się o czasie, a może przyjdzie dopiero po popołudniowej drzemce na płocie. Nigdy nie wiesz.

Spytał też, czy wszystko w porządku. Potrząsnęła głową. Docierało do niej, co mogli z nią zrobić oprawcy. Wciąż jeszcze była oszołomiona i wstrząśnięta.

Aby zabić czas, obserwowała kupców, wysoko i nisko urodzonych mieszczan, żaków, bankierów i prawników, którzy kręcili się dookoła olbrzymich wrót Banku. Zwracała uwagę na ich fiolki z Esencją. Osoby majątne, dobrze ubrane i zapewne wysoko postawione w społecznej hierarchii miały większe fiolki, wypełnione jasną substancją. Zawartość kryształów ludzi na niższych szczeblach klasowej drabiny była tym mniejsza, im mieli niższy status społeczny.

W pewnym momencie jej uwagę przykuła młoda, około siedemnastoletnia dziewczyna. Wyróżniała się. Kiedy tłum pędził jak rwący potok w najróżniejszych kierunkach, ona szła powoli, jakby lunatykowała. Nosila szarą suknię i błękitny fartuszek, a w ręce trzymała wrzeciono. Włosy miała jasne jak słońce. Szła

powolnym, równomiernym krokiem, drewniane chodaki uderzały o kocie łby, *tap, tap, tap, tap, tap*. Minęła Panią Klątwę w odległości kilku metrów i zniknęła w tłumie. Ale zanim to się stało, spojrzała prosto na nią. Jej oczy były szkliste jak u porcelanowej lalki.

Chwilę później tuż przed Panią Klątwą zatrzymała się para czarnych koni, ciągnących czarną karocę. Woźnica miał na sobie czarny frak z wysokim kołnierzem. Drzwi karocy otworzyły się. W środku siedział wysoki mężczyzna, również ubrany na czarno, elegancki, w czarnych szklach i w czarnym cylindrze, spod którego gładko opadały na ramiona krucze włosy.

– Pani Klątwo, zapraszam do środka. – Ukłonił się grzecznie, a ton jego głosu kojarzył jej się tylko z jedną osobą: z Patrycjuszem. – Proszę wejść, śmiało. Opór na nic się nie zda, a mam propozycję, która na pewno Panią zainteresuje.

## Rozdział V

### Konsyliarz

Jechała karocą, okna były przysłonięte połyskującymi czernią zasłonami. W powietrzu unosił się zapach parafiny.

– Obserwujemy Panią od dawna – odezwał się nieznajomy. Siedział naprzeciwko niej. Dłonie, odziane w czarne rękawiczki ze skóry, opierał na lasce, której uchwyt wykonany był z opalizującego kryształu z połyskującą rtęciowo zawartością. Siedział sztywno. Jego cera była biała jak u albinosa. – Od momentu wybudzenia zdążyła już Pani zająć się niejedną tajemnicą. To imponujące.

Dziewczyna milczała, obserwując nieznajomego. Za zasłoną niesły się odgłosy końskich kopyt, uderzających rytmicznie o kocie łby, słyhać też było gwar rozmów przechodniów, których mijali. Wydawało jej się, że tam jest słońce i życie, a tu, w karocy, znalazła się w zupełnie innym świecie, niczym w trumnie spowitej wieczną nocą.

– Proszę się mnie nie bać. – Nieznajomy uśmiechnął się, pokazując poźółkłe kły. – Nazywam się Vlad. Jestem Konsyliarzem.

Na dźwięk tego słowa w głowie Pani Kłątwy coś błysnęło. Nie potrafiła sobie przypomnieć, co znaczy „konsyliarz”, ale głos wewnątrz niej stanowczo ostrzegł ją, że musi być bardzo ostrożna, bo siedząca naprzeciwko istota nie jest zwykłym człowiekiem, lecz drapieżnikiem.

– Nie obawiam się pana, Konsyliarzu – powiedziała powoli, opanowanym głosem. – Zastanawiam się jedynie, jaki będzie cel naszej rozmowy. Jestem Panią Kłątwą i mój czas jest bardzo cenny. – Jej głos zabrzmiał niezwykle pewnie, co zdziwiło nawet ją samą.

– Doskonale zdajemy sobie z tego sprawę. – Odpowiedział z naciskiem na każde słowo. – Niemniej jednak proszę o cierpliwość. Wyjawię wszystko w swoim czasie.

Nastąpiła cisza.

Dziewczyna z ciekawością przyglądała się nieruchomej sylwetce Konsyliarza. Nie ruszał się, po prostu siedział naprzeciwko niej i obserwował ją zza czarnych, nieprzeniknionych szkielec. Zastanawiała się, czy w ogóle oddech – jego klatka piersiowa nie uniosła się ani razu. W pewnym momencie coś drgnęło mu wzdłuż lewego ucha, bladego policzka oraz szyi, i po sekundzie zniknęło. Jakby puls, który nagle pod białą skórą uwydatnił czarną arterię żył. Przypominało to pojawiające się plamy atramentu wylanego na chusteczkę. Było tak niespodziewane, że dopiero po chwili Pani Kłątwa uzmysłowiła sobie, co widziała.

Kareta zatrzymała się.

Rozległ się odgłos podkutych butów uderzających o ziemię; woźnica musiał zeskoczyć z kozła. Po chwili otworzył drzwi i wyciągnął w jej stronę dłoń w czarnej rękawiczce ze skóry.

– Dziękuję. – Z jego pomocą wyszła na zewnątrz i odkloniła się. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że woźnica, odziany w płaszcz z wysokim kołnierzem w kolorze opalu, również jest blady jak kreda. Łysa czaszka kontrastowała bielą z czerwoną chustą na twarz, a tuż nad linią skrytego za materiałem nosa wyłaniały się szczeliny oczu. Oczu, które nie mogły należeć do żywego człowieka, nie skrzyła się w nich nawet mała isierka życia. Jedynie mętne spojrzenie, przyzwyczajone do wykonywania rozkazów.

– Poradzę sobie. – Konsyliarz odtrącił wyciągniętą dłoń swojego sługi i wyszedł z karocy. – Masz tu na mnie czekać, nawet jeżeli siedzielibyśmy do późnej nocy – rzucił za siebie i ruszył w stronę wykwintnej restauracji. Woźnica uklonił się, wydobywając z siebie syknięcie, a potem wskoczył na kozioł. – Pani Kłątwo, za mną proszę. – Vlad nawet się nie odwrócił. Szedł prosto w stronę drzwi.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, że już była w tej okolicy. Stała przed zajazdem naprzeciwko Zamku Królewskiego. Zamek jednak nie był już tym samym zamkiem, który widziała wczoraj. Dzisiaj zaczął pulsować, rozmazywać się, odsłaniając miraż Monastyru, który na razie wyglądał jak prześwitujący cień. – Pani, zapraszamy do środka – Kelner w czerwonej liberii uchylił jej drzwi.

Weszła do lokalu, nad którym widniał szyld z napisem „Puchacz i przyjaciele”.

\*

Restauracja znacznie różniła się od Piwnicy pod Kozłami, było to widać w każdym detalu. Uśmiechniętego gospodarza w słomkowym kapeluszu zastąpiły dwa tuziny odzianych w czerwone liberie kelnerów o nienagannych manierach.

Wnętrze Puchacza przywodziło na myśl dwa słowa: elegancja i intryga. Wszystko wydawało się tutaj mieć podwójne dno: gustowne wnętrza, korytarze, sale mieniące się kolorami szkarłatu i złota, które spowijał gęsty dym cygaretek i cygar. Wysoko postawieni goście, śmietanka towarzyska Aerie, kapłani, urzędnicy, politycy, prawnicy, lekarze, ambasador obcego państwa o ciemnej karnacji czy gruby stary kupiec w towarzystwie trzech młodych nimfetek – wszyscy oni na pierwszy rzut oka emanowali klasą i potęgą, ale po chwili Kłątwa dostrzegła kłamliwe usta, nerwowe spojrzenia, chciwe dłonie. Nawet służba, ta nienagannie zachowująca się służba w gustownych liberiach raz po raz wymieniała dwuznaczne spojrzenia i półsłówka wypowiedziane szeptem.

Panią Kłątwe prowadził niski kelner o blond włosach zaczesanych na bok.



Mimo całego swojego dostojęstwa miał jedną wadę: mysią twarz. Kilka metrów przed nimi dumnie kroczył Konsyliarz, prowadzony przez bruneta zaczesanego dokładnie tak samo jak blondyn. Tamten dla odmiany miał lisie oczy.

Przeszli przez główną salę pełną gości, których fiołki z Esencją były przynajmniej tak duże jak u Pani Kłątwy. Minęli minstreli i weszli w długi korytarz, którego głównymi elementami były mosiężne żyrandole i jaskrawy dywan. Po obu stronach korytarza co kilka metrów znajdowały się wejścia do odosobnionych pomieszczeń, zamaskowane zasłonami.

W końcu dotarli na sam koniec korytarza i weszli do pomieszczenia za czarną kotarą.

– Proszę bardzo. – Mężczyzna uchylił zasłonę, dziewczyna weszła do środka.

Pomieszczenie, ku jej zaskoczeniu, było nieduże. Znajdował się w nim okrągły stół z ciemnego drewna, dwa krzesła z wysokimi oparciami, kandelabr z siedmioma świecami na środku stołu i odbijająca blask płomieni cynowa karafka, obok której stały dwie czarki.

Kelner o mysiej twarzy wziął płaszcz Pani Kłątwy, przewiesił go przez ramię i pomógł jej usiąść. Równocześnie te same czynności wykonał brunet o lisich oczach, który obsługiwał Konsyliarza.

– Wystarczy, panowie, dziękujemy bardzo. – Vlad machnął w ich stronę laską. – Nie jesteśmy głodni. Pani Kłątwa, z tego co wiem, całkiem niedawno jadła obiad. – *Skąd on to wie?* – A ja... mój żołądek lepiej pracuje w nocy.

– Oczywiście. – Ukłonili się nisko.

– Rozumiem, że w karafce czeka na nas jedyne wino, które jestem w stanie przełknąć.

– Karpacki Nokturn, panie – szybko odpowiedział brunet, nie podnosząc wzroku.

– Doskonale – mruknął Konsyliarz. – W takim razie możecie zmiatać.

– Oczywiście, hrabio. – Nisko skłonieni, skierowali się do wyjścia.

– I jeszcze jedno – dodał, zanim tamci zniknęli za zasłoną.

– Tttaak? – Brunet zbladł. *Co takiego zrobiłem źle?!* – Pani Kłątwa usłyszała jego przerażony głos w swojej głowie.

– Nikt nie ma prawa nam przeszkadzać.

– Doskonale rozumiemy...

– Idźcie wreszcie – przerwał poirytowanym głosem Konsyliarz.

Kiedy ułamek sekundy później Pani Kłątwa spojrzała w stronę zasłony, nikogo nie było. Jedynie czarny materiał poruszał się nieznacznie.

– Niektóre stworzenia są godne wyłącznie pogardy. – Vlad zaczął nalewać Karpacki Nokturn do cynowych czarek. W świetle świec wino miało głęboko rubinowy kolor. – Na szczęście są osoby, którym należy się wyłącznie szacunek i

podziw, nawet mój. Proszę spróbować. – Podsunął jej czarkę z winem. – Najdoskonalszy trunek, jaki zdarzyło mi się pić. Pani zdrowie. – Uniósł czarkę i wypił łączywie jej zawartość, bez krzty elegancji, zostawiając wokół sinych ust dwie cienkie strugi.

Pani Kłątwa nie miała dobrych przeczuć co do wina, ale upiła łyk. Z początku smakowało podobnie do trunku, który piła u Petra Skrzyni. Szybko jednak poczuła metaliczny posmak na języku. Konsyliarz uśmiechnął się chytrze, błysnęły kły, wokół sinych ust wciąż rysowały się krwawe strugi.

– Prawda, że wyborne? Najlepiej smakuje podawane do surowego mięsa. – Nie skomentowała, zniesmaczona odłożyła prawie pełną czarkę na stół. Nie musiała pytać, co stanowiło sekretny składnik Karpackiego Nokturnu, pytanie brzmiało: od kogo pochodził ten składnik? – Widzę, że nie wszyscy potrafią docenić nutę goryczki. Ale dobrze. – Otarł mankietem usta. – Przejdźmy do sedna. – Potarł dłonie.

Przyglądała mu się, próbując dojrzeć w ciemności jakąkolwiek czerwoną nitkę tajemnicy. Bezskutecznie.

– Dobrze. – Powoli uniósł długi palec prawej ręki w stronę skroni. Zatrzymał go na oprawce szkielec, pochylił się i ściągnął okulary. Ujrzała dwa lśniące czarne węgle, w których jarzyła się niezwykła inteligencja. – To, o czym będziemy teraz rozmawiać, musi pozostać tajemnicą. – W pomieszczeniu zrobiło się jeszcze ciemniej, a wszystkie szmery z korytarza za kotarą i odległe rozmowy ucichły. – Mam nadzieję, że się rozumiemy. – Splótł dłonie, świdrując dziewczynę spojrzeniem.

– Rozumiemy się doskonale. – Zmrużyła oczy i również splótła dłonie przed sobą. Czekwała na słowa Konsyliarza. Długo.

– Panie Kłątwy to bardzo tajemnicze istoty. Nie wiem, skąd dokładnie pochodzą, nie wiadomo, jakimi ścieżkami kroczą i dokąd zmierzają. Same Panie Kłątwy tego nie wiedzą. A jednak posiadacie pewną niebywałą umiejętność: zawsze potraficie dojść do serca tajemnicy, do prawdy – położył nacisk na ostatnie słowo. – Czyż nie jest to najcenniejsza umiejętność na świecie? Widzieć prawdę, jakkolwiek okrutna i rozczarowująca by nie była?

– To potrafi być przekleństwem – odparła.

– Przekleństwem? – prychnął. – A cóż nie jest przekleństwem? Jaki jest inny wybór? Życie głupka wioskowego, który codziennie rano wstaje na wykopki, wieczorem wraca do izby, do swojej głupkowatej żony, która nie widzi nic więcej poza rozważaniami o tym, czy wystarczy kartofli do jutrzejszej zupy? Nic poza płytkimi zmartwieniami dnia dzisiejszego? Czy te krótkie chwile radości wiejskiego głupka, kiedy upija się od święta albo parzy się ze swoją sztywną jak kłoda samicą, by płodzić kolejnych wiejskich głupków, nie są innym rodzajem przekleństwa? Czy jego naiwna wiara w coś więcej po tym, jak już obróci się w

gnój, jest naprawdę lepsza? – Wykrzywił usta w pogardliwym uśmiechu. – Albo na przykład taki Septimus, jakże wielki kapłan, który zarządza tysiącami istnień, tworzy wiejskiemu głupkowi pocieszającą wizję, a sam żyje w odległych przyszłościach, zastanawiając się, jak się potoczą wydarzenia, jak zrealizować swoje plany, czy wywiąże się ze swoich zobowiązań wobec Primusa, czy Tercyta się aby nie myli? Czy to nie jest inne przekleństwo? A może Arkanista, najmądrzejszy z mądrych, który poszukuje prawdy, obalając najpierw wszystko, co pewne, subiektywizując poglądy i w pewnym momencie stawiając tezy, które są jego zdaniem obiektywnie słuszne, a w które wierzą miliony, ale gdzieś w środku czuje, że jest daleko od serca prawdy, tajemnicy, że tylko krąży wokół jej substancji? Toż to prawdziwe przekleństwo! – Roześmiał się upiornie.

Sięgnął po cynową karafkę, nalał do czarki i wypił, mniej łapczywie niż poprzednio. Pani Klątwa skrzywiła się. Vlad wrócił do poprzedniej pozycji, pochylony do przodu.

– Uważam, że prawda w swoim najgłębszym wnętrzu zawsze jest zmiennym, relatywnym procesem. Jedyne, co jest pewne, to porządek, jaki utrzymujemy wokół tego relatywizmu, ta cała otoczka kamieni milowych, tłustych ksiąg, wypełnionych rozumianymi jednowymiarowo tezami i stojącymi na ich straży instytucjami, takimi jak Primusowie, Septimusowie, morłogowie czy gryfici. – Zrobił przerwę, wciąż wierząc Klątwe wzrokiem. – Pewny jest też układ sił. I nic ponadto. Prawda jest tylko zmienną ujarzmioną rozumowo na potrzeby utrzymujących układ sił we wciąż i wciąż płynącym czasie.

– Ale z Paniami Klątwaami mam pewien problem – podjął znów, mówiąc nieco wolniej, ze szczerym zainteresowaniem. – Zawsze zastanawiało mnie, wedle jakiego porządku jesteście stworzone. Nie wiem, skąd pochodzicie, wiem tylko tyle, że potraficie dojrzeć prawdę, którą okala całun utkany z tajemnicy. Ale czy jest to prawda narzucona przez obowiązujący układ sił, czy być może istnieje jednak jakaś prawda obiektywna? Ten wyznacznik, ta stała jest dla mnie kluczowa. Muszę to zrozumieć. – Obliznął wargi.

Milczała.

– Doszedłem do wniosku, że jedynym sposobem na rozwikłanie tajemnicy, która otacza, o ironio, istoty zajmujące się rozwiązywaniem tajemnic, jest następujące zestawienie: prawda o wierze w to, co dalsze; prawda o wierze w to, co było na początku; prawda o wierze w światło i kult dnia; prawda, która powoduje, że wierzący boją się mroków nocy... Ta prawda przeciw innej prawdzie. – Znowu zamilkł i zamyślił się. Patrzył na Panią Klątwe, lecz myślami być gdzieś daleko, w miejscu, które darzył nostalgią. – Noc jest taka piękna. – Powiedział ni to do niej, ni to do siebie. – A jednak! – Przeniknął dziewczynę na wskroś spojrzeniem, od którego biła piekielna inteligencja. – Gdyby ta druga prawda była właściwa? Przecież są tacy jak ja, którzy gardzą dniem i ustalonym porządkiem, a pożądamy

nocy i tego, co ona obiecuje. Czy to jest właściwa prawda? Czy może jest jeszcze inna, odległa od moich rozważań trzecia prawda? Czy Pani Klątwa jest w stanie to rozstrzygnąć?

– Jaka jest druga prawda? – spytała.

– Czy jest Pani Klątwie znana herezja Dagona? – Spytał z pasją, ale ona tylko pokręciła głową. – Oczywiście, że nie! Jakżeby inaczej... Przybliżyć – uśmiechnął się chytrze. – Dagon był Arkanistą i Kronikarzem, naprawdę uzdolnionym, służył u samego Primusa. Łączył w sobie wiedzę Arkanisty i umiejętności Kronikarza w zakresie tworzenia układu sił, co, jak się Pani domyśla, czyniło z niego jednego z najpotężniejszych ludzi na świecie. Mógł być stwórcą nowego ładu. Primus o tym wiedział, ale nie interweniował. Dopóki Dagon mu podlegał i nie wyjawiał niczego niepożądanego, nie stanowił zagrożenia. Jednak pewnego dnia Dagon zagłębił się w rozważania nad istotą Mroku, udał się nawet na wschodnie rubieże. I zniknął na kilka lat wraz z całą świtą. Primus wysłał na poszukiwania najbardziej doświadczonych Ludzkich Myśliwych, ale ślad po nim zaginął. Tak jakby Dagon rozpuścił się we mgle. I nagle, pewnego dnia, powrócił do Miasta Czaszki. Zjawił się tak niespodziewanie, że wszyscy wzięli go za upiora. Lecz nie to było najbardziej wstrząsające. Prawdziwą sensację wywołał jego traktat *O naturze Mroku* oraz przemówienie, jakie wygłosił przed najbardziej szacownymi Arkanistami i samym Primusem. Dagon dowodził, że Mrok nie ma natury bezmyślnej, jak powszechnie uważano, ale jest w nim ukryta inteligencja. Inteligencja, która ma organiczny wpływ na wszystko, co znajdzie się w jej zasięgu, w tym na Esencję. Na dowód wyjął fiołkę z Lucypherium, Czarną Esencją, zwaną Przekleństwem Dagona. Może sobie Pani wyobrazić, jakie poruszenie wywołało jego wystąpienie. Kiedy wszyscy skandowali: *Heretyk! Wyklęty!*, Wielki Arkanista nie przerywał swojego wywodu, mówił z jeszcze większym zaangażowaniem o tym, że Lucypherium nie jest złe, że stosuje je na sobie i pozwala mu ono dojrzeć prawdę, ale w inny sposób niż Esencja. Obie prawdy są sobie przeciwstawne, ale jednocześnie przenikają się, a Lucypherium pozwala to dojrzeć, zrozumieć i poczuć prawdziwą potęgę. – Konsyliarz wstał nagle, uniósł wysoko dłoń i z całej siły uderzył w stół. – *Dość!* – krzyknął. – *Dość!* Wołali Arkanisci. *Dość!* Zawołał Primus, wiedząc, że układ sił został właśnie naruszony. *Dagonie, jesteś wyklęty!* – zawyrokował, rozkazał go pojmać wraz z całą świtą i wtrącić do lochów. Na te słowa Dagon jakby urósł, a wraz z nim urosli wszyscy, którzy byli z nim na wyprawie. – Oczy Konsyliarza świeciły. – Kiedy Ludzcy Myśliwi i gryfici już mieli ich dosięgnąć swoimi mocarnymi ramionami i pojmać, Dagon wyszeptał Przekleństwo i wszyscy napastnicy rozprysli się jak bańki, zostawiając po sobie jedynie krwawy ślad posoki. Arkanisci zamilkli w przerażeniu, zamilkł również Primus. I w tym milczeniu Dagon wraz ze swoją świtą opuścili mury Templum. Słuch o nich zaginął.

Konsyliarz usiadł, nalał sobie resztę Karpackiego Nokturnu i wypił łąpczywie.

– Oczywiście po tym wydarzeniu wszystkie egzemplarze *O naturze Mroku* zostały spalone. Tak przynajmniej sądził Primus. – Vlad oblizał wargi. – Niektórzy spośród Arkanistów zachowali jednak dzieło Dagona, przestudiowali je i stali się jego wyznawcami. Potajemnie rozpowszechnili zawarte w tej księdze nauki, również wśród innych rozumnych spośród świty Primusa, w tym wśród Konsyliarzy. Miałem szczęście być jednym z nich. – W uśmiechu błysnęły kły.

– Kiedy to było?

– Dokładnie sto lat temu.

Uniosła brwi.

– Liczba wyznawców Dagona szybko rosła, wszyscy czekali na jego powtórne przybycie – mówił dalej Konsyliarz. – Byli też nadgorliwy głupcy, którzy zbyt ochoczo rozprawiali o tym po karczmach i zamtuzach. Zaczęły się represje, stopy. Część z nas została pojmana, część do tej pory pozostaje w ukryciu, nieraz piastując wysokie urzędy. Od wielkich represji minęło siedem lat i wtedy objawił się Dagon. Wieści mówiły, że na wschodnich rubieżach wyszedł z mgły, przemieniony, potężny, odziany w czarną stal. Wieści mówiły również, że założył potężne miasto, do którego wzywa swoich wyznawców, chcąc ich hojnie obdarzyć wszelkimi dobrami. Mówiono, że nadciąga nowy porządek. Wielu ruszyło na wschodnie rubieże i o nich również słuch zaginął. Wyznawców musiało być niezbyt wielu, bo od tamtego czasu na granicy giną ludzie, ciemną nocą porywane są małe dzieci. To, co ich zabiera, nie jest tylko Mrokiem. To coś więcej. Upiorny orszak, wojownicy czystej Ciemności, którzy nie boją się światła Esencji. Ewolucja organiczna, jak pisał Dagon.

– Skąd można wiedzieć, że to prawda? – spytała cierpko. – Przecież mogą to być wyłącznie bajdurzenia wiejskich głupków.

Uśmiechnął się pod nosem, a potem sięgnął po coś, co trzymał pod płaszczem.

– Stąd.

Oniemiała.

– Lucypherium... – wyszeptała, patrząc na lśniącą czerń, która przelewała się wewnątrz kryształowej fiołki, pochłaniającą światło i sprawiającą, że dziewczyna nagle poczuła pożądanie władzy i potęgi.

Konsyliarz szybko schował fiołkę. Wciąż obserwował Panią Klątwę. Czekał na jakikolwiek sygnał, na znak, że ona rozumie, że dostrzega tajemnicę prawdy Dagona, jego prawdy. Nic.

Skrzywił się.

– Czemu mają służyć te rozważania? – spytała po czasie, który wydawał się wiecznością.

Na jego twarzy pojawił się grymas. Nie oczekiwał pytania, a właściwej odpowiedzi. Czuła to. Wewnętrzny głos mówił teraz myślami Konsyliarza. *Jak widać, Panie Klątwy należą do innego układu sił. Są zupełnie nieprzydatne. A skoro ona wie tak dużo...*

– Wiedza to potęga. A kto ma potęgę, ten narzuca układ sił – odparł cierpko.

Nagle wstał od stołu i machnął ręką, jakby zrywał niewidzialny całun. W pomieszczeniu zrobiło się jaśniej, a zza kotary doszły ich szmery rozmów z korytarza.

– Mazgot! Talbot! – Klasnął w dłonie. W drzwiach pojawiło się nagle dwóch drabów: jeden niski i gruby, o ospowatej twarzy, a drugi wysoki, szczupły, o brzydkich rysach. Obydwaj mieli na sobie pikowane skórzane kurtki, a przy pasach długie, błyszczące noże. – Odprawdźcie Panią Klątwę, sami wiecie gdzie.

Na te słowa oprawcy złapali ją pod ramiona i, mimo jej szamotania, z łatwością wywlekli na korytarz. Nim to się stało, rzuciła nienawistne spojrzenie w stronę Konsyliarza. Wiedziała, że widzi go po raz ostatni. Odprawdził ją paskudnym uśmiechem, błyskiem kłów i toastem znad czarki Karpackiego Nokturnu.

\*

Nikt w restauracji nie zwrócił na nich uwagi. Ani goście, ani obsługa, ani nawet Puchacz czy przyjaciele. Nawet gdy Talbot i Mazgot wywlekali Panią Klątwę z czarnego pomieszczenia; nawet wtedy, gdy dziewczyna darła się i szamotała bezsilnie, ciągnięta pod ręce przez korytarz; nawet wtedy, gdy w głównej sali próbowała się wyrwać, muzykanci grali jakby nigdy nic, a goście ani na sekundę nie odrywali się od posiłków i rozmów. Nawet kelner w czerwonej liberii, który wpuszczał Panią Klątwę do środka, teraz uprzejmie uchylał im drzwi i życzył miłego dnia. Byli albo zupełnie niewidzialni, albo, co bardziej prawdopodobne, nikt nie odważył się wtrącić między Konsyliarza a jego ofiarę.

Na zewnątrz kilku gapiów zwróciło na nich uwagę, jeden żak nawet do nich podbiegł, ale w momencie kiedy chciał złapać wyższego, Mazgota, za ramię, ten po prostu poderżnął mu gardło. Szybkim, wyuczonym ruchem. Przy wszystkich. Chłopak upadł na ziemię, wykrwawiając się na jednej z najbardziej ruchliwych ulic Aerie. Nim zebrało się zbiegowisko, skęcili w pierwszą boczną uliczkę i wciągnęli w nią dziewczynę. Było tam ciemno i pusto. Rzucili ją na ziemię.

– Zróbmy to szybko i bez komplikacji. – Gruby uśmiechnął się, pokazując niekompletny zestaw żółto-czarnych kadłubków. Długi nóż zabłysnął w jego lewej dłoni. – Osobiście nic do ciebie nie mamy, wykonujemy tylko rozkazy Konsyliarza.

– Ja za to z przyjemnością sprawdzę, czy krew Pani Klątwy jest w takim

samym kolorze jak krew innych świń, które zarzynamy. – Wysoki uśmiechnął się szpetnie i zrobił krok w stronę dziewczyny. Nóż dzierżył w prawej ręce. – Nie ruszaj się, kotku.

Niespodziewanie za ich plecami odezwał się głos, który dziewczyna знаła aż zbyt dobrze:

– Do mnie mówisz?

Obaj odruchowo się obrócili. Ale było już za późno, przynajmniej dla Mazgota. Chowaniec przeleciał koło jego twarzy i jednym drapnięciem pozbawił go lewego oka. Wyciekło przy wtórze wycia okaleczonego dryblas. Ten machnął ostrzem w miejscu, w którym napastnik powinien być w tym momencie, ale Kot był Kotem i poruszał się szybciej, niż Mazgot szacował. W efekcie opryszek drasnął tylko jego tylną łapkę, wbijając nóż prosto w twarz swojego kompana. Talbot wrzasnął.

Chowaniec wyładował przed dziewczyną. Odwrócił łebek w jej stronę.

– Jak tylko gruby na nas skoczy, odbij w prawo i biegnij przed siebie. Teraz! – Talbot, który bezwiednie wyłamał swojemu kompanowi-napastnikowi rękę w nadgarstku (*Aaaaaa! Talbot, ty skurwysynu!*), wyrwał nóż z jego twarzy i z obłędem w oczach rzucił się na nich. Pani Kłątwa od razu odskoczyła w prawo, więc dryblas skierował całą furję na Kota, który nawet się nie ruszył. Kiedy grubas już miał go przygnieść swoim cielskiem, Kot zniknął! Był tak szybki, że podskoczył w momencie kiedy dwie mocarne dłonie o krótkich palcach miały go złapać, a zamiast tego głośno klasnęły. Talbot przygrzmocił twarzą w ziemię, zastanawiając się, gdzie podział się ten *futrzasty skurwiel*. Pani Kłątwa minęła Mazgota, który leżał skulony na ziemi, trzymając się za oko i tuląc złamany nadgarstek do piersi. Obejrzała się za siebie. Dokładnie widziała, jak Kot sprężynuje w górę, gruby oprawca uderza o bruk, a Chowaniec robi salto i po chwili z gracją ląduje na głowie napastnika. Wiedziała, co zrobi Kot, więc odwróciła wzrok. Usłyszała wrzask. Kiedy z łomoczącym sercem dobiegła do krańca uliczki, do jej uszu dobiegły słowa Chowańca:

– Mówiłem już, że towarzystwo Pani Kłątwy jest niebezpieczne?... A teraz nie zwalniaj. Uciekamy!

\*

Zatrzymali się, dopiero kiedy Kot uznał, że są dostatecznie daleko.

– Dobra – dyszał. – Tutaj już nie powinni nas ścigać. Ale to nie znaczy, że Konsyliarz odpuści. Ej, co ty robi... – Dziewczyna poderwała go z ziemi i przytuliła.

– Do tej pory myślałam, że jesteś strasznym egoistą – wyznała. – Dziękuję ci. – Chowaniec z początku próbował się wyrwać, ale uznał, że to nie ma sensu.

Przybrał pozę bezwładnej futrzastej kulki do tulenia.

– Dość tych czułości – powiedział w końcu. – Odstaw mnie na ziemię, bo zaraz się popłaczę.

Odstawiła.

– Nie myśl sobie, że będę teraz mruczał. – Dumnie uniósł głowę. – Mam swoją godność... Chociaż czasem mogłabyś podrapać mnie za uchem.

– Niedoczekanie.

Prychnął.

I Kot, i Pani Kłątwa uśmiechnęli się. Nie przepadali za sobą, a przynajmniej tak utrzymywali.

– Pora w dalszą drogę.

– Ruszajmy zatem.

Ruszyli.

\*

– Dokąd idziemy? – spytała w końcu, kiedy zapuścili się w nieznaną jej część miasta. Domy były strzeliste, ubogie, chyliły się w stronę ulicy, z poskręcanych kominów wzbijał się w niebo czarny jak smoła dym. Przechodnie byli nędznie odziani, nosili małe fiolki z Esencją. Znajdowali się przeważnie na granicy wyczerpania, oczy mieli podpuchnięte, a twarze mizerne, ziemiste.

– Natrafiłem na trop istoty, która pożera trupy. Niedługo będziemy na miejscu – odparł Kot, idąc przodem. – A teraz, proszę, nie zadawaj mi kolejnych głupich...

– Gdzie byłeś? – Zignorowała jego prośbę. Była ciekawa, co porabiał przez tak długi czas.

– Ech... – jęknął. – Widzę, że nie dasz mi spokoju. No dobrze, powiem ci, co robiłem. – Odwrócił się w jej stronę i zmrużył złośliwie oczy. – Drzemałem na płocie. Jak to ujął twój głupi osiłek.

– On wcale nie jest głupi! – Wypaliła, ale szybko się opanowała, żeby uniknąć podejrzeń i złośliwości futrzanego przewodnika. – To znaczy... Nie jest taki głupi. Uratował mnie.

– Intensywny dzień, co? – mruknął Chowaniec. – Przyzwyczajaj się. Z Panią Kłątwą tak już jest. Żyjesz odkrywaniem tajemnic, a efektem ubocznym są kłopoty. Serca tajemnic w ten sposób bronią się przed głupcami, gdyż tylko wytrwałym i rozważnym dane jest ich poznanie. Im większa tajemnica, tym większe problemy. A im więcej tajemnic, tym więcej efektów ubocznych. I ja się na coś takiego porwałem, idiota ze mnie...

– Z czystej grzeczności muszę się z tobą zgodzić.

– A skoro jesteśmy przy głupcach... – Smakował każde słowo riposty, którą



właśnie szykował. – Co skłoniło cię do wejścia do karocy jednej z najniebezpieczniejszych istot na naszym kontynencie?

– Nie miałam wyboru?

– To prawda, nie miałaś.

– Skąd wiedziałaś, że weszłam do karocy?

– Domyśl się... No dobra, koniec złośliwości. Chociaż ja będę mądrzejszy. Na razie zawieszamy broń. W każdym razie szedłem już w twoją stronę, kiedy podjechała karoca. Śledziłem was do samego końca. No, prawie. Kotów nie wpuszczają do tej restauracji. Skandal! – miauknął z oburzeniem. – Kiedyś policzę się z tym Puchaczem... O czym w ogóle rozmawialiście?

– To długa historia.

– Sprawy Pań Klątew... Rozumiem, nie wnिकam w to. Dość mam kłopotów – odparł. – Jeżeli mogę ci coś doradzić, to nigdy więcej nie zaczynaj rozmowy z tego typu osobnikami. Konsyliarze, Arkaniści, Goeci – wszyscy oni są śliscy.

– Goeci?

– Przywołują demony. To długa historia.

– Ach...

Minął ich wóz wyładowany sianem, ciągnięty przez wychudzoną szkapę. Powoził nim równie wychudzony woźnica, żujący źdźbło trawy.

– To gdzie byłeś? – znowu podjęła wątek.

– Czasami nienawidzę tego twojego natręctwa. – Pokręcił głową. – Zaczynam też rozumieć, jak działają Panie Klątwy... – Nie odpowiedziała, czekała. – Skoro już musisz wiedzieć, to byłem u Patrycjusza, a potem załatwiałem swoje kocie sprawy. Pewnie mi nie uwierzysz, ale te parszywe krasnale pojechały do domu Patrycjusza i dobrowolnie poddały się karze. Zapewne zostaną zamienione w makabryczne posągi... Zwróciły też to, co zostało z ciała Lilki, niedługo odbędzie się pogrzeb.

– Nie wierzę.

– Mówiłem.

– A te *kocie sprawy*?

Chowaniec wydał krótki odgłos, który był wypadkową jęku, prychnięcia i miauczenia.

– Co mówisz?

– Nic, tak sobie klnę pod nosem. Po kociemu... – dodał z rezygnacją i machnął ogonem. Zdawało jej się, że udaje niedostępnego, że *kocie sprawy* tak naprawdę są czymś, o czym chciał z nią porozmawiać. – No dobrze! Ale jak ci to powiem, to o nic mnie nie będziesz więcej wypytywać?

– Obiecuję. – Skrzyżowała palce za plecami.

– Jak wiesz, każdy ma swoich przyjaciół i wrogów. Wrogiem mojego zacnego rodu są Myszy.

– A psy? Zawsze myślałam, że...

– Daj spokój! – prychnął rozbawiony. – Psy to wielkie, głupie, nieokrzesane, śliniace się niezdary. Ale Myszy... Myszy wykazują się nadzwyczajnym wyrachowaniem i okrucieństwem. Mam z nimi prywatny zatarg. Ale od początku. – Kot zamyślił się i podjął wątek po kilkunastu krokach. Mijali akurat grupkę nędzarzy i pijaków, śpiących pod karczmą. – Myszy niegdyś mieszkały w Aerie, a dokładniej pod nim. Miały swoje wielkie królestwo, składające się z niezliczonej liczby korytarzy i pomieszczeń. Często te korytarze łączyły się w piwnicach lub spichlerzach. Dla nas, Kotów, Myszy od początku stały się niebezpieczną plagą. Kiedyś koci ród był liczniejszy i cieszył się łaską Septimusa. Mój prapradziad pełnił funkcję doradcy w Monastyrze – dodał dumnie. – Walczyliśmy z Myszami praktycznie każdego dnia, czając się w mrokach piwnic, urządzając krwawe obławy. Sam zabiłem kilkunastu mysich dowódców. – Znów wypiął pierś. – Myszy oczywiście nie pozostały bierne, w zasadzie to one zaczęły wojnę, szlachtując pewnej grudniowej nocy siedem kociąt. Noc ta przeszła do historii jako Rzeź Kociąt. Zawsze kiedy zapadał zmrok, oddziały Myszy nadchodziły z różnych stron miasta, z kanałów, piwnic, nawet ze strychów, i uderzały na naszych, brutalnie okaleczając najznakomitszych wojowników. Do walki z Myszami potrzebowaliśmy sojusznika. Udało nam się nawet przekonać kilku miejscowych, żeby zalali tunele żrącą substancją, ale ludzie w większości pozostawali obojętni. Do czasu.

– Myszy rozzuchwaliły się i myślały, że już z nami wygrały. Zaczęły nękać ludzi. Z początku okradały ich spichlerze, potem kaleczyły i porywały dzieci, a nawet zaczęły atakować patrole straży. Tego było za wiele. Septimus postanowił rozprawić się z nimi raz na zawsze. Ściągnął jednego z najsłynniejszych pogromców Myszy i Szczurów, Szczurołapa z Hameln. Jego zadaniem było wywabienie naszych wrogów z kryjówek i zaprowadzenie ich w mgłę, gdzie resztą zajęłyby się upiory i demony. Szczurołap przybył do miasta; był młodym, małomównym wyrostkiem, w którego wątpilem, przyznam szczerze. Jedyne, co przy sobie miał, to drewniany flet. Zwykły, prosty flet. Wziął zapłatę z góry i polecił, by w nocy nikt nie wychodził na ulice.

– Kiedy dochodziła północ, a wszyscy mieszkańcy, kierowani strachem i ciekawością, skryli się za okiennicami swoich domostw, zaczęło się. Przez miasto niosła się muzyka, tak urokliwa, że nawet ja miałem ochotę wybiec z kryjówek i pójść za Szczurołapem. Na szczęście nie zrobiłem tego. I oto nagle z wszystkich kanałów, tuneli, spichlerzy, piwnic, z każdego, dosłownie każdego zakamarka zaczęły wychodzić na ulice niezliczone zastępy Myszy i Szczurów. Jak w transie podążały za Flecistą i jego zwodniczą muzyką. Wyruszył za nim nawet sam Król Myszy i jego nadworny Astrolog. Jednak nim ten ostatni wpadł całkowicie w matnię uroku Szczurołapa, rzucił Przekleństwo na najbardziej bezbronnych.

– Tej nocy Szczurołap na zawsze odszedł z miasta, a wraz z nim Myszy i ich wierzchowce. Niestety, wskutek zaklęcia Astrologa następnego dnia straszna zaraza sprawiła, że poumieraly wszystkie dzieci przed siódmym rokiem życia. Septimus musiał znaleźć kozła ofiarnego, zrzucił więc całą winę na Koty. Wtedy właśnie straciliśmy wszelkie przywileje –zakończył smutno Chowaniec.

– A co się stało z Myszami? Zginęły?

– Tak. Większość z nich została rozszarpana przez Istoty Nocy. Niestety, niedawno jeden z kocich zwiadowców, mój brat, trafił na niepokojące ślady: nory w ziemi i pod korzeniami drzew. Odkrył, że ród Myszy nie został wybity do końca, a zdołał w jakiś sposób uciec i zbudować królestwo pod ziemią. Ruszyliśmy wraz z moimi kompanami, żeby raz na zawsze rozprawić się z wrogiem. Zdołaliśmy rozgromić sporą część armii przeciwnika, co zostało okupione ogromnymi stratami wśród moich towarzyszy... Na koniec Król Myszy wyszedł przed swój oddział i rzucił na ziemię coś, co sprawiło, że prawie pękło moje kocie serce. – Zawahał się. – Na ziemi leżało ucho mojego syna, który był ledwie kociakiem. Okazało się, że kiedy my walczyliśmy z wrogiem, on podstępnie wysłał grupę wojowników, by porwali nasze rodziny. Pojmali czwórkę moich dzieci, moją żonę i ojca. Dali nam też ultimatum, musieliśmy się poddać.

– Jakie ultimatum?

– Albo oddamy w ich ręce każdego dorosłego Kota, albo... – głos mu się załamał – wyrzną nasze rodziny. Mamy niewiele czasu.

Pani Klątwa nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Dotarliśmy na miejsce. – Kot stanął przed drewnianymi drzwiami chylącej się ku drodze, strzelistej chaty, której ściany były wybielone wapnem, a złota słoma strzechy lśniła w słońcu. – Idź pierwsza.

## Rozdział VI

### Opętana

Wnętrze było przytulne, a w powietrzu unosił się zapach świeżo pieczonego chleba, wydobywający się ze stojącego w kącie pieca. Po drugiej stronie pokoju stała długa drewniana ława, na niej zaś dzban ze świeżym mlekiem, grubo krojone pajdy chleba z masłem i pęto kielbasy. Bielone ściany pełne były kolorowych talerzy malowanych w kwiaty. Poza tym jadalnię zdobiły gliniane talerze i półmiski, drewniane łyżki, suszony czosnek, jemiola, drewniane koło od wozu z szeroko rozstawionymi szprychami oraz słomiany chochoł, który strzegł tego pomieszczenia, leżąc niedbale pod ścianą.

Przy wejściu leżały dwie pary drewnianych chodaków. Mimo to dom wydawał się opuszczony.

– Dzień dobry – zawołała niepewnie Pani Klątwa.

Cisza. Słysząc było tylko odgłos drewna trzaskającego w piecu.

Spojrzała na Kota. Jego mina jednoznacznie mówiła: *na mnie nie patrz*. Postanowiła spróbować ponownie.

– Dzień do...

– Już idziemy, już idziemy, kochana – zawołał z głębi domostwa kobiecy głos. Po chwili do jadalni weszły dwie niewiasty. Pierwsza, ubrana w odświętną suknię połyskującą fioletem, miała czarne jak noc włosy spięte w kok i karminową szminkę na wargach. To musiała być matka. Córka była ubrana niemal tak samo, tyle że jej suknia była w kolorze kanarkowym i ozdabiały ją białe frędzle oraz kokardy. Była pulchna, natomiast jej uroda, cóż... Jeżeli nie dziedziczyła urody po matce, to jej ojciec musiał być żabą. Bardzo brzydką żabą.

Przyjemny zapach pieczonego chleba zastąpiła ostra woń perfum.

– Pani Klątwo, to zaszczyt. – Starsza kobieta, na oko koło czterdziestki, chwyciła nie-Adriannę pod rękę i zaprowadziła do ławy. Młodsza, mniej więcej dwudziestoletnia, dosiadła się do nich. Kot nawet nie liczył, że zostanie przez nią wzięty pod łapę. *Aczkolwiek byłoby miło*, przeszło mu przez myśl. Dosiadł się do nich bez zaproszenia.

– Czego się Pani napije? – spytała przesadnie słodkim głosem matka. – Mamy wyśmienite wino z południowej Galicji. – Na dźwięk słowa *wino* dziewczyna przypomniała sobie od razu o Karpackim Nokturnie.

– Nie, dziękuję. – Uniosła dłoń. – Może przejdźmy od razu do sedna. Nie mamy wiele czasu.

– Ależ oczywiście. – Matka uspokoiła ją gestem. – Czego Pani sobie życzy.

– Ja napiłbym się mleka – oświadczył Kot.  
– Ehm... A to co? I czemu to gada? – Młodsza kobieta aż się skrzywiła.  
– To mój pomocnik, nazywa się Chowaniec.  
– Ach, rozumiem. – Wciągnęła głośno powietrze. – W takim razie, panie Chowaniec, nalać mleka do miseczki czy spodeczka?

– Byleby nie do kubka – zakpił zwierzak. – Mam problem z brakiem chwytliwego kciuka. – Uniósł łapę do góry. Nikt nie zaśmiał się z jego dowcipu. *Idiotki*, pomyślał. – Może być spodeczek.

– Pączusiu, nalej panu Kotu mleka do spodeczka – poprosiła córkę matka. Ta ani drgnęła, ze znudzoną miną siedziała na ławie, owijając lok wokół palca. – No już, już! Nie bądź dzisiaj taka leni... Chciałam powiedzieć, żebyś była bardziej pracowita niż zazwyczaj. No, szybko! – Tamta niechętnie podniosła cztery litery z ławy i ruszyła w poszukiwaniu spodeczka.

– Na czym my to... Aha. Proszę powiedzieć, co Panią interesuje? – Kobieta zatrzepotała długimi rzęsami.

– Zostałam wezwana, ponieważ... – Tak naprawdę Pani Klątwa nie wiedziała, po co tu przyszła.

– Ponieważ zaginęła pani pasierbica – wyjaśnił rzeczowo Kot. – O, dziękuję za mleko.

Córka wyduła usta w grymasie i wybąkała coś, co brzmiało jak: *niemazacogupikocie*. Już miała wrócić na swoje miejsce, kiedy Chowaniec chrząknął.

– Khem... Jeszcze jedno.

– Co?

– Chciałem zwrócić uwagę na fakt, że w moim spodeczku z mlekiem dryfuje martwy owad. Mucha.

Dziewczyna obcesowo wsadziła tłusty paluch do mleka, wyłowiła owada, po czym strzepnęła go na ziemię.

– Była mucha, nie ma muchy. Smacznego. – I wróciła na swoje miejsce. Kot siedział z szeroko otwartym pyszczkiem.

– Tak, moja pasierbica. – Matka zrobiła taką minę, jakby ugryzła orzech i zabolął ją ząb. – Jakby to powiedzieć... Nieposłuszna, same kłopoty sprawia, nie to, co mój okruszek. – Poglaskała „okruszka” po głowie. – To i zniknęła gdzieś nagle.

– Gdzieś? Nagle? – Dziewczyna zmrużyła oczy. Poczuła, jakby coś zaczęło się wić w jej głowie, jakby znowu przejmowało nad nią kontrolę, szeptało. Zamilkła, przeszywając spojrzeniem matkę. Widziała więcej, gdy brała ją we władanie ta wewnętrzna siła. Zobaczyła nadludzką pracę młodej dziewczyny, zobaczyła okrucieństwo, zobaczyła poniżenie, zobaczyła krew. Krew na wrzecionie. Wrzeciono. Od niego się zaczęło. Matka wie.

– Opowiedz mi o wrzecionie – powiedziała nieswoim głosem. Matkę zamurowało, Kot patrzył z ciekawością. Mleka nawet nie tknął. I nie zamierzał.

– No dobrze... To było tak: z Alicją zawsze były problemy. Nie słuchała mnie, nie wypełniała obowiązków na czas, wiecznie bujała w obłokach, musiałam nauczyć ją dyscypliny – dodała twardo. – Dostała ode mnie wrzeciono, na którym codziennie przed południem przędła. Potem pomagała w domostwie i miała czas na zabawę. – *Przędła do wieczora, aż krew lała się z jej palców. Potem do późnej nocy harowała przy domostwie, poprawił głos w jej głowie. Teraz nie był to głos potwora, a łagodnej nimfy.* – Aż pewnego razu poszła praść nad studnię. Zamyśliła się nieodpowiedzialnie podczas pracy, jak to miała w zwyczaju, chwila nieuwagi, powiał wiatr i wrzeciono siup! Poleciało na samo dno. Jakby nigdy nie wróciła do domu, pytam, gdzie wrzeciono, a ta niedobra dziewczucha mówi, że go nie ma, że ukradli – dodała oburzona. – Na szczęście moja pączusia wszystko widziała – znowu pogładziła „pączusie” po głowie. – I to właśnie córeczka powiedziała mi, jaka była prawda. – *Prawda była zupełnie inna. Alicja została oddana miejscowemu znachorowi w zamian za garść złota i sporą fiolkę Esencji. Robił z nią złe rzeczy, uciekła, rzucił na nią przekleństwo, chciała ze sobą skończyć. Studnia.* – Studnia. Powiedziałam jej żeby tam zeszła i przyniosła zgubę. Zrobiła, jak poleciłam. Wróciła dopiero po czterech dniach i opowiadała niesamowite historie. – *Skoczyła, ale nie zabiła się. Coś się wydarzyło, coś nią zawładnęło.* – Bajdurzyła, że spadła i straciła przytomność. Po przebudzeniu leżała na łące, majaczyła coś jak w malignie, że uratowała z pieca chleby, co krzyczały, że się zaraz spalą i prosiły o pomoc, następnie bąbała o przeciążonej jabłoni, że pomogła zerwać ciężkie, tryskające sokiem owoce, które przygniatały cierpiące drzewo do ziemi. Na samym końcu opowiedziała najbardziej zmyślne ze swoich kłamstw. – Matka prychnęła. – Otóż powiedziała, że za swoją – kto by pomyślał – dobroć trafiła do pałacu, którym rządziła Pani Zamieć. Mieszkała tam przez trzy dni, a kiedy *stęskniła się za domem* – podkreśliła kwaśno matka – poprosiła Panią Zamieć o pozwolenie na powrót. Ta się zgodziła, ale przed opuszczeniem tego przecudnego miejsca dała jej garść złota i fiolkę Esencji. I z tą historią, z tym kłamstwem wróciła do nas. A złoto i Esencję na pewno ukradła – zawyrokowała. – Chłosta różgą nic nie pomogła. Nie wyjawiała prawdy.

– Chciała, żebym ja też tam poszła! – poskarżyła się córka. – Ale się nie dałam.

– Moja mądra córcia... – Matka obdarzyła ją uśmiechem pełnym troski. – No i wczoraj zniknęła. Normalnie nic bym nie robiła dla tej niewdzięcznicy, ale mam wielkie serce, więc pomyślałam, że muszę działać. Jej zniknięcie jest tajemnicą, a kto rozwiązuje tajemnice lepiej niż Pani Kłątwa? I to cała historia.

*Staruch upomniał się o dziewczynę, inaczej odbierze zapłatę. Lub rzuci kolejne przekleństwo.*

Nastała cisza. Matka i żaboludka z niecierpliwością wpatrywały się w Panią Kłątwę. *Ona wie*, dziewczyna usłyszała myśli matki. *Żeby nas tylko nie zamieniła w żaby albo w gruz*, pomyślała córka. Kot zastanawiał się, co bardziej obrzydziło mu mleko: mucha czy paluch córki.

– Tak, chyba już znam całą prawdę.

Słyszając te słowa, obydwie kobiety wypuściły powietrze z ust.

– W takim razie – macocha od razu podniosła się od stołu – wygląda na to, że wszystko mamy już ustalone. Co do zapłaty...

– Zwróćcie Alicji fiolkę z Esencją. I nigdy więcej nie zmusicie jej do pracy przy wrzecionie.

– Ehm... – Starsza aż się zapowietrzyła.

– Nikomu też jej nie sprzedacie. – Dziewczyna spojrzała jej prosto w oczy. Miała zimne spojrzenie, sięgało bardzo głęboko, przesywając duszę kobiety.

– Tak jest – odparła tamta posłusznie, a „pączusia” nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. A słyszała, po raz pierwszy w życiu, przerażenie w głosie matki.

\*

– No to my już chyba nie będziemy potrzebne. – Kobieta w fioletowej sukni uchylila im drzwi na pożegnanie.

Pani Kłątwa nie odpowiedziała. Stała w progu domostwa, raz jeszcze mierząc obie kobiety chłodnym spojrzeniem. Widziała przed sobą dwie oprawczynie i cień nieszczęśliwej Alicji. Gruba córka od dłuższego czasu kręciła się niespokojnie, zezując to na Kłątwę, to na matkę. W końcu zdobyła się na odwagę i szepnęła do ucha rodzicielki:

– Powiedz im, że jakby wróciła ta... – Spojrzała na Panią Kłątwę i szybko ugryzła się w język. – No, jakby wróciła *ona*, to nas nie będzie do późnego wieczora. Powiedz im.

– Tak, córciu – przytaknęła matka. – Pani Kłątwo, niedługo wychodzimy, by dołączyć do orszaku powitalnego mistrza Hessego, który przybywa tu z samej stolicy ze słynnym Chórem na Noc Poświęcenia. – *Stąd te odświętne suknie*, pomyślała dziewczyna. *Masz nadzieję, że uda ci się zeswatać twoją leniwą córkę z kimś znaczącym. A jak nie ją, to przynajmniej siebie*. – Dlatego może nas nie być do późna. Pani sama rozumie.

Dziewczyna znowu nie odpowiedziała.

– Kocie, wychodzimy – powiedziała do zwierzaka, który z widoczną ulgą i pośpiechem opuścił próg domostwa o bielonych ścianach i dachu ze złotej strzechy. – Do zobaczenia.

\*

Wracali tą samą trasą, którą przybyli do domu Alicji, kierując się w stronę Rynku. Po drodze mijali te same smutne krajobrazy, tych samych smutnych ludzi bez nadziei i tych samych smutnych pijaczków leżących pod gospodą, liczących na cud w rodzaju: *hej chłopaki, dzisiaj jest wasz szczęśliwy dzień: ja stawiam!* Ale cud się nie wydarzył, próżno było go wypatrywać na horyzoncie.

– Kocie? – Pani Klątwa odezwała się pierwsza.

– Jeżeli chcesz mnie spytać, czemu nie wypilem mleka, to odpowiem, że mam bardzo dobre uzasadnienie.

– Nie, chodzi mi o coś innego. Mówiłeś, że ta historia z dziewczyną, która zniknęła w studni, ma coś wspólnego z istotą, która pożera trupy.

– To prawda.

Cisza.

– I?

– No, ma. Co tu tłumaczyć? – Spojrzał na dziewczynę. Widać nie miała ochoty się droczyć. – No dobra. Słyszałem, że od pewnego czasu ludzie giną w studniach. Może nie tak, jak ta Alicja, bo z nią ewidentnie coś było nie tak. W końcu nie każdy dla hecy wskakuje sobie w głąb studni, opowiada o gadającym pieczywie czy podziemnych królestwach Pani Zamieci, wraca do domu, a potem wskakuje tam znowu... Chodzi o to, że mówiło się ostatnio tu i ówdzie, że w całym mieście ludzie giną w podobny sposób. Głównie nocą. Jakby coś wychodziło ze studni, czaiło się w mroku, a potem hyc! Porywało nieszczęśników w głąb. Na drugi dzień – a czasem po kilku dniach – wyrzucało zwłoki. Strażnicy znajdowali niekompletne ciała: czasem brakowało tylko ucha lub oka, czasem całych kończyn a nawet organów wewnętrznych.

– To straszne. – Dziewczyna aż się wzdrygnęła. Po zastanowieniu dodała: – A nie myślałeś, że to sprawka nieznanego drapieznika, który mieszka w studniach, albo ludzi dotkniętych *peccatum tensi* czy też oprychów Konsyliarza?

– Zastanawiałem się nad tym – przyznał Chowaniec. – Szczególnie że przy żadnych zwłokach nie znaleziono fiołki z Esencją. Ba! Poszedłem nawet krok dalej i wysłałem jednego z naszych kocich tropicieli, żeby zbadał, czy w kanałach pod miastem nie czają się bandy Myszy. Musisz bowiem wiedzieć, że większość studni, przynajmniej tych w centrum miasta, jest od dawna nieczynna, a prowadzą one do rozległej i skomplikowanej sieci kanałów pod Aerie. Nikt nigdy nie sprawdził, jak głęboko sięgają labirynty tych kanałów ani dokąd prowadzą. Nikt nie wie, skąd się wzięły. Kiedy wieki temu miasto powstawało, one już tutaj były. To owiane tajemnicą tunele i tylko najwięksi śmiałkowie wchodzili do nich i wychodzili cało.

– Intrygujące.

– W istocie. Ale jeszcze bardziej intrygująca i – co tu dużo mówić – jeżąca włos na grzbiecie jest opowieść nieustraszonego Swółka. Swółek, jak się



domyślasz, jest kocim zwiadowcą. – Skinęła głową na znak, że rozumie, aczkolwiek imię kota sprawiło, że kącik jej ust sam uniósł się do góry. – Mówił, że kiedy dotarł do kanałów i ruszył na poszukiwania zaginionego syna pewnej młynarki, w pewnym momencie daleko przed sobą na zakręcie zobaczył ciało biednego chłopca. Tamten leżał na wznak w ciemności, nieruchomo jak worek mąki. Zobaczył jednak coś jeszcze. Wielki kształt, który trzymał wyciągniętą dłoń chłopca i właśnie odgryzał mu palce. Swólek, widząc tę makabryczną scenę, zatrzymał się, a potem bardzo powoli zaczął się wycofywać. Stwór zauważył go i ruszył w pościg. Kot cudem uszedł z życiem.

– Hmm... Jesteś pewien, że musimy tam zejść?

– Absolutnie – stwierdził dobitnie. – Jest to obowiązek Pani Kłątwy.

– Co?!

– Ja będę stał na czatach.

– Sama tam nie zejdziesz! – zaprotestowała. – Poza tym to ty mnie w to wciągnąłeś. Mam już na głowie Konsyliarza i...

– Moja droga, jesteś Panią Kłątwą. – Kot tłumaczył tonem ojca, który po raz pierwszy wysłał przerażonego siedmiolatka do szkoły i wie, że choć jest to dla dziecka ciężkie, to także nieuniknione. – To normalne, że towarzyszy ci niebezpieczeństwo. Musisz się przyzwyczaić. Mówiłem: ten świat parzy, jak każdy inny... No, może bardziej, bo jest prawdziwy. W każdym razie jako Kot wiem, kiedy moje losy mogą splatać się z losami Pani Kłątwy, a kiedy nie, kiedy mogę wyłącznie stać przy studni i czekać. Uwierz mi – zapewniał, tak wczuwając się w rolę, że aż przyłożył czarną łapkę do piersi na wysokości serca. – Z przyjemnością zszedłbym z tobą na dół, przedzierał się przez ciemne i wilgotne korytarze, wyczekiwał przygód i niebezpieczeństw, ale... najzwyczajniej nie mogę. – Spuścił łebek.

Dziewczyna prawie mu uwierzyła.

– Jesteś po prostu tchórzem – stwierdziła.

– Przejrzałaś mnie. – Nawet się nie bronił.

To bezczelne stwierdzenie odbiło gdzieś ripostę, którą szykowała.

– Skoro już wszystko sobie wyjaśniliśmy, powiem ci, jaki jest plan. – Oznajmił rzeczowo, kiedy zbliżali się do Rynku Głównego, na którego środku znajdowała się wielka, kamienna studnia z drewnianym daszkiem i wiaderkiem zawieszonym na kołowrocie. – Kiedy zejdziesz na dół, ja udam się do najbliższego felczera i powiem mu, żeby przyszykował się na przyjęcie rannego. Przypuszczam, że Alicja może być w strasznym stanie. Felczer przygotowuje stół, specyfiki, ingrediencje i wszystko, co potrzebne, by zająć się dziewczyną. Ty w międzyczasie zejdziesz na dół, szybko wyciągniesz pannę, być może natkniesz się na naszego ośeska i jeśli tylko przeżyjesz... To znaczy... No, ja będę czekał w gotowości. – Zakończył. – Wszystko jasne?

Spojrzała na niego z mieszaniną wyrzutu i odrazy.

– Jak słońce, które mam nadzieję jeszcze zobaczyć. – Spojrzała w niebo, ale nie było tam słońca. Tylko czarne kłęby chmur. – Pójdę sama. Ale najpierw będę potrzebować jeszcze jednej rzeczy... – Zatrzymała się przy studni i zaczęła za czymś rozglądać, po czym podniosła kamień wielkości pięści i podrzuciła parę razy. – Jest odpowiedni. – Upuściła kamień do studni. Kot wskoczył na krawędź. Obydwoje nachylili się i zaczęli nasłuchiwać odgłosów z wilgotnej ciemności. Dopiero po dziesięciu sekundach doszedł ich dźwięk głuchego uderzenia.

Kot głośno przełknął ślinę.

– No to już po mnie. – Westchnęła.

\*

Nim zeszła w głąb studni i zagłębiła się w starożytne korytarze, w których mrokach mogła czaić się nieopisana groza – potwór, który pożerał zwłoki Alicji – kupiła lampę oliwną. Światło Esencji było zbyt blade.

– Dobrze, powiedz mi jeszcze, jak mam się tam dostać.

Chowaniec zajrzał do studni. Dopiero po chwili zauważył metalowe uchwyty drabinki, przytwierdzone do kamiennego szybu.

– Tam. – Wskazał łapą.

– Myślisz, że to bezpieczne?

– Pewnie! – skłamał. Metalowe uchwyty wyglądały na skorodowane. – Tylko musisz być bardzo ostrożna. Zawsze mogę cię spuścić w wiaderku.

– Żebym ja cię nie spuściła – odcięła się i zapaliła lampę.

Nagle całym zajściem zaczęli interesować się gapie. Kilku przechodniów z ciekawością przyglądało się poczynaniom Pani Kłątwy. Dziewczyna, nie chcąc przyciągać jeszcze większej uwagi, przeskoczyła zwinnie przez cembrowinę, oparła stopę na metalowym uchwycie i ruszyła na dół. Nim zniknęła całkowicie, raz jeszcze zerknęła w stronę Kota, który wciąż stał na krawędzi. – A ty na co czekasz?

– Chcę być pewny, że zejdziesz bezpiecznie.

– Ech... – Pokręciła głową. – Widzę, że sumienie cię ruszyło. – I zaczęła schodzić.

Chowaniec, nachylony nad studnią, leniwie kreślił ogonem ósemki, obserwując z ciekawością znikający kształt Pani Kłątwy i coraz bardziej oddalający się blask lampy oliwnej. W pewnym momencie blask zniknął. Dziewczyna dotarła na dno studni. Wtedy strzelił piorun i rozszalała się burza.

\*

Podeszwa prawego buta dotknęła podłoża. Było twarde i śliskie. Zaraz potem para czerwonych, wysoko wiązanych oficerek ze skóry zrobiła kilka kroków w prawo, w głąb korytarza, pod strop. Przez szyb zaczął wlewać się deszcz.

Pani Kłątwa uniosła wysoko lampę i rozejrzała się.

Korytarz ciągnął się w prawo i w lewo, w obu kierunkach zakręcając na granicy światła i znikając w mroku. Łukowaty strop znajdował się na wysokości prawie trzech metrów, łącząc się z szeroko rozstawionymi ścianami, na których wisiały pozostałości zardzewiałych uchwytów na pochodnie. Korytarz był regularny, geometryczny; wcześniej Pani Kłątwa wyobrażała sobie, że będzie wyglądał jak tunel o ostrych krawędziach, niedbale wydrążony w skale przez kardy. Zbudowano go z czarnego granitu, który pokrywała wilgoć. Kłątwa przyjrzała się posadzce, ale nie dostrzegła śladów stóp – ludzkich, kocich czy też należących do bestii.

To miejsce wywoływało dreszcze. Pachniało mokrym mchem. W powietrzu wyczuwało się aurę niesamowitości i prastarych tajemnic, które drzemały pod miastem.

Postanowiła zdać się na inne zmysły. Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech. Powietrze nagle stało się wyjątkowo świeże, jakby znalazła się nad morzem. Wyczuła zapach deszczu, morskiej wody i czegoś jeszcze. Świeżego pieczywa. I jabłek. Nie wiedziała, skąd docierają te zapachy.

Skoncentrowała się na słuchu. W oddali, w świetle na powierzchni, zagrzmiało. Odgłos odbijał się od ścian szybu i schodził coraz niżej i niżej, dudniąc i stopniowo cichnąc, aż w końcu, kiedy uderzył w posadzkę tunelu, fala rozeszła się w obie strony korytarza, a potem uspokoiła jak tafla wody na jeziorze i ucichła zupełnie. Krople deszczu zmieniały się w strumień spływający po ścianach studni. Słyszała odgłos ciekącej wody, kropel uderzających o posadzkę, nic więcej. Mrok w głębi tunelu milczał, tłumiąc każdy szept, szmer i odgłos.

Wtem fala zimnego powietrza oblała jej twarz. Zapachniało grudniowym porankiem, mrozem, który szczypie i zaróżowia policzki. A wraz z chłodnym powiewem niosła się cicha melodia, nucona przez dziewczynę. Wydawała się ledwie słyszalna. Przesycala ją melancholia. Jak szybko się pojawiła, tak zniknęła.

Pani Kłątwa otworzyła oczy i uśmiechnęła się kącikiem ust. Już wiedziała, w którą stronę iść. Zaciągnęła kaptur na głowę, uniosła lampę oliwną i w bladym kręgu światła ruszyła naprzód, by po chwili zniknąć za zakrętem. Była całkiem sama, kilkadziesiąt metrów pod ziemią, a przed nią rozpościerały się kręte korytarze, nieprzenikniony mrok i niebezpieczne sekrety.

Deszcz dudnił o kamienną posadzkę.

\*

Dziewczyna szła, otoczona przez głuchą ciemność. Jedynym widzialnym światem był korytarz, który wylaniał się w kręgu migotliwego światła lampy i fiolki z Esencją. Każdy krok odbijał się echem w ciemnościach.

Dziewczyna nie otrzymała żadnej wewnętrznej wskazówki. Po prostu szła w kierunku, z którego dochodził śpiew. Krok za krokiem, cały czas w głąb korytarza, który skręcał raz w lewo, raz w prawo i w dół.

Żadnych odgłosów, żadnych postaci, żadnego ruchu w mroku, nic. W pewnym momencie Panią Kłątę zaczęły nachodzić wątpliwości. A co, jeżeli nic tam nie ma? Przecież sama nawet nie wie, jak działa jej wewnętrzny głos, skąd pojawia się to pełzanie w głowie, które przejmuje nad nią kontrolę. I po co w ogóle ona tu przyszła? Może się okazać, że tamta dziewczyna wcale nie weszła do tej studni, a jeżeli to zrobiła, może poszła w przeciwną stronę. Czemu nie wybrała tamtej ścieżki? Bo wydawało jej się, że coś usłyszała? Może popełniła błąd? No i dlaczego musi rozwiązywać te wszystkie tajemnice? Czy nie może sobie tego odpuścić, osiąść gdzieś, gdzie jest bezpiecznie, przytulnie, gdzie byłby... Gdzie mógłby być na przykład Dale? Chociaż to głupie...

*Stuk, stuk*, monotony krok, te same ściany, ten sam strop, zero śladów, żadnych głosów.

A co się stanie, jeżeli okaże się, że ten korytarz prowadzi naprawdę głęboko, że ciągnie się nawet kilkanaście kilometrów pod miastem? Co się stanie, kiedy skończy się oliwa w lampie? Przecież nie wróci po ciemku. Esencja daje zbyt słabe światło. Głupi Kot! To wszystko przez niego! Jak tylko spotka tego złośliwego zwierzaka... *Dobrze, postanowione. Jeszcze sto kroków. Jeżeli nic się nie pojawi, zawracam. Wrócę jutro, z Kotem.*

Pani Kłątwa liczyła kroki, schodziła cały czas w dół, miała coraz większe wątpliwości, a lampa jakby nieznacznie przygasła.

Właściwie cieszyła się, że już za niecałe trzydzieści kroków będzie mogła zawrócić. Ale gdzieś tam w środku coś mówiło jej, żeby poszła jeszcze dalej, jeszcze trochę, nawet jeżeli miałyby stracić nadzieję, nawet jeżeli miałyby zniknąć świetlisty klosz, chroniący ją przed ciemnością. Dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt dziewięć, sto...

Zawahała się. Wiedziała, że jeżeli zaraz nie zawróci, to może zostać tu na zawsze. Czuła, że w mroku czai się coś gorszego od orszaku potępionych zjaw, kryjących się we mgle. Wszystkie zmysły mówiły jej, że powinna zawrócić, że to bez sensu, ale ten cichy głos powtarzał, że musi zrobić jeszcze kilka kroków, całkowicie pogрузić się w nieznanym. Był to głos chłopca. Szeptał cicho, bardzo cicho, ale szeptał.

— Pieprzyć to!

Sto jeden, sto dwa... Przestała liczyć. Wtedy właśnie wydarzyło się coś niewytłumaczalnego. Pani Kłątwa zastanawiała się, jak działają jej moce, jak to

możliwe, że nagle się uaktywniają. Odpowiedzi na to pytanie nie znalazła, ale za każdym razem, kiedy zaczynała widzieć i czuć inaczej, głębiej, wiedziała, że robi dokładnie to, co powinna. Tak jak w tamtej chwili.

Z głębi korytarza przyszedł podmuch, zgasił lampę, ale jednocześnie rozjaśnił tunel innym światłem, potężniejszym. Na całej długości korytarza sufit, ściany i podłoga pokryły się skomplikowanymi, neonowo-niebieskimi liniami, które wyglądały jak labirynt. Ze ścian wyłoniły się eteryczne postaci z mgły, które z każdym ruchem rozwiewały się, wędrując to w jedną, to w drugą stronę, przenikając przez ściany i przez Panią Klątwę. Nie były to zjawy, jakie unosiły się nad wozem wtedy, kiedy jechała z Dalem. Te były niegroźne, stanowiły projekcję odległej, dawno zapomnianej przeszłości. Ale moce Pani Klątwy odsłaniały przed nią tajemnice zamierzchłych czasów, tajemnice korytarza i jego architektów.

Postacie były wyższe od dziewczyny, przypominały ludzi, miały na sobie przylegające do ciała kombinezony. Nie potrafiła rozpoznać twarzy ani stwierdzić, jakiej płci były te istoty. Wszystkie, setki mijających ją postaci, wyglądały tak samo, a jednak zdawało jej się, że każda jest inna. Nie widziała twarzy, jedynie duże owalne głowy, co sprawiało, że istoty przypominały drewniane kukły w warsztacie lalkarza.

Przed dziewczyną stanęła postać, która różniła się od pozostałych – jej mgła zdawała się mienić kolorami. Teraz Pani Klątwa zdołała spostrzec, że kombinezon jest barwy roztopionego srebra. Twarzy nie rozpoznawała, bo kryła się ona za szklaną osłoną hełmu. Z ramion istoty spływała szkarłatna opończa. Postać unosiła się, jakby znajdowała się pod wodą. Po chwili dziewczyna zdała sobie sprawę, że w odległej przeszłości te kanały naprawdę musiały być zalane.

Tajemnicza istota podpłynęła do ściany i zachęciła gestem, żeby się do niej zbliżyć. Kiedy Pani Klątwa stanęła obok eterycznej figury, ta gestem poleciła jej dotknąć powierzchni muru. Dziewczyna oparła dłoń o śliski czarny granit. Poczowała mrowienie, a chwilę później przed jej oczami zaczęły pojawiać się obrazy. Wpłynęły do umysłu tak szybko i z taką intensywnością, że aż z nosa pociekła jej strużka krwi. Chciała cofnąć dłoń, ale nie mogła, to coś ją trzymało i wlewało jej do głowy historię starożytnej cywilizacji.

Zobaczyła podziemne królestwo i niezliczone pokolenia istot w srebrnych kombinezonach. Zobaczyła świat pod wodą, kiedy wszystkie kontynenty tkwiły pod powierzchnią oceanu. Zobaczyła tysiące lat dobrobytu, pokoju i harmonii. Poczowała szczęście i spełnienie. Ujrzała cień, który spadł pewnej nocy do oceanu, a potem zobaczyła, jak z wnętrza cienia, z wnętrza tego monstrualnego, mechanicznego meteorytu wypłynęli najeźdźcy, jaszczury nie z tego świata. Zobaczyła wojnę, krew, cierpienie. Zobaczyła, jak srebrne istoty opuszczają ten świat w świetlistym, latającym statku, a potem zobaczyła jaszczury, które podążały za nimi. Zobaczyła coś jeszcze – zło, które przywiozły ze sobą i które zostawiły na

Ziemi. Zobaczyła małą, pełzającą istotę i zrozumiała, że jaszczury zainfekowały nią świat. A potem były wybuchy wulkanów, pęknięcia skorupy ziemskiej, ruchy płyt tektonicznych i wyłanianie się nowych lądów. Nieliczne jaszczury zostały, spłodziły niedoskonale, zezwierzęcone kopie samych siebie. Potem przyszedł ogień z nieba i je zniszczył. A potem... Potem dziewczyna zemdląca.

\*

Kiedy się ocknęła, nie pamiętała zupełnie nic.

Leżała na posadzce, dzwoniło jej w uszach. Podniosła się, wygrzebała z kieszeni krzesiwo i rozpałała lampę. Korytarz był taki sam jak poprzednio: długi, gładki, z czarnego granitu.

– Powinam wracać – powiedziała do siebie i odwróciła się w kierunku, z którego przysła. Bolała ją głowa. Nagle kątem oka dostrzegła ruch w oddali.

Na zakręcie ujrzała dwa cienie. Jeden, mniejszy, leżał na ziemi nieruchomo, a drugi, dużo większy, stał nachylony nad nim i powoli poruszał monstrualnymi rękami. W jego dłoniach mignęło światło. Dziewczyna od razu zrozumiała, co się dzieje: stwór przelewał Esencję swojej ofiary do innej fiołki.

– Ej! – krzyknęła, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi. – Zostaw ją!

Stwór szarpnął wielkim łbem, spojrzał na osobę, która mu przeszkodziła, a potem rzucił fiołkę na ziemię i zaczął szarżować na Panią Klątwe.

– Brgaaaach! – wrzasnął, a jego chrapliwe gulgotanie odbiło się od ścian korytarza.

Dziewczyna stała nieporuszona. Mały chłopiec szeptał w jej głowie, szeptał gorączkowo, pewny siebie, uspokajał, mówił, żeby się nie bała. On się wszystkim zajmie. Stwór pędził w jej stronę, wyciągając przed siebie wielkie łapska, by rozerwać przeciwniczkę, był tuż, tuż, kiedy niespodziewanie ręka dziewczyny, ręka małego chłopca sięgnęła po fiołkę z Esencją, otworzyła ją, a ze środka wyleciała wielka świetlista pszczoła. Momentalnie postawiła przed sobą ścianę ze światła, chroniąc Panią Klątwe przed szarżującym monstrem.

Potwór wyhamował i wrzasnął. Ona stała spokojnie.

– Przyszliśmy ją zabrać do domu – przemówił głos.

Stwór sapnął głośno i warknął.

– Dajemy ci ostatnią szansę. Potem będziesz musiał zmierzyć się z naszym gniewem. Ustąp.

Stwór dyszał, jakby walczył z jakąś niewidzialną siłą w swojej głowie, aż nagle wciągnął głęboko powietrze i przemówił gardłowo:

– Weź ją sobie. I tak jest zepsuta – powiedział, a potem pognął w głąb korytarza.

Pszczola momentalnie poleciała za stworem i zniknęła za zakrętem. Pani Kłątwa poczuła, jak potężna siła opuszcza jej wnętrze, a chłopiec odchodzi; znowu stawała się sobą.

Czym prędzej podbiegła do leżącego na ziemi cienia.

Cień okazał się blondynką o zapadniętych policzkach i klatce piersiowej falującej w szybkim, nierównym oddechu. Widziała już tę dziewczynę, w tłumie, na chwilę przed spotkaniem Konsyliarza.

– Alicjo, słyszysz mnie? – Pani Kłątwa położyła lampę obok głowy nieprzytomnej. Rzuciła okiem na łańcuszek z fiołką Esencji, prawie pustą. Podniosła ją, odkorkowała swoją fiołkę i przelała kroplę złotej substancji do kryształu Alicji. Po chwili biała cera dziewczyny zaczęła nabierać koloru, oddech zwolnił, uspokoił się. Nie minęło pięć minut, a jasnowłosa otworzyła oczy. Nadzwyczaj spokojnym wzrokiem zmierzyła Panią Kłątwe. W końcu przemówiła:

– Wiedziałam, że przyjdiesz. – Miała bardzo cichy głos.

– Cieszę się, że odzyskujesz siły, Alicjo. A teraz musimy się stąd zabrać, nim powróci... tamta istota.

Dziewczyna milczała, wciąż świdrując wzrokiem swoją wybawicielkę.

– Jestem cała oblana złotem, wiesz? – Uśmiechnęła się. – Pani Zamieć była dzisiaj bardzo hojna.

– Wstawaj, dziecko. – Kłątwa pokręciła głową. – I zostaw to wrzecziono.

\*

Oliwa w lampie kończyła się. Pani Kłątwa co chwilę odwracała się za siebie. Nie wiedziała, czy potwór wróci. Czowała, że zaraz może upomnieć się o swoje, wyskoczyć z ciemności. Przez całą drogę prowadziła dziewczynę pod ramię jak lunaticzkę. Alicja ciągle opowiadała o chlebach, które uratowała z pieca, o jabłkach i o tajemniczej Pani Zamieci, która miała zamieszkiwać pałac na końcu korytarza.

Kiedy dotarły do miejsca, w którym korytarz przecinał krąg światła ze studni, Pani Kłątwie ulżyło. Jeszcze raz rozejrzała się dookoła. Nic.

– No to jeszcze musimy wdrapać się na górę i jesteśmy prawie w domu. Ty pierwsza – zachęciła Alicję, a ta posłusznie zaczęła się wspinać.

Kiedy tylko dotknęła metalowej powierzchni uchwytu, poczuła nieopisaną ulgę. Jakikolwiek niebezpieczne istoty kryły się w korytarzach, zostawiała je właśnie za sobą, w nieprzeniknionych mrokach podziemi.

\*

Jakie zdziwienie zarysowało się na pyszczku Chowańca, kiedy ze studni

wyłoniła się najpierw blond głowa dziewczyny o obłąkanym spojrzeniu, a potem oblicze Pani Kłątwy, która zaczęła ciskać gromy w stronę futrzaka. Mimo to kamień spadł mu z serca.

– Nareszcie! Już myślałem, że nigdy stamtąd nie wyjdiesz...

– Milcz i prowadź do felczera. – Pani Kłątwa wygramoliła się ze studni. Była zmęczona i poirytowana, szczególnie ostatnim odcinkiem trasy.

– Czy na pewno musimy stąd wychodzić? – Alicja zatrzymywała się co trzy stopnie. – Tutaj jest tak pięknie. Tyle jabłuszek i chlebków do uratowania.

– Tak musimy, ruszaj.

Kot uznał, że woli nie stać się ofiarą kiepskiego humoru Pani Kłątwy. Podszedł do drugiej dziewczyny i przyjrzał się jej. Wyglądała okropnie. Miała zapadnięte policzki, potarganą i brudną sukienkę, zmierzwiłone włosy i te oczy... Duże, szkliste oczy obłąkańca.

– O, jaki ładny kotek. – Długie palce sięgnęły w stronę Chowańca, ale ten w porę odskoczył.

– Ładny i groźny, nie radzę – syknął.

– I jeszcze mówi! – Alicja klasnęła w dłonie jak pięcioletnia dziewczynka. – Chcesz zobaczyć pałac Pani Zamieci? Mogę cię wsadzić do wiaderka i spuścić na dół. Na pewno ci się spodoba, kotku.

– Eee... – Rzucił okiem na Panią Kłątwę, której usta wykrzywił bardzo, ale to bardzo złośliwy uśmiech. – Może innym razem. A teraz, dziewczyny, chodźcie do... – Spojrzał na Alicję, w jej szkliste oczy. – Do domku z piernika. I na stopce. Niechybnie kurzej.

\*

Dom felczera mieścił się w jednej z bocznych uliczek niedaleko Rynku. Kiedy wchodzili do środka, było już zupełnie ciemno. Nad miastem wciąż błyskało. – Witam, witam, proszę wejść. – Chudy staruszek w białym fartuchu zaprosił ich do środka. Znaleźli się w ciasnym pomieszczeniu, w którym pachniało octem. – I proszę od razu na górę. – Wskazał strome, kręte schody.

Schody prowadziły do ciemnego pomieszczenia na bazie pięciokąta. Pani Kłątwa rozejrzała się. Z trzech stron znajdowały się okna zbudowane z drobnych, fioletowych i zielonkawych szkiełek, połączone cienkimi włóknami z ołowianego szprosu. Wszędzie dookoła leżały grube księgi, narzędzia felczerskie i aparatura do ważenia różnych dekoktów. Na dużej ścianie wisiały ryciny przedstawiające anatomię człowieka i budowę poszczególnych organów. Na środku pomieszczenia stał długi stół, na którego końcach umieszczono pasy do wiązania pacjentów. Pokój



felczera wyglądał jak połączenie pracowni alchemicznej i sali tortur.

– Młoda damo, proszę usiąść – felczer zwrócił się do Pani Kłątwy, wskazując miejsce na drewnianym stole z pasami.

– Nie chodzi o mnie.

– Proszę mi wybaczyć – zreflektował się felczer. – Z opisu pana Chowańca jednoznacznie wynikało, że to właśnie pani może być w ciężkim szoku i z niezrozumiałych przyczyn chce skrzywdzić jegomościa Kota, dlatego też przygotowałem coś na uspokojenie...

– Chodzi o nią. – Wskazała na Alicję, która siedziała skulona w kącie. Była zdezorientowana i przestraszona.

– Ależ oczywiście. – Zatarł dłonie. Kot tymczasem oddalił się od Pani Kłątwy na bezpieczną odległość. – Młoda damo, podejdź proszę – zachęcił ją.

– Nie chcę, boję się – wyszeptała cicho Alicja. Nie ekscytowała się już baśniowym światem Pani Zamieci. Teraz była tylko przestraszoną dziewczynką.

– Ależ nie ma się czego bać – powiedział bardzo spokojnym głosem felczer i powoli ruszył w stronę dziewczyny. – To tylko proste badania. Na ich podstawie stwierdzimy, czy z twoim zdrowiem wszystko jest w porządku.

Alicja spojrzała pytająco na Panią Kłątwę. Tamta kiwnęła głową.

– No dobrze – powiedziała drżącym głosem i dała się wziąć starszemu mężczyźnie pod rękę. Zaprowadził ją do stołu i poprosił, żeby się położyła. Potem podszedł do jednej z szuflad i zaczął ją przegrzebywać, mrużąc pod nosem: *nie to... to też nie... o, mam!* Wrócił z podłużnym, wysuszonym liściem, przypominającym liść laurowy.

– Teraz, moje dziecko, musisz się po prostu odprężyć, a ja sprawdzę, czy z twoją Esencją wszystko w porządku. – Alicja pokiwała głową. Kot i Pani Kłątwa przyglądali się temu z ciekawością, a felczer tłumaczył dalej: – Jeżeli liść zazieleni się, to znaczy, że jesteś zdrowa. Jeżeli zabarwi się na inny kolor, wtedy będziemy się martwić. Żółty oznacza chwilowe osłabienie, pomarańczowy chorobę, a czerwony... No cóż. Na to też mam specyfiki. – Uśmiechnął się dobrodusznie. – W takim razie sięgam po twoją fiolkę, odkorkowuję ją i...

– Nie. – Nagle chwyciła go za przegub. – Niech pan tego nie robi.

– A niby czemu miałbym tego nie robić? – spytał felczer bardzo powoli, rzucając porozumiewawcze spojrzenie Pani Kłątwie, która zbliżyła się do stołu.

– Bo oni... te głosy... mówią mi, że się nie zgadzają. Że mi tego nie darują. – Była przerażona.

– Rozumiem. – Felczer kiwnął głową i uwolnił swój przegub z uścisku dziewczyny. – W takim razie oddaję twoją Esencję. – Zamknął flakonik. – I jeżeli nie chcesz zostać przebadana, to...

– Albo nie! – Alicja niespodziewanie zmieniła zdanie. – Proszę sprawdzić. – Wręczyła mu flakonik z powrotem. – I proszę sprawić, by głosy odeszły –

powiedziała do Pani Kłątwy błagalnym tonem. – To one kazały mi zejść do studni... Odkąd nie chciałam tego dziada, one...

– Cii, wiem o tym. – Pani Kłątwa pogładziła ją po policzku. – Alicjo, znajdziemy sposób, żeby ci pomóc. Teraz musisz nam pozwolić się zbadać, musimy wiedzieć, co ci jest. Zgoda? – Kiwnęła głową. – Dobrze. Panie felczer, proszę kontynuować.

– Oczywiście. – Stary mężczyzna odkorkował fiolkę, uniósł ją, dotknął liścia i bardzo powoli przelał na jego powierzchnię pół kropli złotej substancji. – To chwilę potrwa. – Odłożył liść na podłużne, kryształowe naczynie i oddał Alicji fiolkę. – Widzisz? I po strachu.

Dziewczyna już spała.

– Dziwne – mruknął do siebie. – Przed chwilą jeszcze...

– Właśnie dlatego chcemy dowiedzieć się, co jej jest. Biedactwo – dodała Pani Kłątwa patrząc na śpiącą, wychudzoną dziewczynę. – Jak długo to potrwa? – Podeszła do starego mężczyzny w fartuchu.

– O, już się coś dzieje – odparł. – Proszę spojrzeć. – Zastukał długim paznokciem w powierzchnię kryształu. Nachylili się, dołączył do nich Kot.

Liść zaczął się zmieniać. Od samej końcówki po czubek, przez nerw główny i nerwy boczne zaczęła przepływać świetliście zielona substancja. Następnie zazieleniła brzeg liścia i w końcu rozlała się po całej blaszce.

– Niespotykane! – Felczer gapił się w zdumieniu. – Nigdy nie widziałem czegoś *takiego*. Ta dziewczyna ma zdolności Pani Kłątwy!

– Ehm – chrząknęła wspomniana. – Dołałam jej trochę mojej Esencji, kiedy byliśmy na dole. Długa historia. – Spojrzał na nią z niedowierzaniem i wyjąkał:

– Czyli pani jest... To znaczy Pani Kłątwa to pani?

– Cii, patrzcie. – Kot stuknął łapką w kryształ. – Co się dzieje, mości felczerze?

– Hmm. – Mężczyzna zmrużył oczy, obserwując, jak zieleń ustępuje miejsca ognistej pomarańczy. – Wygląda na to, że Esencja Pani Kłątwy ustępuje prawdziwej Esencji dziewczyny... Niespotykane, pierwszy raz mam do czynienia z czymś takim... Na Świętego Garivaldiego! Co to jest?! – Wnętrze liścia nagle zalała purpura, a w końcu czerń. – Cały liść szerniał! – Chwycił się za głowę. – Niedobrze! Niedobrze! – Zaczął się cofać, patrząc w panice to na liść, to na śpiącą Alicję.

– Co to znaczy? – zapytała przerażonego felczera Pani Kłątwa.

– To nie choroba – wykrztusił, blednąc coraz bardziej. – To opętanie!

W tym momencie Alicja zaczęła wyć.

Wszyscy spojrzeli w stronę stołu. Ciało dziewczyny wygięło się w łuk, zaczęła toczyć pianę z ust.

– Szybko, musimy coś zrobić! – zawołała Pani Kłątwa.

– Ale co?! – Felczer był zdezorientowany. Tymczasem Alicja zaczęła z całej siły uderzać głową o stół. Pocięła krew.

– Przywiążmy ją. – Pani Kłątwa podbiegła do dziewczyny i próbowała włożyć jej rękę w uprząż paska. Pacjentka rzucała się na boki, wyginała stawy, zaciskała i prostowała palce. W końcu Pani Kłątwie się udało. Felczer doskoczył z drugiej strony i razem chwycili jej nogi. Dziewczyna, wijąc się w konwulsjach, już dawno zrzuciła drewniane chodaki. Po chwili stopy również udało im się unieruchomić.

Felczer szybko zaczął przeszukiwać szafki. Pani Kłątwa przeraziła się widząc, w jak nienaturalny sposób Alicja wygina głowę do tyłu... Z jej ust wystawał czarny język, oczy świeciły białkami. Z potylicy ciekła krew. Z gardła wydobywał się jednostajny jęk, cichy, niepokojący, nienależący do dziewczyny.

– Już mam, już mam! – Zasapany mężczyzna podbiegł do stołu i próbował wsunąć biały materiał pod głowę Alicji, żeby nie wyrządziła sobie większych szkód. Jej głowa była jednak zbyt mocno przyciśnięta do blatu.

Do Pani Kłątwy zaczęło docierać, że jeżeli chcą uratować dziewczynę, muszą działać szybko. Tylko jak?!

Alicja leżała na stole w nienaturalnej pozycji. Próbowała wyrwać ręce i nogi z pasów, które ją krępowały. W ciszy, jaka nastąpiła, dało się słyszeć jedynie odgłos napinanej skóry i cichy jęk opętanej.

Pani Kłątwa czuła się bezradna. Nie wiedziała, jak jej pomóc. Tylko patrzyła, jak głowa dziewczyny coraz bardziej odchyła się do tyłu, milimetr za milimetrem. I wtedy wpadła na pewien pomysł. Esencja!

Sięgała dłonią, bardzo powoli, po fiolkę dziewczyny. Felczer, cały spocony na twarzy, obserwował to z przerażeniem. Kiedy już miała fiolkę w zasięgu ręki, dotknęła jej kryształowej powierzchni opuszką palca...

– NIEEEEEEE!!! – demoniczny głos, który nie należał do Alicji, zawył, a potem szarpnął głowę dziewczyny do góry i z całej siły uderzył jej czaszką o blat stołu, roztrzaskując ją. Chrupnęło, wymieszane z krwią strzępy mózgu spłynęły na podłogę, a ciało Alicji sflaczało.

Nim ktokolwiek zdołał zareagować, z jej ust wyleciał ciemny dym, zakręcił w powietrzu na wysokości kandelabra, a potem z całym impetem uderzył w nieprzygotowaną na atak Panią Kłątwę.

Upadła nieprzytomna.

## Rozdział VII

### Uczennica Śmierci

Szpital.

Długi, pusty korytarz. Z sufitu bije jaskrawozielone światło jarzeniówek.

Na środku korytarza stała dziewczyna, ubrana jedynie w koszulę nocną. Nie wiedziała, kim jest. Spojrzała na swoje dłonie – nie poznawała ich. Dotknęła twarzy – nie była pewna, czy należy do niej. Próbowала musnąć włosy, może one przypomniaby jej własną tożsamość. Włosów jednak nie było, tylko łysa czaszka.

Było mroźnie, jak w chłodni. Po skórze przebiegł dreszcz. Potarła dłońmi ramiona, żeby wykrzesać choć trochę ciepła. Nie pomogło. Z ust wydobył się obłoczek pary.

– Gdzie ja jestem? – spytała, a jej głos odbił się echem od ścian.

Rozejrzała się. Za sobą miała długi szpitalny korytarz wyłożony linoleum. Białe ściany, wysokie kredowe sufity i jarzeniówki. Po obu stronach pozamykane na klucz drzwi. Na ścianie wisiała tabliczka. Podeszła, aby przeczytać. Napis został wydrapany paznokciami. Zmrużyła oczy, litery były niewyraźne:

*Krąg piąty.*

– Krąg piąty? – spytała samą siebie i wtedy usłyszała chichot.

Rozejrzała się. Nic, tylko pusty, zimny korytarz. Poczowała swędzenie. Cała skóra zaczęła ją swędzieć, jakby w każdym możliwym miejscu ugryzły ją setki komarów. Zaczęła się drapać, nie pomogło. Było jeszcze gorzej. Drapała się i drapała, a swędzenie było coraz bardziej dokuczliwe. Drapanie stało się bardzo przyjemne. Zaczęła czerpać nieopisaną rozkosz z zadawania sobie bólu. Aż przymknęła oczy. Teraz nie chciała, żeby przestało swędzieć, chciała drapać się jeszcze bardziej, do krwi, do mięsa, do kości. To było takie przyjemne. Odczuwała niesamowite podniecenie.

Zdała sobie sprawę z tego, co robi. Otworzyła oczy i spojrzała na swoje ręce. Krzyknęła. W trupiozielonym świetle jarzeniówek jej ręce, nogi, plecy i głowa były pokryte krwawiącymi, rozdrapanymi ranami. Znowu usłyszała chichot, odwróciła się. Na końcu korytarza mignął cień. Oko, to chce jej oka. Chce dotknąć, włożyć palec, pazur, wydłubać, wyssać, okaleczyć. I kaleczyć bez końca. Cofnęła się o krok, pod drzwi. Usłyszała jęk. Szarpnęła klamką, ale drzwi wciąż były zamknięte. Za nimi słyszała błagalny głos ofiary:

– Nie, zostaw mnie, już wszystko wam powiedziałem... –

Potem krzyk. Odskoczyła. Usłyszała głos oprawcy, który zadawał pytania. Dobięły ją odgłosy bicia, łamania nosa, żeber, skrzeczenia elektryczności z

końcówek kabli.

Ruszyła przed siebie.

– Wydostać się, muszę się stąd wydostać – powtarzała. A za każdym razem gdy mijała kolejne zamknięte drzwi, słyszała jęki katowanych ludzi i bezduszne pytania oprawców. Albo sadystyczny śmiech.

Za tymi drzwiami działy się straszne rzeczy. Miała przed oczami makabryczne wizje wychudzonych ludzi, krojonych kończyn, łamanych kości i mięsa szarpanego przez wygłodniałe psy. Widziała oprawców w eleganckich uniformach, w turbanach i z charakterystyczną kwadratową szczęką. Wszyscy, choć różni, byli tacy sami, mieli te same puste spojrzenia, zadawali ból swoim więźniom, katowali ich bezlitośnie, przerabiali ludzkie ciało na mączkę i mydło.

W pewnym momencie pojęła, że to wcale nie był szpital. To była rzeźnia! Biegła przed siebie i wiedziała, że coś za nią podąża. Coś złego schodziło z wyższych poziomów rzeźni, żeby ją złapać i zamknąć w jednym z pokoi. A potem robić przerażające rzeczy. Wyczuwała Jego obecność.

Nadchodził Mistrz Ceremonii.

\*

Przed sobą miała korytarz, który zdawał się nie kończyć. Nagle gdzieś w oddali dostrzegła migającą jarzeniówkę. Tam. Właśnie tam musiała pójść.

Biegła po zimnej posadzce, słyszała klapnięcia swoich bosych stóp. *Klap. Klap. Klap.* Zbliżała się do pulsującego światła.

*Klap. Klap. Klap. Klap.* Kimkolwiek była, to nie miało teraz znaczenia. Ważne było miejsce, do którego się zbliżała, a raczej migający pas ciemności, który wyłaniał się na ułamek sekundy, kiedy żarówka gasła.

*Klap. Klap. Klap. Klap.* Nie próbowała sobie niczego przypominać, niczego rozumieć. Teraz liczył się instynkt. Wiedziała, że miejsce, w którym się znajduje, jest złe i pragnie ją pochłonać.

Była już niemal przy samym pasie znikającej i pojawiającej się ciemności, jeszcze tylko ze trzy metry.

*Klap, klap...* Zatrzymała się...

Jarzeniówka przestała migać, po prostu zgasła. A przed łysą dziewczyną w nocnej koszuli, o skórze pokrytej rozdrapanymi ranami, nastąpiła eksplozja ciemności. Mrok runął nagle, tworząc swój własny korytarz, by zaraz zacząć uwypuklać się, wklęsać, zarysowywać i wchłaniać. Przed dziewczyną pojawiło się przejście. Schody w dół. Tam, gdzie wcześniej był korytarz, teraz nie było niczego. Tylko czarne, połyskujące zwierciadło.

W odbiciu widziała tylko siebie – była większa, niż jej się wydawało. I cała płonęła. Z wyjątkiem małej czarnej plamki, która siedziała w jej głowie. I przemieszczała się.

Krzyk!

Dziewczęcy krzyk wyrwał ją z obserwacji. Dochodził z dołu, spod schodów. Bez zastanowienia zeszła na w dół, w ciemność.

\*

Schody nie były długie. Prowadziły piętro niżej. Kiedy tylko dotknęła stopami ciepłej posadzki, rozpląnęły się. Poczuła uderzenie gorącego powietrza.

Dziewczyna znowu znalazła się na korytarzu, który tym razem cały utkany był z różnych odcieni ciemności. Widziała kontury drzwi, jarzeniówek rzucających światło przenicowane na mrok. Zobaczyła coś jeszcze. I od razu poderwała się do biegu.

– Zostawcie ją! – krzyknęła. Wiedziała, że musi uratować ofiarę, inaczej obie zostaną tu na zawsze.

Na końcu korytarza dostrzegła otwarte drzwi. Alicję, która ledwo jarzyła się jasnym płomieniem, coś brutalnie wciągało do pomieszczenia, z którego wnętrza bił ogień i dobiegało ciche zawodzenie.

– Mówiłam: puśćcie ją! – Już prawie tam dobiegła, była kilka metrów od dziewczyny.

– Aaaa! – krzyczała tamta. – Zostawcie mnie! To parzy! Nie wrywajcie mi włosów! Ratunkuuu! Ouu... – Jedna z istot, które wciągały dziewczynę do środka, uderzyła ją w brzuch, mocno.

Była już o krok od nieszczęśliwej, kiedy zobaczyła, z czym ma do czynienia. Oprawcami były trzy garbate istoty. Miały czerwoną skórę, sześciopalczaste szpony, pomarszczone twarze, poszarpane płócienne wory zamiast ubrań, a ciała poprzebijane ćwiekami. Z ich ran sączyła się krew i ropa. I te oczy. Czarne, szkliste oczy, oczy morderców świadomych cierpienia, jakie zadają swojej ofierze.

Demony.

Kiedy dobiegła do wciąganej w ogień Alicji, istoty poluzowały uścisk i ofiara wypadła z powrotem na korytarz. Demony szybko przeskoczyły nad nią i stanęły między swoją ofiarą a łysą dziewczyną.

– Ona jest nasza – przemówił chrapliwym głosem demon z ryjem świni.

– Nie.

– Została nam poświęcona – wtrącił drugi. Miał wydrapany na czole krwawiący, obrócony pentagram. – Została nam oddana. A ty wkrótce do niej dołączysz. Mistrz Ceremonii schodzi już ze swoimi narzędziami. Jest bardzo blisko.

– Zostawcie ją.

-Największy z nich zaśmiał się gardłowo. Miał łeb kozła.

– A kim ty jesteś, żeby nam rozkazywać? – parsknął. – My przenikamy światy, pożeramy je i jesteśmy wiecznie głodni. Ona – wskazał długim palcem skuloną pod ścianą Alicję – ona jest nasza. Oddał nam ją starzec, złożył w ofierze. I nic nas nie powstrzyma. Nasze imię to...

– Dość – przerwała im. Nie wiedziała, skąd w niej tyle stanowczości i odwagi. Może czuła, że to miejsce jeszcze nie jest w stanie jej wchłonąć. – Idę po nią.

Zrobiła krok do przodu. Nie odsunęli się. Zrobiła następny. W tym momencie demon z pentagramem rzucił się na nią. Skoczył z szeroko rozczapierzonymi szponami, wyjąc i...odbił się od niewidzialnej bariery. Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na niego. Leżał na ziemi, zwijając się z bólu. Połowę ciała miał zwęgloną.

Zrobiła następny krok. Dwaj pozostali brutalnie szarpnęli ofiarę, wbijając szpony w jej ramiona.

– Nie podchodź – zagroził kozłogłowy. – Jeszcze jeden krok i ją rozerwiemy.

Zatrzymała się.

Demon ze świńskim ryjem zakwilił z zadowolenia.

Po lewej znajdowały się otwarte drzwi do pomieszczenia ogarniętego płomieniami. Nie spojrzała tam, ale czuła falę gorąca. Wiedziała, że jest tam ktoś jeszcze, ktoś potężniejszy i od tych demonów, i od Mistrza Ceremonii. Obserwował.

– Zostawcie ją – powiedziała.

– Niby czemu? – spytał ten ze świńskim ryjem.

– W zamian weźcie mnie – zaproponowała. – Jesteście głodni, a ona na nic się wam nie przyda, nie najecie się. Spójrzcie tylko – ledwo skrzy się w ciemności. Ja mam w sobie dużo ognia. – Zrobiła krok w stronę demonów, bardzo powoli.

– Stój! – wrzasnął kozłogłowy. – Stój albo...

Podwinęła rękaw nocnej koszuli i wyciągnęła w ich stronę dłoń nadgarstkiem do góry.

– Spróbujcie. Oddam wam siebie w zamian za nią. – Podsunęła nadgarstek w stronę kozła, ale ten się odwrócił. Za to demon ze świńskim ryjem oblizał się. Skierowała rękę w jego stronę. Zdezorientowana dziewczyna, którą trzymały istoty, oddychała bardzo szybko, wodząc niespokojnym wzrokiem za ręką łysej przybyszki. Alicja była naga, okaleczona i brudna. – Co powiesz, świński ryju? Chcesz spróbować?

Demon znów się oblizał. Na moment jego żądze wzięły nad nim górę, zbliżył się do jej nadgarstka, żeby go powąchać. Wykorzystała to. Z całej siły uderzyła demona w świński ryj. Poczowała palone mięso. Demon zakwilił i wywrócił się. Nim kozłogłowy zdołał zareagować, chwyciła go wolną ręką. Zawył, ale nie

puścił. Chwyliła go więc oburącz. Czuli, jak jej dotyk wypala mu skórę. W końcu puściła. W tej samej chwili odepchnęła Alicję pod ścianę i stanęła między nią a napastnikami.

Demon z pentagramem wciąż leżał skulony pod ścianą, a ten ze świńskim ryjem trzymał się za nos. Jedyne kozłogłowy dyszał wściekle, stojąc na szeroko rozstawionych nogach.

– Nie zbliżaj się – pogroziła. – Nie dostaniecie jej.

Kozioł zawył. Ale nie ruszył się.

– Powiedziałam: odejdźcie, albo sprawię wam jeszcze większy ból. – Zrobiła pół kroku w stronę demona, odskoczył.

Kozłogłowy zmierzył ją nienawistnym spojrzeniem, a potem zawył przeraźliwie, a w jego wyciu słyszała wściekłość, ale i gorzki porażki.

– Dobrze. – Demon uśmiechnął się paskudnie. – Weź ją sobie. I poczekaj na Mistrza Ceremonii, jest tuż, tuż, on się wami zajmie! – Po czym warknął na swoich towarzyszy, którzy, dysząc i kwiląc, dobiegli do drzwi. Ten ze świńskim ryjem wskoczył do środka, naznaczony pentagramem wgramolił się za drzwi, a kozłogłowy kopnął go w zad i sam wskoczył do płonącego pomieszczenia. Drzwi zatrzasnęły się za nimi, korytarz zatonął w półmroku.

– Dziękuję ci – wychrypiała Alicja i osunęła się na podłogę.

Jej blond włosy były zmierzwiłone, demony wyszarpały całe ich pukle.

– Hej, nie odchodź. – Potrząsnęła nią łysa dziewczyna w nocnej koszuli. – Musimy opuścić to miejsce i iść dalej. Gdzieś, gdzie jest bezpiecznie.

Z góry niósł się odgłos ciężkich kroków. I ocierania ostrego noża o ścianę. Nadchodził. Musiały się śpieszyć.

Alicja otworzyła piękne błękitne oczy i spojrzała na swoją wybawicielkę.

– Dziękuję ci, teraz mogę iść dalej – wyszeptwała. – I zabiorę cię ze sobą, nie ma innej drogi. Ale nie tam, gdzie ja idę. Trafisz do innego świata. Chwyć mnie za rękę.

Chwyliła. Jej dłoń była zimna, zdawała się tak eteryczna, że łysa dziewczyna ledwie ją czuła. Dostrzegła ruch na końcu korytarza. Mistrz Ceremonii. Stał w oddali, w dłoni dzierżył nóż utkany z mroku.

– Pora na nas – wyjąkała okaleczona Alicja. – Zabieram cię, a ja... – wyszeptwała z trudem, nim wypuściła ostatni oddech. – Ja idę tam, gdzie mi dobrze. Do królestwa Pani Zamieci.

Na końcu korytarza obie dziewczyny zmieniły się w świetlisty pył, który zaczął wirować. Rozległ się odgłos dzwoneczków. Przez ułamek wieczności świetlisty wirujący kurz wyglądał jak obracająca się galaktyka, jak jaśniejąca Droga Mleczna na tle otchłani Kosmosu. A potem poleciał spiralą w górę i zniknął.

Mistrz Ceremonii splunął.



\*

– Nie odchodź! Błagam cię córko, nie odchodź! Niech pani coś zrobi!

Szloch kogoś odległego, a jednak bliskiego.

– Proszę stąd wyjść, panujemy nad sytuacją. – Znajomy kobiecy głos, pozornie opanowany, ale pobrzmiwa w nim niepewność i strach. – Niech ją ktoś stąd zabierze – cichy syk.

Coś wpływa do żył.

– Tracimy ją, jeżeli wkrótce się nie wybudzi, nie wybudzi się wcale!

Płynne znieczulenie, płynny sen, płynna cisza, płynna ciemność. Ciemność.  
Cisza.

\*

Cisza schodzi na drugi plan na rzecz odległych szmerów.

– Jak to znaleźliście ją na korytarzu?! – Wzburzony męski głos. – Przecież mówiliście, że nie będzie chodzić!

– Proszę się uspokoić – ten sam kobiecy głos.

– Jak mam się uspokoić?! To moja córka...

– Naprawdę nie wiemy, jak to się stało. Jej stan jest niestabilny, w dowolnej chwili może... To znaczy robimy, co możemy... Borstwurlghurghluuum... – Dźwięki zaczęły rozbijać się, rozchodzić, słowa rozpadać.

Znowu oddalenie, znowu szarość, znowu cisza, znowu ciemność.

\*

Leżała na czymś miękkim i bardzo wygodnym. Wciągnęła powietrze, rozpoznała przyjemną i domową woń lawendy, kawy, cynamonu oraz cytrusów. Jednocześnie poczuła, że leży pod puszystą kołdrą, a na jej piersi coś się wyleguje. Było to coś ciepłego, co cicho mruczało.

Budziła się z długiego snu. Nie do końca pamiętała, o czym śniła. Ostatnim, co sobie przypominała, była pracownia felczera. Reszta się rozmazała.

Otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Leżała w łóżu z baldachimem z granatowego kaszmiru, nad jej głową mieniły się wyszywane gwiazdy i konstelacje, tworzące mityczne postacie. Była w swojej kwaterze u Petra Skrzyni.

Podniosła głowę. Na jej piersi leżał Chowaniec. Spał zwinięty w kulkę. Ciekawe, pomyślała odzyskując świadomość, na co dzień takie bezczelne stworzenie, a jak tylko zaśnie, mam ochotę go pogłaskać.

– Hej, Kocie – szepnęła, dźgając go delikatnie palcem. Chowaniec machnął

ogonem. – To ja, Kłątwa, obudź się.

Kot podniósł głowę i rozejrzył się nieprzytomnie. Potem potężnie ziewnął, rozprostował łapy, odwrócił się i ponownie zasnął.

– Co za leń...

– Ciiicho... – przemówiły do niej futrzaste plecy. – Daj mi jeszcze chwilę. Miałem ciężką noc.

– No dobra – zgodziła się. – Ja w tym czasie wezmę kąpiel i zamówię coś do jedzenia. – Odkryła kołdrę tak ostrożnie, jak mogła, i wyskoczyła z łóżka.

Kot tymczasem mruknął coś niezrozumiałego i zakrył głowę łapą.

\*

Siedziała przy okrągłym stole z ciemnego drewna. W prawej dłoni trzymała filiżankę kawy i patrzyła przez wielkie okna na Rynek Główny. Niebo było stalowe, mroźne, zaczął prószyć pierwszy śnieg, w dole tłumy ludzi płynęły w różnych kierunkach. Na straganach oprócz normalnych towarów pojawiły się wieńce wykonane z sosny i ostrokrzewu, czerwone pierniki, wielkie gliniane dzbany grzanego wina, w którym pływały jabłka i pomarańcze poprzątkane goździkami; drewniane koniki na biegunach, dziadki do orzechów o wielkich zębach, piękne baletnice tańczące po podniesieniu wieka pozytywki, niezliczone regimenty cynowych żołnierzyków, drewniane strzelby z korkiem przywiązany sznurkiem do lufy oraz cała masa różnokolorowych zabawek i prezentów. Zbliżyły się święta. Pani Kłątwa nie przypominała sobie jeszcze, jakie, ale wiedziała, że się zbliżają.

W oddali dostrzegła studnię. Ludzie mijali ją, nieświadomi tego, co kryje się kilkadziesiąt metrów pod ziemią.

– Dziękuję, że o mnie pomyślałaś. – Kot wskoczył na stół i zaczął pić z miski mleko, które dziewczyna mu przygotowała.

– Nie ma za co, śpiochu – odparła, wciąż patrząc na coraz gęściej sypiące płatki śniegu. Niektóre osiadły na szybie i roztopiały się powoli. – A teraz opowiedz mi, co się stało wczoraj u felczera.

– Wczoraj? – mruknął, chłepcząc mleko.

– A nie? – zdziwiła się.

– E... – Pokręcił głową i podniósł pyszczek, cały biały. – Spałaś przez dwa dni.

– Co?

Kot opróżnił miskę, oblizał się i usiadł na tylnych łapach. – Spałaś dwa dni.

– Nie wiedziałam, że aż tyle...

– Ale spokojnie, miałaś dobrą opiekę. – Puścił jej oko. – Mogę mówić dalej? – Kiwnęła głową. – No więc generalnie mieliśmy do czynienia z opętaniem.

– Tak, to już wiem.

– Kiedy dziewczyna się zabiła, z jej ust wyleciał demon, który zaatakował ciebie.

– Demony – poprawiła.

– Słucham?

– Trzy demony – wyjaśniła. – Chyba pomogłam jej się od nich uwolnić – dodała bez przekonania, zastanawiając się, czy to był sen, czy to wszystko działo się naprawdę. Na wspomnienie Mistrza Ceremonii dreszcz przeszedł jej po plecach.

– Jestem pod wrażeniem – mruknął Kot. – Ale chyba nie chcę znać szczegółów. Dla mnie Myszy są wystarczająco przerażające, nie chcę słuchać o żadnych demonach. Lubię spać spokojnie. – Kiwnęła głową. – Więc kiedy zaatakowały cię te istoty, zemdląłeś. Felczer powiedział, że nie jest w stanie nic zrobić, że teraz wszystko zależy od ciebie. Wezwałem Dale’a, pomógł mi cię przynieść tutaj i...

– Dale?

– Tak. Głucha jesteś? Przecież mówiłem, że miałaś dobrą opiekę. Siedział przy tobie przez cały czas. W nocy musiał wyjechać, ale obiecał, że wróci skoro świt. Dziwię się, że jeszcze go nie ma... – powiedział do siebie Kot. – W każdym razie to podejrzany typ i uważałbym na niego. Ludzie mówią różne rzeczy – ściszył głos. – Podobno potrafi poruszać się pośród mgieł. A wiesz, co to znaczy?

– Nie. – Pokręciła głową.

– Ja też nie – wyznał. – Ale nie podoba mi się to.

Dale, pomyślała, coś w sobie kryje, jakiś niepokojący sekret. Może i jest niebezpieczny. Skąd ona ma to wiedzieć? Musi zdać się na instynkt. Z drugiej strony było w nim coś pociągającego, co sprawiało, że...

– No dobrze, a co z Alicją? – zmieniła temat, czując, że zaraz się zarumieni. W brzuchu poczuła przyjemne ciepło.

– Poinformowałam macochę i jej „kruszynek” o śmierci dziewczyny, ale jakoś się nie przejęły. Powiedziałbym, że wręcz spadł im z ramion wielki ciężar – mruknął Chowaniec, a po chwili dodał: – Ale... widzisz, z nią było coś nie tak.

– Była opętana?

– To też... Chodzi o to, co wyszło z jej głowy. Ja wiem, że jedliśmy śniadanie – dodał szybko. – Ale skoro jesteś Panią Kłątwą, to musisz wiedzieć. Otóż kiedy ta nieszczęśniczka rozbiła sobie czaszkę o blat stołu, z jej głowy wyleciał ten... no... mózg. Ale nie był normalny. Przypominał wysuszony na wiór czarny orzech włoski. A w jego wnętrzu było coś jeszcze... – Kot przełknął ślinę. – Drażnył go robak, duża biała larwa.

Pani Kłątwa zmrużyła oczy.

– *I tak jest zepsuta* – powiedziała do siebie.

– Słucham?  
– Te słowa wypowiedział stwór, którego spotkałam w kanałach pod Aerie.  
– Jaki stwór? – Kot nie rozumiał.  
– No więc... – Chciała mu wyjaśnić, ale w tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i stanął w nich olbrzym.  
– Dale! – zawołała i podbiegła, by rzucić mu się na szyję. W ostatniej chwili wyhamowała. – Chciałam ci podziękować...  
Nie dokończyła.  
Wielki mężczyzna poderwał ją z ziemi, przytulił. Nie stawiała oporu.  
– Też się cieszę, że żyjesz – powiedział.  
Kiedy odstawił ją na podłogę i spojrzał jej w oczy, Kot, który nagle znalazł się obok nich, chrząknął.  
– Tak. Skoro już wszyscy są cali i zdrowi, myślę, że możemy wyruszać.  
– Dokąd? – spytała Pani Kłątwa, zmieszana. Czują, że na jej policzkach pojawił się rumieniec.  
– Na pogrzeb córki Patrycjusza. Mamy zaproszenie.

\*

Kasztanowy kuc zatrzymał się przed bramami cmentarza. Na koźle siedział zakapturzony woźnica, który w opończy w kolorze mchu wyglądał jak wielki, posępny kurhan; obok niego siedziała piękna, tajemnicza dziewczyna. Miała na sobie czarne buty sięgające ud, czarne skórzane spodnie do jazdy konnej, fioletowy gorset wiązany na plecach i długi, zarzucony na ramiona płaszcz w kolorze mieniącego się opalu. Złote włosy uczesane były w kok, skórę pokrywał biały puder, a usta karminowa pomadka. W wycięciu dekoltu wisiał flakonik ze złotą Esencją. Jaśniał na tle stalowego nieba.

Oboje milczeli przez całą drogę na cmentarz.

Między nimi siedział Kot, czarny jak noc. Tylko oczy świeciły mu się ze złośliwej radości. Zrozumiał, co zaczynało łączyć tych dwoje i nie zamierzał zostawić tego ot tak. Na razie również milczał, napawał się niezręcznym napięciem, które wisiało w powietrzu. Kiedy się zatrzymali, zeskoczył z kozła i wypalił:

– Chodźcie za mną, gołąbeczki. – I szybko odwrócił się, unikając piorunującego spojrzenia Pani Kłątwy. Dale nic nie odpowiedział. Poczekał, aż dziewczyna zejdzie z wozu i pojechał odstawić go w mniej ruchliwe miejsce.

– Dołączę do was za chwilę – powiedział i trzasnął lejcami. Kuc otrząsnął sierść z pojedynczych płatków śniegu i ruszył, dwukółka zaskrzypiała.

– No co? – Kot wzruszył ramionami, kiedy wóz zniknął za zakrętem. – Może przesadziłem z tymi gołąbkami. W końcu Dale wygląda jak wyjątkowo spasiony

gołąb albo...

– Daruj sobie – ucięła. – I prowadź na miejsce.

– Tak jest, moja śliczna. – Chowaniec uśmiechnął się złośliwie pod nosem i ruszył w stronę cmentarzyska.

Nekropolia znajdowała się na północnych obrzeżach miasta, w otoczeniu pól, małego borku sosnowego i nielicznych domostw. Nad zamarzniętymi grudami ziemi unosiła się cienka mgiełka. Była to okolica, której ludzie unikali. Cmentarz budził niepokój. I ciekawość.

Wśród ludzi, szczególnie młodych mężczyzn, krążyła opowieść o tym, że nocą po cmentarzu przechadza się Uczennica Śmierci, a jej piękno nie jest z tego świata. Wielu młodzieńców, znudzonych zwykłymi dziewczkami, próbowało zaspokoić swoją ciekawość i po zmroku przeskakiwało przez wysokie mury, porośnięte od niepamiętnych czasów bluszczem. Nekropolia była tak stara jak korytarze pod miastem, albo i starsza. Nazajutrz dozorca znajdował zimne trupy. Żaden z martwych młodzieńców nie wyglądał, jakby tuż przed śmiercią został zaatakowany przez oprycha czy bestię. Nie wyglądali też na przerażonych czy zaskoczonych. Wszystkich łączyło jedno: wyglądali, jakby tuż przed śmiercią słuchali jakiejś opowieści, leżąc wygodnie, podpierając głowę o nagrobek. Przystanęli na chwilę, odpoczęli, a potem odeszli na zawsze.

Jedni mówili, że Uczennica Śmierci naprawdę krążyła nocą między grobami i rzucała zgubny urok na młodzieńców, doprowadzając ich do samobójstwa. Według innych na cmentarzysku żerował wampir.

Jedno było pewne: cokolwiek krążyło nocami po nekropolii, sprawiało, że nikt o zdrowych zmysłach nie zapuszczał się tutaj po zmroku.

Kot przypominał sobie te wszystkie historie, przechodząc przez uchylone skrzydła stalowej bramy o ostrych końcach. Tlusty kruk przyglądał mu się z jej szczytu, siedząc jak strażnik na czatach. Zakrakał złowieszczo, gdy zwierzak przekroczył progi nekropolii. Kot spojrzał w górę i mruknął:

– Przeklęte ptaszysko.

– Mówiłeś coś?

– Nie, nic – odparł. Uznał, że nie ma potrzeby niepokoić Kłątwy cmentarnymi opowieściami. – Podążaj za mną, uroczystość odbędzie się przy grobowcu rodu Patrycjusza.

Dziewczyna szła za Kotem i w zdumieniu rozglądała się po nekropolii. To było całe miasto grobów. Kiedy weszli na wzniesienie, aż zaparło jej dech w piersi. Cmentarz był ogromny. Widziała główną drogę zbudowaną z kocich łbów, która prowadziła w kierunku złowieszczego serca nekropolii. W oddali stali odziani na czarno żałobnicy. Widziała odchodzące od głównej alei dróżki, które wiły się i rozgałęziały we wszystkich kierunkach, a potem jeszcze dzieliły na małe ścieżki i ścieżynki, prowadzące do najbardziej odległych i najstarszych części cmentarza.

Widziała nowe nagrobki i posągi pogrążonych w żałobie ludzi w kapturach, wykonane z jasnego granitu. Mieściły się one bliżej serca nekropolii. Widziała stare, zaniedbane groby, na których czarnych powierzchniach wyryto znaki w nieznanym już języku. Widziała spowite mgłą kurhany usypane na wzgórzach, które porastała trawa i mech. W oddali, w zaniedbanej części cmentarza, której zapewne od pokoleń nikt już nie odwiedzał, widziała bardzo stare grobowce, które z pewnością były obiektem eksploracji poszukiwaczy skarbów i które pochowały niejednego zuchwałego głupca wśród tajemnic, jakie skrywały. Pani Kłątwa czuła, że w głębiach tych pradawnych grobowisk czają się tajemnice, których lepiej nie wygrzebywać. Widziała równy płaskowyż cmentarza, cały pokryty krótko ściętą, soczyscie zieloną trawą, w którą wbito w równych odstępach białe paliki, symbolizujące zapewne zmarłych gryfitów. Na wzgórzu, na którego zboczu było pełno dziecięcych grobów, widziała brzozowy zagajnik. Widziała wreszcie rozstawione wzdłuż głównej drogi kapliczki, w których płonął ogień – prowadziły do dolinki, gdzie miała odbyć się uroczystość pogrzebowa córki Patrycjusza. Migotliwe światło płomieni, które wydobywało się z wnętrza kamiennych kapliczek, zamiast dodawać otuchy sprawiało, że dziewczyna jeszcze bardziej odczuwała posępny nastrój tego miejsca, szczególnie że ze światłem kapliczek kontrastowały stalowo-granatowe kłęby chmur, z których w każdym momencie mogło zacząć sypać śniegiem. Między grobami unosiła się szara mgiełka.

Zeszli ze wzgórza drogą z kocich łbów, mijając rzędy kapliczek. Szli wolno, co pewien czas mijali ich odziani na czarno żałobnicy. Było ich wielu, wszyscy zmierzali na pogrzeb Lilki. Z liczby gości można było wnioskować, że rodzina Patrycjusza naprawdę wiele znaczyła w mieście.

W pewnym momencie ktoś potrącił Panią Kłątwe i wyrwał ją z zamyślenia. To był morloq. Minał ją, idąc szybko, a jego postrzępiony stalowoszary habit falował w powietrzu z każdym krokiem. W ręce dzierżył długi, sękaty kij, na którego końcu znajdowała się duża bryła przezroczystego kwarcu, pełna rtęciowo-srebrnej Esencji. Zaraz potem minęli ją kolejni dwaj morloqowie.

– Co oni tu robią? – szepnęła do Chowańca.

– Chronią ród Patrycjusza – wyjaśnił, nie odwracając głowy. – Ten człowiek ma mnóstwo wrogów. Nie tylko wśród żywych.

\*

Ceremonia pogrzebowa miała odbyć się przy grobowcu rodu Patrycjuszy. Grobowiec znajdował się w dolince, której zbocza porośnięte były poskręcanyimi konarami bez liści i kwiatami o liliowych płatkach, kwitnącymi mimo panującego mrozu. Okolica zdawała się pogrążona we śnie: bezlistne drzewa o gałęziach rozczapierzonych jak powykręcane artretyzmem palce, dywan białych kwiatów i

mgła.

Posępny grobowiec wyglądał jak fragment pozbawionego witraży prezbiterium, które dwukrotnie przewyższało największe drzewa. Pośrodku mieściły się trzy strzeliste łuki, otoczone z obu stron siedmiofilarowymi skrzydłami, rozchodzącymi się pod kątem ostrym niczym otwarte ramiona nieboszczyka. Na samym dole tej konstrukcji znajdowało się wejście do masywnej, prostokątnej krypty z wielkich kamiennych bloków. Przed nią płonęły dwie pochodnie. Cały grobowiec musiał być bardzo stary. Budził jednocześnie szacunek i grozę.

Wokół zgromadził się krąg ludzi, utworzony przez najbliższą rodzinę Patrycjusza. Mężczyźni byli wysocy, posępnii, dostojni, a kobiety niższe, korpulentne. Wszyscy odziani na czarno. Przed wejściem do grobowca stał Patrycjusz i jego żona oraz trzy starsze córki, które jako jedyne były przyodziane w stroje w innym kolorze niż czerń – miały na sobie szkarłatne płaszcze z głębokimi kapturami, które zakrywały im twarze. Stały ze spuszczoneymi głowami, a w wyprostowanych rękach trzymały zapalone latarnie. Przed nimi stała trumna, ale nie było w niej Lilki. Lilka została zjedzona. Leżał tam jedynie podarty szkarłatny płaszcz, zakrywający zapewne to, co zostało z jej ciała. Na wysokości piersi znajdował się flakonik z ledwo migającą Esencją, a w nogach... W nogach zaś – siedem głów karłów.

Pani Klątwa spojrzała na Kota.

– Nie wnikaj – odradził. – To już nie twoja sprawa. Złóżmy kondolencje i miejmy to za sobą. – I nie czekając na jej zgodę, ruszył w stronę Patrycjusza i jego żony.

Pani Klątwa podążyła za nim, lekko wybita z rytmu. Nie uprzedził jej, że od razu będą musieli podejść do tych ludzi. Do tych *groźnych* ludzi.

Grobowiec otaczały jeszcze trzy inne kręgi żałobników – dalsza rodzina Patrycjusza, jego kontrahenci, władze miejskie, prawnicy, urzędnicy, kapłani, morłogowie i wiele innych osób, których statusu Pani Klątwa nie poznała ze względu na to, że większość miała na sobie kaptury, które skrywały ich twarze i flakony z Esencją.

Z łatwością udało im się podejść do Patrycjusza i jego żony, wszyscy rozstępowali się przed nimi, szepcząc przy tym: *Pani Klątwa tu jest. To naprawdę Ona.*

Kiedy stanęli przed rodzicami Lilki, Kot przemówił:

– Najmocniej ubolewam nad tą tragedią i zdaję sobie sprawę, że od tej pory musicie dźwigać ból, który jest naprawdę ciężkim brzemieniem. – Ukłonił się. Trzymał przez chwilę łebek pochylony przy ziemi, ale nikt nawet na niego nie spojrzał. – Tak – mruknął do siebie – to ja już może pójdę... – Ustąpił miejsca dziewczynie i czmychnął w tłum.

Pani Kłątwa podeszła do Patrycjusza i jego żony, próbując nie patrzeć na głowy karłów. Nie chciała widzieć, w jakim były stanie, ale – przede wszystkim – nie chciała, żeby w tym momencie odezwał się wewnętrzny głos, który zdradzi jej, przez jakie wymyślne tortury nieszczęsne karły musiały przejść.

– Moje najszczerze kondolencje – powiedziała. Matce zadrżała dolna warga. Rzuciła jej spojrzenie, w którym było wszystko, co może przeżywać matka, będąca na pogrzebie własnego dziecka. Nie musiała nic mówić, Kłątwa doskonale wiedziała, że tamta czuła wdzięczność za pomoc w odnalezieniu ciała córki. Ale nie mogła nic powiedzieć, nie potrafiła. Głos uwiązał jej w gardle.

– Niesamowite – niespodziewanie odezwał się Patrycjusz, mówiąc swoim mocnym głosem i ani na moment nie odrywając wzroku od głów karłów. – Jak dużo satysfakcji jest w stanie dostarczyć widok martwych zabójców mojej córki. – Umilkł, a jego głos odbił się cichym, ponurym echem od ścian grobowca. – Mimo to wciąż czuję niedosyt. Czuję, że mogłem zrobić więcej, zadać im więcej cierpienia, być bardziej wyrafinowanym i okrutnym. Tylko okrucieństwo jest w stanie zaspokoić mój głód zemsty. – Spojrzał na dziewczynę, a gdzieś w głębi jego opanowanych oczu wirowała otchłań, która domagała się zapełnienia krwią.

– Dziękuję, Pani Kłątwo. – Skinął głową i zamilkł.

Dziewczyna ukloniła się i wycofała. Kiedy opuściła już pierwszy krąg i przechodziła przez tłum żałobników, zauważyła, że na zboczu stoją Dale i Kot. Obok nich na tle stalowego nieba wił się bezlistny konar, czarny jak żałobne stroje.

– Nie składasz im kondolencji – bardziej stwierdziła niż spytała.

– Nie – odpowiedział krótko olbrzym. – Przyszedłem tu jako towarzysz. Nie byłem zaproszony.

– Ach – westchnęła i zamilkła.

– I dla ochrony – dodał.

– Ochrony przed kim?

– Oprychy Konsyliarza śledzą cię. I nie tylko oni. Jest jeszcze pewna kobieta, która poluje na Panię Kłątwy. Nazywa się...

– Cicho – przerwał Kot. – Potem sobie poszepeczecie. Dziewczyno, stań koło nas i obserwuj. Zaraz zacznie się ceremonia. I kto wie, może Ją zobaczysz.

– Ją?

– Cii, zaczyna się – uciął, wskazując łebkiem w stronę grobowca.

Zamilkła i obserwowała.

Zza obu skrzydeł strzelistego sarkofagu wyszło po trzech morloqów, wznoszących wysoko sękaty kije, na których końcach mieniła się złotem Esencja. Stanęli wokół trumny Lilki. Po chwili dołączył do nich kapłan. Był nim sam Septimus. Wyszedł z wnętrza krypty, wszedł po kamiennych schodach i stanął na płycie sarkofagu. Odziany był w czarne, lśniące szaty. Górował nad wszystkimi jak aktor na deskach teatru i podobnie jak aktor zaczął swój występ przed liczną



publicznością. Uniósł ręce i przemówił donośnie.

– Zgromadziliśmy się tutaj wszyscy, aby odprawić Liliannę w dalszą drogę.  
– Z każdym wypowiedzianym słowem drgały jego liczne podbródki. – Każdy z nas wie, w jak tragicznych okolicznościach odeszło to biedne dziecko, ale nie trwóście się! Jej śmierć została należycie pomszczona przez honorowego ojca. – Wskazał na głowy siedmiu krasnali. – Dzisiaj padło też wiele słów ubolewania, żałoby, wyrazów współczucia z ust was wszystkich. Każdy z nas bowiem nosi teraz na sercu cień, który rzuciło to straszne wydarzenie. Jednak dość już o tym! – Uniósł ręce wyżej, w jeszcze większej ekstazie. – Mamy moc rozjaśnienia cienia. Mamy moc sprawienia, by ból i smutek, który nas dotknął, przeminął. Mamy moc odprawienia Lilianny w dalszą drogę i sprawienia, by nie tkwiła tu już z nami jako Stygnąca, a poszła dalej w nieznaną. Sama nie może tego dokonać. – Zrobił przerwę na wzięcie głębokiego oddechu, a wszyscy zgromadzeni przyglądali mu się w napięciu. Czekali na tę chwilę. – Wzywam Przewodniczkę, która zaprowadzi Liliannę w dalszą podróż! Wzywam Panią Śmierć i Jej Uczennicę! – Opuścił głowę i zamilkł.

Z początku nic się nie działo. Zapanowała całkowita, grobowa wręcz cisza i atmosfera wyczekiwania. Pani Klątwa rozejrzała się po żałobnikach, wszyscy mieli spuszczone głowy, wszyscy czekali.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, na cmentarzu zrobiło się chłodniej. We wdychanym powietrzu poczuła mróz, jakby z każdym oddechem do płuc wpadały jej małe kryształki lodu. Poczowała też woń kadzidła i świec. Zrobiło się ciemniej, przygasły lampy, przygasła Esencja na sękatych kijach morloqów.

I wtedy zobaczyła Ją, a raczej Je.

Schodziły ze zbocza, milczące, bose wśród liliowych kwiatów, nad którymi unosiła się wilgotna mgiełka.

Wszystko wokół zatrzymało się, rozmazało. Tylko One były wyraźnie, prawdziwe, tylko Je Pani Klątwa widziała na pierwszym planie, inne obrazy przestały się liczyć.

Szły ze spuszczoneymi głowami: Śmierć i Jej Uczennica. Powoli schodziły ze zbocza, zbliżając się do trumny.

Śmierć miała na sobie czarną suknię, która połyskiwała z każdym krokiem. Ciągnął się za nią wytworny tren żałobnej sukni. Kaptur zakrywał jej prawie całą twarz. Klątwa widziała jedynie usta. Były to usta kobiety w jesieni wieku, pomalowane elegancko, acz niewyzywająco. Pani Klątwa widziała też białe policzki, przyróżowione pudrem. Dłonie Śmierci kryły się w rękawiczkach z czarnej skóry.

Za nią szła Uczennica. Piękna i uwodzicielska.

Uczennica wyglądała, jakby nie miała więcej niż dziewiętnaście lat. Ubrana była w krótką, czarną sukienkę, zakończoną w połowie uda koronką, do tego

czarne pończochy, niedługą pelerynkę z kapturem, opadającą do połowy pleców i spiętą srebrną broszą w kształcie róży, tuż nad głębokim wycięciem w dekolcie. Do połowy ust sięgała jej czarna woalka, nieco zakrywająca tajemnicze oczy nimfetki, które płonęły dwoma węgielkami pożądania. Obrazu dopełniały lekko wystające kości policzkowe i obfite, rozchylone usta, na których błyszczała pomadka w kolorze truskawki. Włosy miała przycięte krótko, nieco za uszy, a na głowie nosiła bardzo mały, staromodny kapelusz.

Pani Klątwe zdawało się, że widzi czarno-biały orszak zjaw, młodych mężczyzn o wyrzeźbionych, mieniących się od potu ciałach, orszak efebów, który podążał za Uczennicą. Potem zniknęli.

Śmierć nachyliła się nad ciałem Lilki, uniosła materiał, który okrywał trumnę i szepnęła coś zmarłej do ucha. Uczennica stała krok za nią, wodząc wzrokiem po żałobnikach, morłogach i Septimusicie.

Lilka, nagle cała i zdrowa, podniosła się, jakby zbudzona z długiego snu. Przeciągnęła się, ziewnęła i spojrzała na Śmierć. Zupełnie jakby nic złego jej się nie przytrafiło.

– Co się dzieje? – spytała.

– Na nas już pora – przemówiła łagodnie tamta. – Powstań i podążaj za nami w Dalszą Drogę.

Lilka wygramoliła się z trumny i zeskoczyła na posadzkę grobowca. Miała na sobie jedynie koszulę nocną. Nie ruszyła jednak za przewodniczką.

– Co się stało, szkrabie? – Uczennica przyklękła przy dziewczynce.

– Boję się. Boję się, że zabłądzę. Jak wtedy, w lesie.

– Nie bój się, głuptasie. – Uczennica pogłaskała ją po głowie jak starsza siostra. – Mam tutaj coś dla ciebie. – Wręczyła jej wianek z liliowych kwiatów. – Załóż na głowę, na pewno będzie ci ładnie.

Dziewczynka wydawała się lekko onieśmielona. Włożyła wianek.

– A teraz chodź, chwyć mnie za rękę. – Uczennica podniosła się i wyciągnęła dłoń w jej stronę. – No śmiało, nie możemy przecież stać tutaj wiecznie.

Lilka bardzo powoli wyciągnęła małą dłoń i chwyciła rękę Uczennicy. Tamta odwzajemniła się uśmiechem.

Podeszła do nich Śmierć, obie wzięły ją za rękę.

Potem wszystkie trzy ruszyły w górę zbocza. Jak matka i dwie córki, które wybierają się na spacer do lasu. Szły w milczeniu, powoli. Pani Klątwa obserwowała je i nagle poczuła ciepło na wysokości splotu słonecznego. Ogarnęła ją radość. Dziewczynka nie bała się już, była prowadzona i wiedziała, że gdziekolwiek trafi, na pewno nie zabłądzi po drodze.

Na krótką chwilę Lilka odwróciła głowę w stronę Pani Klątwy. Spod blondwłosych loków, na których jaśniał wianek z liliowych kwiatków, uśmiechały

się do niej błękitne, niewinne oczy dziecka.

Cała trójka zniknęła za zboczem.

\*

– Wszystko w porządku? – Kot po raz kolejny zaczepił dziewczynę łapą.

– Tak, tak... – Pani Klątwa potrząsnęła głową. – Wydawało mi się... To znaczy widziałam...

– Porozmawiamy po drodze – zarządził Dale. – Żałobnicy zbierają się już, uroczystość dobiegła końca.

– Jasne. – Rozejrzała się: kordon czarnych postaci kierował się już w górę ścieżki, a czterej mężczyźni wnosili zamkniętą trumnę do wnętrza grobowca. Tylko Patrycjusz, jego żona i córki zostali przy wejściu. – Możemy jechać, to dobry pomysł.

Nim podążyła za potężnym mężczyzną i Kotem, jeszcze raz rzuciła okiem na miejsce, w którym ostatni raz widziała Lilkę, Śmierć i Uczennicę. Z nieba zaczęły przószyć pierwsze płatki śniegu.

\*

– Ajajajaj! Jak to dobrze Panią widzieć, całą i zdrową! – Petr Skrzynia uściskał Klątwe przy powitaniu. Kiedy zobaczył Dale'a, mina mu trochę zrzędła, ale potrząsnął potężną dłońią olbrzyma. Z Kotem się nie przywitał. – Zapraszam na dół, moja droga. Dzisiaj mam wielu gości, ale dla Pani Klątwy i jej towarzystwa na pewno znajdę jakiś stolik. – Poprowadził ich w głąb gospody.

Podążyli za nim, mijając po drodze tłumy biesiadników. Wszystkie stoły i ławy były zajęte przez przyjezdnych, w powietrzu unosił się gwar, gęste kłęby dymu fajkowego, rubasny śmiech po niewybrednych dowcipach, zapach przeróżnych dań i przypraw, woń chmielu oraz muzyka grajków, którzy wydobywali wesole dźwięki z piszczałek, skrzypiec i swoich gardeł.

Doszli do końca sali, Petr Skrzynia szepnął kilka słów przysypiającemu kupcowi, który siedział nad wielkim kuflem piwa. Tamten coś pomarudził, po czym zwlekł się z ławy i zniknął w karczemnym tłumie.

– Proszę bardzo. – Gospodarz zachęcił gestem, żeby zajęli miejsca wokół okrągłego stołu z ciemnego drewna. – Powiedźcie, na co macie ochotę, a ja się wszystkim zajmę. – Zatarł dłonie. – Mogę zaproponować rosół lub barszcz na początek, a także bigos z kawałkami mięsiwa, kiełbasą i słoniną; gotowaną gęś ze śmietaną i grzybkami, zasypaną kaszą perłową; czarną kaczkę doprawioną pieprzem i imbirem; udziec barani tak przygotowany, by jego kruche mięso...

– Dla mnie piwo – przerwał Dale. – A dla Pani Klątwy...

– Wino wystarczy w zupełności. Może być to, które ostatnio pan zaproponował.

– Ależ oczywiście, moi drodzy – zapewnił karczmarz, kłaniając się przy tym nerwowo i zacierając ręce. – A dla jegomości Kota?

– Ta czarna kaczka brzmiała całkiem nieźle – stwierdził zwierzak.

– Ehm... Dobrze, w takim razie każę przygotować kaczkę dla pana. – Uśmiechnął się, zaskoczony. Po chwili podniósł kapelusz i przetarł spocone czoło rękawem. – Uff, jak dzisiaj gorąco. Co za dzień, co za dzień...

Dziewczyna od razu zwróciła uwagę na nerwowe zachowanie gospodarza. Przypomniała sobie, jak Dale przestrzegał ją, że może być śledzona przez ludzi Konsyliarza.

– Byli tutaj? – spytała.

– Kto? – Uśmiechnął się karczmarz, ale szybko zdał sobie sprawę, że niczego przed nią nie ukryje. – Tak, przyszły te paskudne gęby. Wypytywali o Panią, strasznie nieprzyjemni, parszywe oblicza. Ale nic im nie powiedziałem, przegoniłem, gdzie pieprz rośnie. Proszę się nie martwić. Nie dopuszczę, żeby tutaj stało się coś złego, jest Pani bezpieczna – mówił coraz szybciej, coraz bardziej spocony. Wiedziała, że gdyby stracił ją jako klientkę, reputacja lokalu bardzo by ucierpiała. – Nie chciałem Pani martwić, dlatego nic od początku...

– Rozumiem. – Kiwnęła głową. – I dziękuję, że nic im pan nie powiedział. A teraz... Poprosimy o nasze trunki. I o kaczkę.

– Oczywiście, do usług. – Ukłonił się jeszcze raz i zostawił ich samych.

– O czym on bredził? – Kot rzucił dziewczynie pytające spojrzenie.

– Konsyliarz. Wysłał tu swoich ludzi, tropią mnie.

Chowaniec głośno przełknął ślinę.

– Niech się tylko zbliżą – mruknął Dale. – Pokażę im, że nie warto ze mną zadzierać.

– Myślę, że to będzie zbędne. – Położyła mu dłoń na ramieniu. Chciała zmienić temat. – Powiedzcie mi, dlaczego jest tu dzisiaj tak tłoczno? – Rozejrzała się po pękającej w szwach sali.

– Mistrz Hesse zawitał do miasta. Macocha Alicji wspominała o tym – wyjaśnił Kot. – Wkrótce da koncert, a niedługo potem rozpocznie się Święto Kostucha.

– Kostucha? – Nie zrozumiała.

– Ech, potem wyjaśnię. – Chowaniec pokręcił głową. – O, idą wasze trunki. I moja kaczka. – Oblizał się.

Petr Skrzynia przyszedł w towarzystwie dwóch biuściastych, wyższych od niego o głowę pomocnic, które nosiły czerwone korale i włosy splecione w dwa warkocze. Postawiły dębowy kufel piwa przed olbrzymem, karafkę wina z kieliszkiem przed Panią Klątwą i apetycznie wyglądającą kaczkę na srebrnym

półmisku przed Kotem, który od razu zaczął jeść.

– Jeżeli jeszcze w czymś mógłbym pomóc... – Karzeł z bokobrodami, w słomkowym kapeluszu na głowie, ukłonił się.

– Oczywiście, zawołamy – podziękował szorstko Dale. Nim obie pomocnice oddaliły się, obdarowały go uśmiechem. Dziewczyna poczuła ukłucie zazdrości.

Zapadła cisza. Ciężka i gęsta. Tylko Kot mlaskał, przeżuując kaczkę.

– Tak – podjęła dziewczyna. – Bardzo ciekawa była dzisiejsza uroczystość.

– Bardzo – mruknął olbrzym.

– Mlask, mlask – dodał Kot.

– I tylu ludzi – próbowała pociągnąć temat.

– Sporo.

– Mlask, mlask.

– I ci wszyscy przerażający morłogowie. I Septimus.

– Oj, przerażający.

– Mlaaaask.

– I Śmierć, która podeszła do trumny.

– Jaka Śmierć?

– Mlask?

Cisza.

– No – zastanowiła się. – Śmierć. W czarnej sukni. Przyszła po Lilkę.

Widzieliście Ją przecież, prawda?

Obaj pokręcili przecząco głowami.

– Dziwne – mruknęła do siebie.

– Widzisz – podjął Dale – Śmierć jest jak dziura w rzeczywistości. Gdy Ona się pojawia, ciebie, to znaczy... normalnej istoty już nie ma. I na odwrót. Albo dalsza wędrówka, albo nicość.

– Mlask – przytaknął Chowaniec.

– Czy to znaczy, że ja... Wiecie, widziałam Ją. W zasadzie, to widziałam Je. Śmierć i Uczennicę. – Znów się zdziwili. – No, co tak na mnie patrzycie? Jestem Panią Klątwa, widzę różne rzeczy. To może być powód.

– Też myślę, że to kwestia twoich zdolności. – Olbrzym patrzył przed siebie, trzymając kufel przy brodzie. – Inaczej oznaczałoby to, że już nie żyjesz. Albo jesteś Stygnącą.

– Jest to pewne pocieszenie.

– Mlask, mlask. Koniec. No, ale się nazałem. – Chowaniec oblizał pyszczek, po czym donośnie beknął.

– Kocie! – ofuknęła go.

– Co?

– Gdzie twoje maniery?! Siedzisz z damą.

– Wybacz, to było silniejsze ode mnie. – Oblizał pyszczek. – Ale żeby jakoś

się zrehabilitować, mogę przytoczyć kilka opowieści. – Zrobił efektowną pauzę.

– Jakich opowieści? – Dale pierwszy dał się złapać.

– Arcyciekawych – zapewnił Kot. – Dotyczą one samej Śmierci, a dokładniej śmiałków, którzy próbowali Ją oszukać. I udało im się. No, częściowo. Są to opowieści, których ludzie za bardzo nie znają, ale my, Koty, przekazujemy je sobie z pokolenia na pokolenie, w ścisłej tajemnicy przed wami. Dlatego też jesteśmy bardziej przebiegłe, mądrzejsze, inteligentniejsze, ale też ostrożniejsze od innych ras – dodał niby od niechcienia. Dziewczyna przewróciła oczami. – Klątwa? – Spojrzał na nią chytrze.

Nim odpowiedziała, do stołu podeszła pomocnica Petra, ta o rudych warkoczach. W dłoni niosła kandelabr z zapalonymi świecami.

– To dla państwa. – Uśmiechnęła się, patrząc wyłącznie na Dale'a. – Pomyślałam, że ogień wprowadzi trochę ciepła i nastroju.

*Czemu tak na niego patrzysz?!*

– No i niedługo kończę...

– Dziękuję, niczego więcej nam nie trzeba – wtrąciła się Pani Klątwa i spłoszyła dziewczynę. – Tak, tak, możesz już iść.

Pomocnica rzuciła Pani Klątwie nienawistne spojrzenie, ale szybko przypomniała sobie, z kim ma do czynienia, więc tylko uśmiechnęła się chłodno, jeszcze raz spojrzała na twarz potężnego mężczyzny i odeszła. Olbrzym pozostał niewzruszony.

– Czemu ją przegoniłaś? – spytał. – To było takie miłe dziecko. – Uśmiechnął się pod nosem.

– Wcale jej nie... Po prostu chcę usłyszeć opowieść Chowańca. Kocie? – zwróciła się do futrzaka.

– Oczywiście – mruknął. – Na czym to ja... A, w takim razie, drogie damy, drodzy panowie. – Wskoczył na stół i uklonił im się niczym aktor teatralny. Jego czarna sierść zaśniła w świetle świec, gdy stanął na scenie blatu, a wszystko wokół wydało się mniej ważne, nawet rozmowy jakby ucichły. Kot szykował się do opowiedzenia intrygujących historii, których słuchanie dane jest jedynie wybranym. Pani Klątwa poczuła ekscytację. – Posłuchajcie czterech opowieści o poszukiwaczach nieśmiertelności – obwieścił Chowaniec.

– Pierwszym, który próbował oszukać Śmierć, był niejaki Roderyk z Gunlandu, zwany – od koloru swojej brody – Sinym Brodaczem. To było bardzo dawno temu. Roderyk był rycerzem znanym z prawości i przestrzegania rycerskiego kodeksu. Ratował damy z opresji, łachudrów i złoczyńców skracał o głowę. Aktywnie wspierał też lokalną władzę. W nagrodę za swoje zasługi został zaproszony przez władcę na dwór. Na cześć zanego rycerza odbyła się wielka uczta, podczas której władca zdradził Roderykowi prawdziwy powód zaproszenia. Otóż stary król nie miał potomka, a jednocześnie wiedział, że zostało mu niewiele

czasu. Ale rządy jeszcze mu się nie znudziły. Powierzył zatem Sinemu Brodaczowi zadanie: sprowadzenie alchemika, który potrafi przyrządzić miksturę nieśmiertelności. Roderyk przykląkł na kolano, złożył świętą przysięgę, że nie poprzestanie, póki nie ukończy misji i ochoczo wziął się za wykonanie zadania. Tej samej nocy wyruszył w podróż. Wkrótce odnalazł alchemika. Nikt nie wie, jak tamten się nazywał, bo i historia jest prawie zapomniana. W każdym razie alchemik powiedział, że nie pojedzie z rycerzem do władcy, ale przyrządzi dla niego sekretną miksturę. Zdradził też rycerzowi, że eliksir jest w stanie zatrzymać starzenie się organizmu, ale nie jest może ochronić przed orężem. Roderyk wpadł na pewien pomysł. Poprosił alchemika o przyrządzenie jeszcze jednego eliksiru. Ten spełnił jego prośbę, a jako zapłatę otrzymał cios w plecy. Toporem.

– Dzielny rycerz wrócił na zamek, wręczył królowi eliksir. Tamten ochoczo zabrał się za konsumpcję, ale nim ją zakończył, Roderyk poprosił o mianowanie go następcą, na wypadek gdyby król jednak umarł. Władca zgodził się, uznając to za przedni żart głupiego osiłka. Nie wiedział jednak, że Roderyk również wypił eliksir nieśmiertelności i nie wiedział też, że mikstura powstrzymuje wyłącznie proces starzenia się organizmu. Kiedy nasz bohater otrzymał na piśmie, czego pragnął, ciach!, skrócił króla o głowę i założył koronę. Poddani szybko pogodzili się z tym, że słynny cnotliwy Siny Brodacz został ich władcą. Wyprawiono ucztę, postawiono mu pomnik. Lata mijały, a Roderyk nie starzał się. Co więcej, przestał już być taki cnotliwy. Po zamku zaczęły krążyć opowieści o ciemnej komnacie w lochach, w której Siny Brodacz zamyka młode kobiety, a następnie okropnie je katuje. Nikt poza władcą nie miał klucza do tego pomieszczenia. Ponadto król, wiedząc, na czym polega sekret jego nieśmiertelności, postanowił zakuć się w zbroję, aby udaremnić wszelkie zamachy. Chodził w niej za dnia i sypiał nocą. Jego widok budził lęk – wielki rycerz od stóp do głów zakuty w zbroję. W ręce stale dzierżył topór.

– Lata mijały i mieszkańcy krainy, którzy z początku kochali swego władcę, teraz drżeli na samą myśl o upiornym zamku na wzgórzu, o nocnych łowach Sinego Brodacza i jego świty. Ofiarami padały kobiety i dzieci. Słuch po nich ginął. Roderyk rozochocił się jeszcze bardziej w sianiu okrucieństwa, gdy zdał sobie sprawę, że nigdy nie umrze i nigdy nie spotka go kara.

– I co się z nim stało? – spytała Pani Klątwa. – Zginął w końcu?

– Oczywiście. – Kot kiwnął głową. – Zgubiła go baba, ale to już zupełnie inna historia – dodał. – Ważne jest to, w jaki sposób Roderyk, Krwawy Roderyk z Gunlandu, próbował uciec przed Śmiercią i Jej Uczennicą. No i oczywiście nie udało mu się.

Zamilkł, rozejrzał się konspiracyjnie. Nikt ich nie podsłuchiwał. Z satysfakcją uznał, że wywołał zainteresowanie u dwojga swoich słuchaczy, ale nie dał tego po sobie poznać. Koty głęboko skrywają nie tylko urazy, ale i radość z

pochwał pod własnym adresem.

– Druga opowieść jest wam znana, dotyczy siedmiu karłów i dziewczyny, którą uspili, by kiedyś wybudziła się ze snu, zmartwychwstała. Finał tej historii znamy: dziewczyna spała, spała, aż się zepsuła. Aczkolwiek istnieje wiele podobnych opowieści o ludziach, którzy próbowali osiągnąć nieśmiertelność przez przechytrzenie Śmierci, najpierw Ją poznając, a potem wracając do żywych. Na przykład słynni bracia bliźniacy Walterus, kriogenicy z dalekiej północy. Stwierdzili, że zamrożą się nawzajem, poznają Śmierć, a potem się rozmrożą. To było w czasach, kiedy teknczy zostali już zdziesiątkowani, ale kriogenika nie figurowała jeszcze na Liście Nauk Zakazanych. Ney i Dees mieli jeszcze jeden powód, by się zamrozić. Obaj byli śmiertelnie chorzy i liczyli, że kiedy obudzą się za kilkaset lat, będzie już istniało remedium na ich chorobę. Z tego, co wiem, skonstruowali maszyny, zamrozili się nawzajem i... Jakiś czas temu morłogowie na mocy Traktatów Primusa wyłączyli mrożenie, uznając kriokomory Neya i Deesa za pomnik grzechu. Bliźniacy Walterus rzecz jasna nie zmartwychwstali, ale dostarczyli nam bardzo dobrej opowieści o tym, jak można próbować uciec Śmierci.

– Słyszałem o nich – powiedział w zamyśleniu Dale. – Sądziłem, że to bajki, ale chyba faktycznie jest w tym ziarno prawdy.

– Nie ziarno, a całe pole pszenicy – zapewnił Kot.

Nie do końca zrozumieli celność tej metafory. Chowaniec zastrzygł uszami.

– Trzecia i czwarta opowieść nie wiążą się już ze starymi podaniami, a z czymś bardzo rzeczywistym. Jedna dotyczy ciebie. – Wskazał na dziewczynę.

– Mnie?

– Tak. – Kiwnął głową. – To opowieść o transmigracji tego, czym jesteś w środku, tego, co nasza religia nazywa duszą, a w mądrych księgach, których oczywiście nie czytałem, określają to kodem osobowości. To jest taka właśnie esencja każdego z nas. Tę esencję, ten kod, tę duszę można przenosić z jednego ciała do drugiego, z jednego świata do innego w obrębie Wieloświata.

– Eee... – Dziewczyna nie ukrywała niezrozumienia. Kot mówił dalej.

– Nie wiem, rzecz jasna, jak to się dzieje, ale można w ten sposób ominąć Śmierć. Powoływać do życia i odwoływać Panie Kłątwy. Jak? Tego też nie wiem. Ale sam fakt przenoszenia osobowości między różnymi wymiarami i sferami jest naprawdę fascynującym zagadnieniem. Chociaż... – spojrzał na Dale'a i Panią Kłątwę, którzy nie do końca rozumieli jego entuzjazm – chociaż jest po prostu sposobem na uniknięcie spotkania ze Śmiercią.

– Ostatnia, czwarta możliwość: opowieści. Można sobie zapewnić nieśmiertelność poprzez wylądowanie w jakiejś legendzie, którą ludzie – albo Koty – przekazują sobie przez wieki. Jak opowieść o Kostuchu i jego saniach. Tylko problem jest taki, że kiedy zaczynamy przywoływać istotę zakłątą w kręgu



nieśmiertelności, wtedy ona do nas przychodzi. Nazywam takie historie opowieściami organicznymi. Więc nie kaźcie mi przytaczać legend o Kostuchu, bo zwyczajnie nie jestem jeszcze gotowy, żeby go spotkać. No, to by było tyle – zakończył.

Nastała cisza. Pani Klątwa spodziewała się dłuższych opowieści i wywodów. Miała też masę pytań do Chowańca. Już chciała się odezwać, gdy na stolik wskoczył nietypowy przybysz. Biały Kot.

– Dzielny Swółku, witaj! – Chowaniec przemówił do dużego pobratymca, pod którego krótkim, lśniącym futrem dziewczyna widziała wyłącznie mięśnie i gibkie ciało. Chowańcowi trochę tego brakuje, pomyślała zgryźliwie.

– Przynoszę wieści – przemówił Swółek. Głos miał mocny, opanowany. Dziewczynie przypominał rycerza w połyskującej zbroi. – Nasi wrogowie... – ściszył głos, a potem przeszedł na koci język i zaczął miauczeć konspiracyjnie. W ogóle nie zwracał uwagi na ludzi przy stoliku. Kiedy skończył, Chowaniec powiedział bardzo poważnym głosem:

– Muszę natychmiast odejść. – I bez pożegnania zeskoczył ze stołu, a potem pobiegł za Swółkiem.

\*

W gospodzie Pod Kozłami powoli zaczynało się wyludniać, biesiada dogorywała. Muzykanci, mocno pijani, dalej grali skoczne kawałki, do których podrygiwały stare pijusy i młode dziewczęta. Brodaci mężczyźni wlewali w siebie jeszcze większe ilości piwa, a ich grube żony próbowały im to wyperswadować – po kobiecemu, delikatnie, wrzaskiem. Tego wieczoru trafiło się tu kilka bójek, padło kilkadziesiąt sprośnych propozycji i wzniesiono kilkaset toastów.

To wszystko nie liczyło się dla pewnej pary, pogrążonej w rozmowie na końcu sali. Siedzieli samotnie, wpatrywali się w siebie. Ona, piękna i tajemnicza, była wstawiona. On, wielki i gburowaty, nie okazywał żadnych objawów upojenia alkoholem.

– Dale – powiedziała, gładząc jego policzek. – Jest już bardzo późno. Czy mógłbyś mnie odprowadzić do mojej kwatery? Na wypadek, gdyby...

– Gdyby oprychy Konsyliarza wróciły? – dokończył. – Oczywiście.

Wstali. Obydwoje udawali, że nie wiedzą, co się potem stanie. Obydwoje bardzo tego pragnęli.

\*

Nie było patetycznych uniesień ani heroicznych akrobacji. Było zwyczajnie. Smak soli na męskim ciele i zapach jej perfum, dłonie, które błądziły po skórze,

kilka ugryzień, wilgoć, twardość, szybkie oddechy, jęk, wypełnienie, napięte mięśnie, jej orgazm, jego nasienie, spowolnienie, stygnięcie. Zwyczajnie i niezbyt długo, jak na pierwszy raz przystało.

W pokoju było ciemno. Leżeli pod śliską kołdrą w łóżku z baldachimem.

– Dale – zagadnęła, trzymając głowę na jego wielkiej piersi i obejmując go udem.

– Hmmm? – mruknął, zasypiając już.

– Czemu Śmierć ma Uczennicę?

– Bo... – powiedział zachrypłym głosem – każdy chce kiedyś umrzeć i podążyć za Nią. Inaczej to wszystko nie miałoby sensu – mówił, a ona wsłuchiwała się jednym uchem w jego słowa, a drugim w bicie serca, które spowalniało, uspokajało się. – To jest jak książka. Musi mieć zakończenie. Inaczej każdemu odechciałoby się pisać niekończącą się historię. I Śmierć też chce kiedyś odejść, zapisać swoją historię, zakończyć ją. Dlatego ma Uczennicę. Każda Śmierć ma swoją Śmierć, inną. Dokąd idzie, nie wiadomo. Skąd przychodzi? – mrucał coraz bardziej ochryple, coraz bardziej sennie. – To też jest wielka tajemnica. Nawet Śmierć musi wiedzieć, że kiedyś umrze. Inaczej popadłaby w rozpacz – dodał już całkiem cicho.

– Yhm – mruknęła. W przeciwieństwie do olbrzyma była bardzo rozbudzona. I chciała więcej. – Dale, a może byśmy tak jeszcze...

Ale on już spał. O czym świadczyło donośne chrapanie.

– Ech – westchnęła.

\*

W kwaterze Pani Kłątwy było zupełnie ciemno. Jedyne źródło światła stanowił flakon z Esencją, leżący na szafce obok łóżka. Oboje spali, ona wtulona w niego, on obejmujący ją potężnym ramieniem. Było cicho i przytulnie. Za oknem zawodził wiatr. Śnieg sypał mocno i długo. Dziewczyna nie wiedziała o tym, spała. Nie wiedziała też, że gdyby stanęła teraz w oknie, zobaczyłaby, że ze studni coś wydostało się na powierzchnię. Monstrualny kształt. Który stanął wyprostowany. I długo spoglądał w jej okno.

## Rozdział VIII

### Sanie Kostucha

Obudziła się nad ranem. Miała lekkiego kaca. Chciała wtulić się w ciepłą pierś mężczyzny, z którym spędziła noc, ale nie było go obok. Kiedy otworzyła oczy, Dale właśnie wkładał koszulę na potężne ramiona. Spojrzała coś, czego nie widziała, kiedy leżeli nadzy w ciemności.

– Skąd masz te blizny na boku? – spytała, podciągając się na oparciu łóżka. Piersi tylko w małym stopniu miała zakryte kołdrą. Prowokowała, miała na niego ochotę. Kac tylko potęgował żądzę. Nie odpowiedział, nawet nie zwrócił na nią uwagi. Kołdra przypadkiem ześlizgnęła się, odsłaniając całe piersi Pani Klątwy.

– Och, jaka jestem niezdarna...

Spojrzał na nią bez większego zainteresowania.

– Muszę jechać – powiedział, jakby w łóżku przed sobą miał nie płonąca żądzą dziewczynę, a worek kartofli.

– Dale, zostań jeszcze. Jeżeli nie chcesz, nie musimy... – Zaczęła podciągać kołdrę wyżej. – Zrozumiem. Z niechęcią, ale...

– Nie o to chodzi – powiedział, a słowa, które krążyły w jego głowie, trudno mu było wypowiedzieć. Widziała to. Usiadł na łóżku, obok niej. – Chciałbym, bardzo chciałbym, ale... – Westchnął. – Pytałaś, czy to tatuaże. Nie, to nie są tatuaże. Wiesz, co to jest? – Przyglądał jej się. W tym wzroku nie było teraz pożądania, jakie płonęło wczoraj. Było coś odległego, wspomnienie. Wspomnienie innej kobiety. – Panie Klątwy widzą różne rzeczy, widzą tajemnice. Ale czy widzą, gdzie odchodzą te najważniejsze z nich? Co?

– Dale, nie do końca rozumiem, co masz na myśli.

– Widzisz. – Znowu westchnął i teraz nie przypominał już silnego mężczyzny, a starca przygniecionego olbrzymim ciężarem. – Zdradzę ci pewien sekret. Wszystko zostawia swoje ślady, widzialne lub niewidzialne. A najtrwalsze i zarazem najboleśniejsze ślady zostawiają uczucia. Kiedy dwoje ludzi darzy się miłością, kiedy stanowią jedno, dosłownie... Miłość zawsze zespala i jest niebezpieczna. Ale bez niej nic nie miałoby sensu... A kiedy muszą się rozejść, albo... Albo kiedy jedno z nich ginie... Ból i cierpienie są zbyt duże. Zostają rozerwani. Również dosłownie. – Wskazał na swoje plecy.

Podniósł się i skierował w stronę wyjścia.

– A to? – spytała.

– Co?

– Między nami.

– Żle ci było? – Pokręciła głową. – To nie komplikujmy.

Chciała powiedzieć, że jest jej przykro z powodu jego straty, ale wiedziała, że te słowa niczego by nie zmieniły. Milczenie było lepsze. Postanowiła spytać o coś jeszcze. O coś, co kojarzyło jej się z niebezpieczeństwem, które nad nią wisiało i które ciągle czuła, gdy padało na nią niepokojące spojrzenie nieznanego kobiety.

– Dale.

– Naprawdę muszę już jechać...

– Co znaczy słowo *Omerta*? – Utkwiła w nim wzrok.

Cień starca nagle zniknął i w jego miejscu pojawił się surowy, niedostępny, owiany nieprzeniknionymi tajemnicami Dale. Niespodziewanie usiadł na łóżku i chwycił jej dłoń. Jakby bał się, że może ją lada moment stracić. Spojrzał jej w oczy.

– *Omerta* była kiedyś Panią Kłątwą – mówił wolno i cicho, a jego palce zaciskały się na kruchej dłoni dziewczyny. – Nosi różne imiona: Czarna Kłątwa, Okrutna Pani albo właśnie *Omerta*. Jest drapieżnikiem do wynajęcia, poluje na inne Kłątwy. Takie jak ty. – Nagle dziewczyna poczuła, że traci grunt pod nogami.

– Co masz na myśli?

– Ktoś, zazwyczaj bardzo potężny, kogo stać na jej usługi, wynajmuje *Omertę*, by śledziła największą spośród tajemnic, jaką jest inna Pani Kłątwa. A potem, jak to Kłątwy mają w zwyczaju, by wydarła jej serce.

\*

– Nie odchodź.

– Muszę.

– Przy tobie czuję się bezpieczna, a kiedy odejdziesz...

– Opryszki Konsyliarza na razie nie zbliżą się do ciebie – zapewnił. – Dysponuję większą liczbą oczu i rąk, niż ci się wydaje. Jesteś dobrze strzeżona.

Już chciała spytać: przez kogo? Przecież Dale był zwykłym przewoźnikiem. A może... Może nie był tylko przewoźnikiem? Może był kimś więcej? Kimś potężniejszym? A może...

– Muszę już iść. – Odsunął dłoń i wstał.

– Czemu to robisz? Czemu mnie strzeżesz?

Spojrzał na nią po raz ostatni.

– Kogoś straciłem, kogoś być może zyskam. Zobaczymy – odparł, ale wyczuwała, że nie mówi całej prawdy.

– Zobaczymy – powiedziała do siebie, kiedy wyszedł.

\*

Późnym południem ktoś zaklołatał do drzwi.

Dale, pomyślała.

Kiedy otworzyła, w progu zobaczyła wysokiego mężczyznę. Ale nie był to olbrzym. Był to, ku zdziwieniu dziewczyny – która przez cały dzień siedziała ubrana w skąpą koszulkę nocną, ale teraz na szczęście założyła szlafrok – gryfita.

– Pani – przemówił tubalny głos zza hełmu w kształcie dziobu ptaka. – Septimus prosił, żebym towarzyszył Jejmości w drodze na obchody Nocy Poświęcenia.

– Myślę, że to nie będzie potrzebne – zaczęła, ale tamten przerwał jej stanowczo.

– Septimus nalegał, nie mam wyboru.

– Ech... No dobrze. To gdzie i kiedy zaczną się te obchody?

– W Monastyrze. Już się zaczęły.

\*

Pani Klątwa nie była wcale zadowolona.

Po pierwsze: to, co wydarzyło się rano i dziwne zachowanie Dale'a. Najpierw uwodzi ją, a kiedy dostaje to, czego chciał, znika. Nagroda odebrana. A wychodząc, zostawia niedopowiedzenia. Robi jej nadzieję. Cholerni mężczyźni. Pomyślała, że gdyby miała szansę na drugie życie, chyba wolałaby kobiety.

Po drugie: czas. Działo się z nim coś dziwnego. Ledwo zdążyła wstać, zjeść śniadanie, zająć się sobą. (Tak, przyznała szczerze, że „trochę” jej to zajęło, ale od czego są te wszystkie kosmetyki? Przecież nie po to, żeby zalegały na toaletce). I nagle się ściemniło, dzień zakończył żywot, a nad miastem rozpostarła się mroźna noc. A wraz z nocą przyszedł gryfita.

Po trzecie: on. Przyszedł, kazał jak najszybciej się ubrać i – gdyby nie to, że stanowczo kazała mu opuścić kwaterę – stałby cały czas w drzwiach, patrząc, jak ona się przebiera. *Swoją drogą ciekawe, kto kryje pod tą puszką z metalu?*

Zastanawiała się nad tymi wszystkimi rzeczami i to sprawiło, że była niezadowolona, kiedy szła za gryfitą w stronę Monastyru. Ulice były puste, zaśnieżone, w oknach paliły się świece. Jakby wszelkie życie uciekało przed zmrokiem i chowało się do wnętrza bezpiecznych domostw.

Gdzie nie spojrziała, wszędzie ciemność. A w tej ciemności błyskała para przymrużonych, fioletowych oczu. Przynajmniej tak jej się wydawało. Powoli wpadała w panikę. Wiedziała, że idzie w towarzystwie gryfity, więc nic jej nie grozi, ale kiedy zostanie sama...

Jesteś dobrze strzeżona – te słowa powtarzała sobie w duchu, żeby się uspokoić. I teraz dla odmiany widziała w ciemności dziesiątki par czujnych oczu i uszu, które pojawiały się na ułamek chwili, by dać znać o swojej obecności, by ją uspokoić. Po dachu przebiegł cień, ktoś wyrżał zza komina na tle sierpa księżyca i

zaraz zniknął. To ją uspokajało.

Doszli do Monastynu. Tym razem Pani Kłątwa widziała go wyraźnie. Był monstualnej wielkości, wykonany z czarnego, połyskującego kamienia. Strzeliste wieże, budzące grozę gargulce, fioletowe witraże, czerwone rozety. A nad tym wszystkim kłęby chmur śniegowych i złote światło roju pszczoł.

– Pani, nie mamy zbyt wiele czasu, żeby przejść całą drogę, uroczystość powoli się kończy – oznajmił gryfita. – Dlatego pójdziemy skrótem. Proszę się nie zatrzymywać ani na krok. – I otworzył przejście w murze.

– O nie – westchnęła. – Znowu to samo...

\*

Wyszli ze ściany w nawie bocznej. Zdziwieni ludzie zrobili im miejsce, żeby gryfita i Pani Kłątwa mogli podejść do poręczy balkonu.

– Proszę usiąść. – Strażnik wskazał jej krzesło, z którego miała widok na wszystko, co działo się w dole. – Po zakończeniu obchodów Nocy Poświęcenia zabiorę Panią do Septimusa.

Usiadła we wskazanym miejscu, ignorując komentarze licznie zgromadzonych na balkonie nawy ludzi, którzy szeptali: *To Pani Kłątwa. Co ona tu robi?*

Sala była bardzo długa i dość szeroka, a strzeliste kolumny niknęły wysoko w górze. Miała dwie nawy boczne i dwa balkony, nawę główną, dwa transepty, a na samym końcu, pod wielką rozetą z fioletowo-czerwonego szkła znajdowała się centralna część pomieszczenia. Podwyższenie wyłożono deskami, na których stał teraz chór młodych mężczyzn ubranych w długie białe szaty, zapewne był to *ten* Chór. Przed nimi stał dyrygent, wysoki i żylasty, z burzą jasnych włosów rozchodzących się niedbale na wszystkie strony, zapewne słynny Hesse. Po bokach Chóru stali morłogowie ze swoimi sękatymi kijami, a za Chórem, na tronie, siedział Septimus w otoczeniu innych kapłanów. Hesse był jedyną osobą, która oddzielała wszystkich zebranych na podwyższeniu od widowni, cisnącej się w drugiej części pomieszczenia. Wyglądało to tak, jakby przyszło pół miasta. W pierwszym rzędzie Pani Kłątwa rozpoznała macochę Alicji i „pączusie”. Siedziały koło dwóch starszych mężczyzn, każda trzymała swojego za rękę.

*Widzę, że się wam udało, jędze.*

Chór śpiewał właśnie pieśń w nieznanym dziewczynie języku, mistrz Hesse zaś dyrygował energicznie. Każdy z chórzystów trzymał w wyciągniętej dłoni świecę. Poza pochodniami na ścianach i świecami trzymanymi przez kapłanów oraz niektórych wiernych było niewiele źródeł światła. Półmrok potęgował misteryjny nastrój.

Młodzi mężczyźni śpiewali pięknie, niemal anielskimi głosami. Mimo że

byli młodzi, w tym wieku ich głos powinien być już twardszy, bardziej męski. Nagle ją olśniło. Zrozumiała, że Chór Hessego jest chórem kastratów. Zastanawiała się, czy był to ich świadomy wybór, czy efekt nacisku rodzin.

Pieśń, którą intonowali, niosła się przez całe pomieszczenie, wchodziła uszami i wpływała do serca. Powodowała, że można było poczuć oczekiwanie, niesamowitość, a jednocześnie głębokie oczyszczenie. Dziewczyna czuła, jak cała wibruje w środku, jak rozchodzi się w niej jakaś niesamowita energia. A potem ta energia wypływa i wraz z głosami niesie się wyżej i wyżej, aż znika pod niewidocznym sklepieniem. I leci w stronę zimnych gwiazd. Kiedy Chór skończył śpiewać, wszyscy zaczęli bić brawo. Owacje trwały i trwały. Hesse i jego chórzysci ukłonili się i wyszli bocznymi drzwiami.

Kiedy echo owacji ucichło i znowu zapanowała uroczysta cisza, w miejsce Chóru wszedł Septimus. Wzniósł ręce do góry i przemówił, a jego głos rozchodził się wzdłuż całego pomieszczenia.

– Bracia i siostry, wierni. Obchody Nocy Poświęcenia zmierzają ku końcowi. Odprawiliśmy obrzędy wstępne, liturgia również jest już za nami, a uświetnił ją występ Chóru mistrza Hessego. Przed nami ostatnia część obchodów Nocy Poświęcenia. Po niej dni będą jeszcze krótsze, aż nadejdzie Święto Sań Kostucha, nadejdą trzy Czarne Noce i biada temu, kto nie uczestniczył w Nocy Poświęcenia! Biada temu, kto nieopatrznie wyjdzie w tym czasie poza bezpieczne schronienie domu! Biada tym, których Kostuch zabierze do swojego Orszaku Upiorów! – Tłum mruknął trwożnie. – Ale nie lękajcie się! Wiara nas ochroni. Na dowód siły naszych modlitw, na dowód prawdziwości naszych wierzeń, na dowód jasności ścieżki, jaką obraliśmy pośród mroków i ciemności tego grzesznego świata przeprowadźmy ostatni obrzęd. Obrzęd Odrąbywania!

Na te słowa wszyscy zaczęli bić brawo w ekstazie, a na deski podwyższenia weszło dwóch morłogów. Prowadzili młodego mężczyznę z obnażoną piersią, ubranego jedynie w przepaskę biodrową. Miał krótkie, kręcone włosy i nieprzytomne spojrzenie, jakby był pod wpływem silnych środków odurzających. Nie wrywał się, szedł jak lunatyk. Morłogowie zatrzymali się, wtedy dołączył do nich jeszcze jeden. Postawił obok chłopaka pieniek. Drugi morłog kopnął ofiarę w zgięcie kolan tak, że nieszczęśnik musiał przyklęknąć, a trzeci szarpnął jego rękę i przytrzymał ją na pieńku. Chłopak wciąż był bezwładny i bierny, nie wrywał się, tylko wywrócił oczy białkami do góry, a z jego ust wydobył się cichy, przeciągły jęk. Jęk był szybko wypowiedaną modlitwą.

– Nasza wiara jest lekarstwem, życiem i pokarmem dla naszej duszy. – Septimus kontynuował, a wierni powtarzali za nim. – Nasza wiara wzmacnia naszą duszę i czyni niemożliwe możliwym. – Sala inkantowała również, a na podwyższenie wszedł czwarty morłog. Niósł coś w rękach, Pani Kłątwa nie potrafiła dostrzec, co. – Gdy nasze dusze cierpią, nasze ciała cierpią również. Gdy

nasze dusze rozkwitają, nasze ciała tak samo. Wiara wypełnia nasze dusze pokarmem i sprawia, że nasze chore ciała zdrowieją – *nasze chore ciała zdrowieją*, powtarzały tysiące głosów. – Nasze choroby ustępują – *nasze choroby ustępują* – a nasze odcięte członki odrastają – *a nasze odcięte członki odrastają*.

Po tych słowach dziewczyna zrozumiała, co się szykuje. I krzyknęła, ale jej krzyk zgubił się w inkantacji tłumu, który ślepo powtarzał za kapłanem słowa modlitwy. Nie słuchała ich, z przejęciem obserwowała. Morłogowie jeszcze mocniej przytrzymywali chłopaka, który prawdopodobnie odzyskał ułamek świadomości i zrozumiał, co się dzieje. W tym samym momencie czwarty stwór stanął za nim z wielkim mieczem, uniósł go wysoko i odrąbał chłopakowi rękę.

Dziewczyna krzyknęła z przerażenia.

– Jeżeli jest w nim dostatecznie dużo wiary, ręka sama odrośnie! – zawołał Septimus, a ludzie wiwatowali. Chłopak tymczasem zwijał się z bólu, z kikuta tryskała krew. Darł się, ale jego krzyk niknął pośród wrzawy podekscytowanego tłumu, który właśnie przeżywał katharsis. – Podejdź, chłopcze! – rozkazał kapłan. – Podejdź! Bądźmy świadkami cudu! – Chłopak nie był w stanie wstać. Morłogowie podnieśli go i zaprowadzili przed oblicze Septimusa. Cały dygotał, biała przepaska biodrowa zabarwiła się na żółto. – Nie lękaj się! – Kapłan położył dłoń do jego czoła, drugą zaś do swojego. Chłopak był prawie nieprzytomny z bólu, morłogowie wciąż trzymali go, sycząc pod nosem. – Nie lękaj się, albowiem teraz będziemy świadkami cudu!

I w tym momencie wydarzyło się coś niewytłumaczalnego. Ręka momentalnie przestała krwawić, a zaraz potem odrosła. To był ułamek sekundy. Tłum zawył w ekstatycznym szale. Pani Kłątwa patrzyła z szeroko otwartymi oczami. Chłopak zemdlał, morłogowie pozwolili mu osunąć się na ziemię.

– Bądźcie pobłogosławieni! – zawołał Septimus, a potem ruszył w stronę wyjścia.

Chłopak leżał nieprzytomny na deskach podwyższenia. We krwi i w moczu.

\*

– Cierpienie i piękno – usłyszała, kiedy stała z gryfitą w tym samym okrągłym pomieszczeniu, do którego trafiła, kiedy odwiedziła Septimusa po raz pierwszy. – To jest sens wszystkiego. To trzeba pokazać. A reszta? Reszta jest nieważna.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Stała milcząc naprzeciwko kapłana, który dla odmiany siedział rozparty na swoim tronie w towarzystwie dwóch morłogów.

– Gdyby nie cuda, już dawno przestaliby wierzyć. Cuda są koniecznością – dodał jakby do siebie. – Ale wezwałem tutaj Panią w innym celu. Kłątwo, powiedz, jak mają się sprawy z naszą tajemnicą, którą miałaś wytropić?



– Jestem w trakcie rozwiązywania zagadki – odpowiedziała. – Widziałam *to*.

– Cieszę się, że działasz, Kłątwo, ale nie mogę powiedzieć, żeby była to gorąca radość – odparł, a morłogowie cicho syknęli. – Zbliżają się Czarne Noce, Sanie Kostucha przyjadą niebawem. I kto wie, co nasze monstrum jest w stanie zrobić. Nie ima się go mgła, podobno przychodzi w nocy i porywa ludzi, podobno pożera trupy. Niektórzy zaczynają już mówić o Trupojadzie, który za nic ma naszą wiarę, naszą religię, chroniącą tych prostych, dobrych ludzi przed ciemnością. A jak go powstrzymać, skoro ten Trupojad nic sobie z nas nie robi? – spytał. Nie odpowiedziała. – Widzisz, Kłątwo, wyjaśnię to inaczej. Sensem twojego istnienia jest rozwiązywanie tajemnic. Trupojad jest taką tajemnicą. Masz odkryć, gdzie się ukrywa i wyjawić mi ten sekret, resztą zajmę się ja. Bo dla mnie sensem istnienia jest utrzymywanie porządku. A nie mogę go utrzymywać, jeżeli taka anomalia pałęta się pod naszym nosem. Mam nadzieję, że się zrozumieliśmy?

– Oczywiście. – Kiwnęła głową.

– Podejdz tu jeszcze – rozkazał. Posłuchała. Bezceremonialnie odkorkował jej fiolkę i wsadził do środka tłusty paluch. Poczowała mdłości, jakby ktoś zaglądał do jej wspomnień, tych niedawnych, z ostatniego wieczoru, i zatrzymał się przy nich na dłużej. Septimus oblizwał mięsiste wargi, a ona poczuła nieprzyjemne mrowienie na wysokości łona. – Nie wiedziałem, że Kłątwy zdolne są do zadurzenia – mruknął do siebie. *Wyjdz już z mojej głowy!* Zawołała w myślach, czując się coraz bardziej obnażana, coraz bardziej bezczeszczona. Kapłan tymczasem wodził tłustym palcem po ściankach fiolki. – Ciekawe, co się działo wcześniej – mruknął lubieżnie, a ona nie mogła nic zrobić. I w tym momencie twarz kapłana zmieniła się, zbielała. Szybko wyciągnął palec i zatkał fiolkę. – Ty Je widziałas...

I to były ostatnie słowa, jakie wypowiedział. Morłogowie syknęli, widząc przerażenie na twarzy Septimusa. Gryfita wyprowadził dziewczynę z pomieszczenia, mówiąc, że to już koniec na dzisiaj.

\*

Tej nocy leżała w łóżku sama. I płakała jak mała dziewczynka. Czowała się wręcz zgwałcona. Jak on mógł? Za kogo się uważa? Przecież ona jest Panią Kłątwą! Jest kimś! Nie czymś! A może... Może jest po prostu rzeczą, wymysłem kapłanów, z którą mogą tak się obchodzić... Ryczała do późna. Nie było przy niej ani Kota, ani Dale'a. Tak bardzo potrzebowała czyjegoś towarzystwa. Zasnęła wśród łez, na mokrej poduszce. Samotnie.

\*

Następne bezbarwne dni mijały szybko. Świt nadchodził coraz później, a

zmrok coraz wcześniej. Nad miastem zawisły ołowiane chmury, z których co chwilę sypał ciężki śnieg. Samo miasto zdawało się coraz bardziej wyludnione. Gworny dotąd Rynek Główny, głośnie uliczki, zazwyczaj pełne karczmy i gospody teraz świeciły pustkami. Czasem przemykały gdzieś pojedyncze, samotne jednostki, zazwyczaj kupcy lub kobiety, które nie zrobiły jeszcze zapasów na długi okres ciemności.

Nadchodzący mrok czuło się coraz bardziej z każdym krótszym dniem. Mróz, przygnębienie, nastrój oczekiwania i niebezpieczeństwa – to wszystko unosiło się w powietrzu. A wśród tej ciemności Kłątwa widziała na przemian czujne fioletowe oczy i szybko rozmazujące się cienie stróżów sprowadzonych przez Dale'a. A może tak jej się tylko zdawało?

Pewnej nocy Pani Kłątwa śniła o nadjeżdżających saniach, które sunęły po śniegu, zaprzęgnięte w ogromne wilki. Za saniami ciągnął się korowód białych postaci, potępieńców, którzy zostali porwani. Mieli zamrożone ciała, szkliste oczy, ręce i nogi zakute w łańcuchy. Podążali za saniami, na których stał On, Kostuch. Mężczyzna o surowej posturze, gniewnych oczach, z jelenim porożem na głowie.

*Szszszuuu, szszszuuu, szszszuuu...* Wilki biegly w szaleńczym tempie, warcząc i zawodząc. Kostuch popędzał je smaganiem biczem. *Trzask! Trzask! Trzask!* Na saniach dzwoniły dzwonki. *Dzyń! Dzyń! Dzyń!* Orszak potępieńców podążał za nimi. Ciche jęki i zawodzenia. Odgłosy niezliczonej ilości nóg, biegnących po śniegu. *Szszszuuu, szszszuuu, szszszuuu... Trzask! Trzask! Trzask!*

*Dzyń! Dzyń! Dzyń!*

Wycie!

Dziewczyna obudziła się złana potem. W pomieszczeniu było cicho.

I wtedy znowu to usłyszała. Wycie. Głośnie wycie. Ale nie wilcze, ludzkie. Całkiem niedaleko. Podbiegła do okna. Na zewnątrz sypał śnieg, ledwo widziała Rynek wśród tej zamieci. Wtem dostrzegła ruch. Coś poruszało się w ciemności, a za tym czymś biegly cztery... Nie, pięciu morłogów. Odcięli istocie drogę ucieczki przez studnię. Oskoczyła w ciemność. Otoczyli ją, przybiegli następni. Śnieg sypał coraz mocniej. Prawie nic nie widziała, jedynie przebłyski światła i ciemny kształt. Wtedy niespodziewanie z jej fiolki wyfrunęła świetlista pszczoła. Przeleciała przez szybę, jakby szkło nie istniało, i poleciała w stronę tamtej istoty. A potem rozbłysnęła, mocno i na krótko. Otoczony potwór wykorzystał moment, chwycił morłogą i... urwał mu głowę. Coś uderzyło o ziemię. Istota zniknęła. Pszczoła też. Morłogowie spojrzeli w stronę okna Pani Kłatwy.

Ta przypadła do podłogi. Zatkąła usta, serce waliło jej jak młotem. *Żeby mnie tylko nie zobaczyli, żeby tylko tu nie przyszli.* Leżała tak nie wiadomo jak długo, wyczekując w napięciu odgłosów wbiegania po schodach i syków pod drzwiami. Nic się jednak nie stało. W końcu, cała zdrętwiała, podniosła się

ostrożnie, wyjrzała przez okno. Ale nic już tam nie ujrzała poza ciemnością i zamiecią.

Wróciła do łóżka.

Tej nocy już nie zasnęła.

\*

Dni mijały. Dziewczyna nie potrafiła wyjaśnić, co tak naprawdę zdarzyło się tamtej nocy. Nie wiedziała też, co ma robić, gdzie jest Dale i gdzie jest Kot. Czuła się zdezorientowana, opuszczona przez wszystkich, pozbawiona nadziei. Całe dni siedziała w swojej kwaterze albo snuła się po mieście, czekając, aż głos przemówi, wskaże jej drogę albo chociaż poszlakę. Głos milczał. Któregoś z tych długich, ponurych dni przeglądała zawartość swojej biblioteczki. Grimuary, zwoje i opasłe, skórzane tomiszczą zawierały miliony stron zapisanych drobnym drukiem słów w nieznanym jej języku. Mogła jedynie z fascynacją oglądać ryciny, mapy i ilustracje, które przedstawiały kształt świata w różnych epokach, liczne miasta, niektóre większe i potężniejsze od Aerie, oraz wizerunki ludzi i potworów.

Kiedy odstawiała jedną z tych tajemniczych ksiąg na regał, przypadkiem trąciła plik pożółkłych kartek. Czarne wieczne pióro sturlało się i upadło na parkiet, rozpryskując wokół atrament.

– Pięknie – powiedziała do siebie i zaczęła sprzątać. Kiedy uporała się ze wszystkim, odłożyła pióro na stos pożółkłych kartek. I wtem zdała sobie sprawę, że nie są to kartki puste, a przynajmniej ta na wierzchu taka nie była. Tym razem Pani Klątwa potrafiła odczytać słowa.

Charakter pisma był bardzo elegancki, a litery miały mnóstwo zawijasów i ozdobników. Tekst stanowił rodzaj pamiętnika. Nie zawierał zbyt wielu słów. Pierwsza notatka brzmiała:

*Septimus mnie dzisiaj wezwał, powierzył mi Wielki Sekret.*

A więc musiała tu mieszkać inna Pani Klątwa, pomyślała dziewczyna. A może to byłam ja, wcześniej? Nie wiem...

Pod spodem była druga kartka, zapisywana jakby w większym pośpiechu, bardziej pochyłymi literami:

*Odkryłam jego sekret. To przerażające. Nikomu nie mogę ufać.*

Ostatnia notka pisana była drżącą dłonią:

*Obserwuje mnie. Widzę jej fioletowe oczy w ciemności. Jest coraz bliżej.*

Dziewczyna rozejrzała się nerwowo.

Odłożyła kartkę na stos.

\*

Nie musiała schodzić na dół do pana Petra, żeby coś zjeść. Śniadanie, obiad i

kolacja zawsze czekały na nią w kwaterze. Nigdy nie wiedziała, kto i kiedy je przynosił.

Tego dnia, trawiona wątpliwościami, nie radząc sobie z samotnością, postanowiła zajrzeć do gospodarza.

– O, witam, moja kochana! – Ucieszył się karzeł z bokobrodami i w słomkowym kapeluszu na głowie. – Jak widać, jesteś dziś moim jedynym gościem. Co więcej, jesteś moim jedynym gościem od bardzo dawna. Co cię tu sprowadza?

– Sama nie wiem – powiedziała zgodnie z prawdą. – Chowaniec gdzieś zniknął. – Chciała dodać, że Dale również, ale powstrzymała się. – Dni są coraz krótsze, a ja mam coraz więcej pytań bez odpowiedzi. – Usiadła przy szynkwasio.

– Słyszę w Pani głosie zimową chandrę – zdiagnozował Petr Skrzynia. – A na chandrę najlepszy jest grzaniec według mojej sekretnej receptury.

– Nie wiem, czy alkohol to dobry...

– Oczywiście, że tak. Daj mi pięć minut. – I zniknął na zapleczu. Po chwili wrócił z dwoma glinianymi kuflami, z których unosił się aromatyczny zapach. – Proszę spróbować, to poprawi nastrój. – Usiadł po drugiej stronie i przyciągnął swój garnczek. – Tylko powoli, bo parzy!

Dziewczyna podniosła gliniane naczynie. Poczowała zapach wina, pomarańczy, jagód, goździków, miodu lipowego i cynamonu. Zbliżyła do ust, spróbowała.

– Panie Petrze, muszę przyznać, że dawno nie piłam czegoś tak dobrego i... poprawiającego humor. – Uśmiechnęła się. Przyjemny aromat grzanego wina, które trafiło do żołądka, rozgrzewał i rozlewał w środku błogość.

– A nie mówiłem! To sekretny przepis mojej prababki. Jakość od pokoleń. – Puścił jej oko.

– Nie śmiem zaprzeczać.

– Więc powiedz mi, młoda damo, gdzie planujesz spędzić Czarne Noce? Niebezpieczny czas jest coraz bliżej, a wtedy lepiej nie wychodzić na zewnątrz. Można dołączyć do Upiornego Orszaku. Na zawsze.

– Chyba tutaj, panie Petrze. Nie za bardzo mam dokąd pójść. W sumie to nie za wiele pamiętam i cały czas dowiaduję czegoś nowego o świecie, w którym podobno żyję od dawna. Czy mógłby mi pan wyjaśnić, skąd pochodzi Kostuch i jego sanie? – Pociągnęła kolejny łyk wina, błogość rozlała się falą w jej żołądku, a wraz z nią pojawiła się czerwień na policzkach.

– Oczywiście – uśmiechnął się serdecznie. – To stara historia. – Rozsiadł wygodnie po drugiej stronie baru i zniżył głos. Był urodzonym gawędziarzem i jego opowieści potrafiły brzmieć naprawdę interesująco. – Związana jest z porami roku. Otóż na wiosnę przychodzi brzemienna Matka, rodzi Syna i zostawia go na wychowanie Ziemi. Sama odchodzi w nieznanne. Syn karmiony jest przez ptaki i zwierzęta leśne, które wychowują go, uczą zasad panujących w przyrodzie, troszczą się o niego. Syn dorasta, zaczyna mężnieć, ale jeszcze nie staje się

mężczyzną. Łapie pierwsze ryby, broni się przed pierwszymi drapieżnikami, zabija pierwszych wrogów. Aż pewnego wieczoru słyszy piękny śpiew, dochodzący z nad jeziora. Zbliża się po cichu, ostrożnie wygląda zza drzew, a tam piękna młoda dziewczyna bierze kąpiel w lazurkowej wodzie. Syn poznaje Jasnowłosą. Zakochują się w sobie i wtedy przychodzi lato, noc przesilenia, Święto Świetlików. Święto żądzy i namiętności. Syn kocha się z dziewczyną całą noc, przy płomieniach ogniska, którego blask odbija się od ich spoconych ciał, splecionych w namiętym uścisku. Syn nie wie, że Matka zawędrowała dalej i urodziła jeszcze córkę. Wychowywała ją do momentu, aż tamta była na tyle duża, by zrozumieć wiadomość, którą Matka jej przekazała. Masz brata, znajdź go. Mówi to do małej Córki i odchodzi. Córka dorastała, wychowywana przez Ziemię, zupełnie jak Syn. Uczona wszystkiego, co powinna wiedzieć kobieta. Nie walczyła z drapieżnikami, nie polowała na ryby. Uczyła się pieśni, zbierała jagody i inne dary ziemi, opiekowała się słabymi zwierzętami. Po tamtej nocy, nad ranem, przypomina sobie o słowach Matki. Przerazona uciekła, nie budząc kochankę. Tej nocy poczęła się Światłość i Mrok. Poczęło się jeszcze coś, o czym on nie wie. Kończy się lato, on szuka jej i znaleźć nie może. Zaczyna się jesień, Syn nie jest już młodzieńcem, a mężczyzną. Ma twarde rysy, silne ręce, skórę spaloną od słońca. Nie mogąc znaleźć ukochanej, drażnony bólem rozstania, osiada, buduje dom, podporządkowuje sobie naturę: pola, rzeki i zwierzęta. Czeka na nią, ma nadzieję, że ona wróci. Pracuje cały czas. Jesień dobiega końca, on zbiera owoce, aż w końcu odchodzi na północ. Nie wie, że na wiosnę ona wróci brzemienna, urodzi Syna, zostawi go na wychowanie Ziemi, a potem odejdzie i urodzi Córkę, której przekaze prawdę, nim zniknie. Historia powtarza się do końca światów.

– Zimą natomiast – podjął Petr, którego opowieści dziewczyna słuchała jak zahipnotyzowana – Syn wróci z północy. Nie będzie już Synem, nie będzie mężczyzną, a starym, zgorzkniałym Kostuchem, który, nie mogąc odnaleźć ukochanej, mści się na wszystkim, co żywe. Kostuch i jego sanie, które ciągnie zaprzęg wilków północy. Z Nim przychodzi Czarne Noce. I to On porzywa do swojego Upiornego Orszaku nieszczęśników, którzy nie zdążą schronić się na czas. I tak co roku, przez całą wieczność.

Pani Kłątwa zdała sobie sprawę, że wypła już całe wino. Policzki przyjemnie paliły, a w środku czuła spokój i błogość, jakich od dawna nie doświadczała.

– Skąd się to wszystko wzięło? – spytała z ciekawości.

– Jak wszystko: gwiazdy, księżyc, Wieloświat – z Apeironu – odparł wesoło.

– Dziękuję, panie Petrze, za tę opowieść. I za wyjaśnienia. I za wino, oczywiście. – Podała mu gliniany garnczek. – Naprawdę poprawiło mi humor. Teraz nic tylko wrócić do siebie i usiąść przed kominkiem.

– Do usług, moja pani – uklonił się i wziął oba naczynia, żeby wynieść je na

zaplecze.

– Proszę mi jeszcze powiedzieć – zatrzymała go – jak często u pana bywałam? To znaczy wcześniej, nim się przebudziłam. Bo to moja kwatery i podobno z czasem wszystko sobie przypomnę. No i czy mogę jutro przyjść? – dodała szybko.

– Ech – Petr westchnął. – Za każdym razem zadaje mi Pani te same pytania. – Nie zrozumiała. – Odpowiem najpierw na ostatnie. Moja kochana, jutro już mnie tu nie będzie i obawiam się, że się więcej nie zobaczymy.

– Dlaczego? – spytała i poczuła, jak świat rozmazuje się jej przed oczami po mocnym trunku gospodarza.

– Nie musisz sobie wszystkiego przypominać – wyjaśnił spokojnym głosem. – Nie masz czego. A ja, cóż. – Wzruszył ramionami. – Ja nie istnieję. Jestem tylko dobrym duchem tego miejsca, wspomnieniem. Stworzyłem to wszystko, co pani tutaj widzi, i odszedłem. Ale to nie znaczy, że nie mogę być rzeczywisty dla tych, dla których chcę. I podzuchać ciepłe bułeczki z mlekiem każdego ranka, kiedy Pani śpi. – Zarechotał. – Niestety, dobre duchy też mają swój czas.

– Nie rozumiem – powiedziała i poczuła się bardzo senna.

– Nie musisz wszystkiego rozumieć. – Odstawił naczynia i wziął ją pod rękę. – Nie wszystko, co rozumiałe, jest rzeczywiste i na odwrót. A teraz chodź, odprowadzę cię do kwatery, zapalę w kominku, ułożę wygodnie w fotelu i okryję kocem. A ty zapadniesz w przyjemny sen i jutro już nie będziesz mnie pamiętać. Bo dobrych duchów się nie pamięta, tylko wyczuwa ich obecność. – Uśmiechnął się i Pani Kłątwa nie wiedziała już, czy widzi uśmiech życzliwego karła z bokobrodami, w słomkowym kapeluszu na głowie, czy po prostu czuje się błogo po winie.

\*

Ocknęła się półprzytomna, w swojej kwatery. Było jej cudownie. Za oknem sypał śnieg, a ona leżała w fotelu, pod kocem. Ogień trzaskał w kominku. Czowała się, jakby jakiś dobry duch poprawił jej humor.

W głowie słyszała piosenkę. Jej słowa musiały nieść się ze snu. Przymknęła powieki, zatopiła się we śnie, słuchając:

*Jeżeli my, duchy płochy,  
Obraziliśmy was trochę  
Wiedźcie, że to sen jedynie  
I zaraz jak sen przeminie.  
Niech ta cała sprawa błaha  
Nad wami jak sen się waha*

*Trwajcie w tym śnie jak w zabawie  
A co złe, to ja naprawię... 1*

\*

Ocknęła się nagle.

Nie była już w swojej kwaterze, a leżała przykuta do łóżka w jakimś zimnym pomieszczeniu. To musiał być koszmar. W dodatku widziała tylko na jedno oko. Tępy ból pulsował gdzieś z tyłu głowy. Wtedy zobaczyła Ją. Uczennica Śmierci nachylała się nad ciałem, w którym ona się znalazła, uśmiechała się pomalowanymi na truskawkowo ustami, a w jej czarnych oczach nimfetki płonął ogień pożądania.

– Adrianno – szepnęła jej do ucha. – Niedługo trzeba będzie stąd odejść. Ale nie bój się, pójdziemy razem, poprowadzę cię. – Znowu twarz Uczennicy pojawiła się na wysokości jej twarzy. Sięgnęła po coś. – Patrz, uplotłam to specjalnie dla ciebie. – Włożyła jej na głowę wianek z liliowych kwiatów. – Naprawdę ci w nim ładnie. I nie przejmuj się, że mówią na ciebie chłopczyca. Jesteś bardzo piękną dziewczyną.

Nachyliła się i pocałowała ją w usta. Adrianna poczuła zimny, mokry dotyk na swoich wargach. A potem była tylko ciemność.

\*

Kiedy otworzyła oczy, znów była w swojej kwaterze, w fotelu, pod kocem, przed dogasającym kominkiem. A na jej piersi siedział Chowaniec. Lizał ją po ustach.

– Tfu! – Splunęła i zrzuciła go z siebie. – Co cię naszło?! Będę miała kocie robaki.

– Wybacz, dla mnie to też nie było przyjemne, ale uznałem, że to jedyny sposób – tłumaczył i na znak swojego równie wielkiego obrzydzenia ustami dziewczyny i możliwością złapania ludzkich robaków splunął na ziemię. Po chwili dodał:

– Spałaś jak zabita.

– Bardzo śmieszne. – Podniosła się z fotela i poszła umyć usta.

– To co się tu właściwie wydarzyło? – spytał Kot, kiedy płukała gardło po raz trzeci.

– Niezbyt wiele – odparła, a potem wróciła do Chowańca i zaczęła opowiadać o tym, co się działo, kiedy Kota nie było w pobliżu. O Monastyrze i o Chórze Hessego, o Obrzędzie Odrąbywania, o dziwnym nocnym zdarzeniu, kiedy odleciała świetlista pszczoła, o długich samotnych dniach spędzonych w kwaterze, o notatce, jaką znalazła, o Omercie i swoich podejrzeniach, że jest obserwowana, o

tym, że zasnęła przy kominku, ale nie może sobie przypomnieć, jak się tu znalazła i o czym śniła. Przypominała sobie jedynie słowa piosenki.

– A co z Dale'em? – zagadnął, a ona odwróciła się, udając, że musi pójść w przeciwną stronę i coś zrobić. Oczywiście krzątała się tylko, stojąc tyłem do Chowańca, którego pytanie było tak niespodziewane, że nie zdołała opanować rumieńca.

– Nie wiem. – Udała obojętność. – To znaczy posiedzieliśmy chwilę razem, a potem on pojechał w swoją stronę. I od tej pory nie miałam od niego ani o nim żadnych wieści. – Musiała zmienić temat. Rumieniec zbladł, mogła się odwrócić. – A co ty porabiałeś?

– To długa historia. – Kot westchnął. – I chyba będę musiał odsłonić przed tobą wszystkie karty...

\*

– JAK TO TY MNIE WEZWAŁEŚ?!

– Spokojnie, nie denerwuj się. – Kot odskoczył na drugą stronę łóżka. – I tak zostałabyś wybudzona, kiedyś...

– Czyli chcesz mi powiedzieć, że nikt inny mnie nie potrzebował? – Dziewczyna dalek nie mogła uwierzyć w wyznanie Chowańca.

– Teoretycznie pewnie i Patrycjusz, i Septimus zwróciliby się do innej Pani Klątwy, gdyby była w okolicy, a że ty już byłaś... jakby to ująć... na chodzie...

– Na chodzie?! – oburzyła się, a jej wściekłość spotęgowało wspomnienie ostatniej wizyty u Septimusa. – Co wy wszyscy sobie, do cholery, myślicie?! Przecież nie jestem rzeczą! Jestem... jestem istotą!

– Tutaj polemizowałbym, to znaczy... Ej, uważaj! – Kot w ostatniej chwili uniknął buta, który poleciał w jego stronę. – Chodzi mi o to, że nikt nie wie, czym... Tfu! Kim! Kim! Przecież poprawiłem się! Mówię, że nie wiemy, KIM jesteście. Kim jesteś – dodał szybko i obszedł łóżko łukiem, by utrzymać bezpieczną odległość od zbliżającej się dziewczyny. – Słuchaj, tak czy siak wolisz być wybudzona czy trwać w tym durnym śnie?

– Ja chcę sama o sobie decydować, a nie być na skinienie was wszystkich! – odparła wściekła, ale złość jakby zmaląła.

– Zamordowanie mnie w niczym ci nie pomoże – tłumaczył Kot.

– Ale przyniesie chwilową ulgę.

Jeszcze przez kilka minut gonili się wokół łóżka. Kot unikał wymierzonych w jego stronę pocisków w postaci butów i innych ciężkich przedmiotów, a Pani Klątwa ciskała w niego przekleństwami i rzeczami, które miała pod ręką.

– Aaa, kij z tym wszystkim. – Znużony Chowaniec zatrzymał się w końcu. – Chcę ocalić moją rodzinę. Jeżeli mi nie pomożesz, nie mam po co żyć. – Skoczył w



jej stronę, aż się cofnęła. – Chcesz, to mną rzucaj, bij, tłucz, ofiarowuję ci moje futro. Możesz mnie nawet zabić. Ale jeżeli istnieje tylko cień szansy, żeby uratować moich bliskich przed strasznym losem, który czeka ich u Myszy, to wykorzystam każdą okazję, każdą szansę. Za każdą cenę. Nawet jeżeli miałyby to się wiązać z wybudzeniem Pani Klątwy i ściągnięciem na siebie jej gniewu.

Patrzyła na niego. Nie udawał. Stał z pochylonym łebkiem, gotowy do przyjęcia ciosu.

– Ech, głupi Kocie... – westchnęła i usiadła na łóżku, obok. – Czasem cię nienawidzę, wiesz?

– Wiem – odparł. Nie mógł się powstrzymać. – Chociaż wciąż zadaję sobie pytanie: dlaczego? – Uśmiechnęła się. – To nie chcesz już mnie sponiewierać? – upewnił się z wciąż opuszczonym łebkiem i zamkniętymi oczami.

– Nie.

– Uff... – wypuścił powietrze z wyraźną ulgą.

– Ja już nic z tego wszystkiego nie rozumiem. – Powiedziała w przestrzeń. – Nie wiem, kim jestem, skąd pochodzę. Nie wiem nawet, jak działałam. Wiem tylko tyle, że raz na jakiś czas ten uspiiony głos we mnie mówi mi, co mam robić. Czasem to głos potwora, czasem szept nimfy, czasem chłopca. A ja muszę ich słuchać, bo to jedyny prawdziwy kompas. Dzięki niemu docieram do sedna tajemnicy, dzięki niemu wiem, co mam robić.

Chowaniec spojrział na dziewczynę.

– Skoro nie masz żadnej alternatywy, może dołączysz do mnie?

– Sama nie wiem... Tkwienie tutaj przez kolejne dni mija się z celem. Z drugiej strony nie wiem, czy dołączenie do ciebie pomoże tobie w odnalezieniu rodziny albo mnie w rozwikłaniu zagadki Trupojada. Daj mi pomyśleć. – Wstała i zaczęła przechadzać się po swojej komnacie.

Kot obserwował ją z lekko uniesioną brwią. Próbowwała poukładać sobie w głowie ostatnie wydarzenia, to, przez co przeszła, próbowała znaleźć jakąś nić, która łączyłaby wszystko w logiczną całość. Najpierw Lilka i karty, potem wizyta u Patrycjusza, pierwsze spotkanie z morlokiem, Monastyr, Septimus, Śniegowina, Dale... Chodziła tam i z powrotem, układając w głowie ostatnie doświadczenia, odkąd obudziła się jako Pani Klątwa. Jej wzrok padał na łóżko, przeslizgiwał się po Kocie, potem po regale z książkami, po mapach na ścianach, oknie, za którym było widać jedynie mrok i śnieg, stole w jadalni. – I te sny, te dziwne sny o szpitalu i Uczennicy Śmierci – szeptała pod nosem.

Może nie musiała czekać na ten tajemniczy głos, może wystarczyło, że wsłucha się w siebie?

Kiedy podeszła do szafy z ubraniami, jej wzrok skierował się na toaletkę, na perfumy, na stolik nocny i jaśniejącą magicznie fiołkę z Esencją, znowu na łóżko, na znudzonego Kota, na...

– Mam! – wykrzyknęła, a Chowaniec aż podskoczył.

– Hę?

Podbiegła do niego, przyklękła przy łóżku i chwyciła go za łapki. Nie stawiał oporu, chociaż wciąż zastanawiał się, czy nie jest to fortel i czy dziewczyna zaraz mu tych łapek nie wyrwie. Będzie musiał chodzić o kulach albo jeździć na wózku...

– To ty – powiedziała, jakby w nagłym olśnieniu.

– Co znowu ja? – Próbował wyswobodzić łapy. Bezskutecznie.

– Ty mnie tu sprowadziłeś, ty wciągnąłeś w intrygę z Trupojadem, ty ruszyłeś wszystko do przodu, pośrednio oczywiście, kiedy skierowałeś mnie do studni – tłumaczyła szybko, z podnieceniem. Jakby prawie wpadła na genialny pomysł, jakby rozwiązanie wszystkich zagadek było tuż, tuż, w zasięgu ręki. Musiała tylko wyjaśnić jeden brakujący element. – Wydaje mi się, że jeśli pójdę z tobą, będę mogła to wszystko skończyć – powiedziała do siebie. – Opowiedz mi o Myszach. Co planujesz zrobić? – Utkwiła w nim spojrzenie.

– Eee... No dobrze. – Chowaniec patrzył na nią z ukosa, ale czuł ulgę. W końcu po to ją właśnie sprowadził, żeby pomogła mu pokonać ród Myszy i uwolnić rodzinę. – Muszę, to znaczy musimy udać się do Monastynu jutrzejszej nocy.

– No i?

– Jest tylko jeden problem.

– Mianowicie?

– Jutro zaczyna się Święto Kostucha.

1 *Pieśń Puka*. Tekst piosenki jest fragmentem epilogu *Snu nocy letniej* W. Szekspira w tłumaczeniu K.I. Gałczyńskiego.

## Rozdział IX

### Król Myszy

Miasto było opustoszałe, a nad nim rozpościerała się złowroga zimowa noc. Czarne niebo spowijały ciężkie chmury, które w każdym momencie mogły wywołać zamieć, skuć świat lodem. W powietrzu unosiła się mroźna mgła, która pokrywała wszystko, co znalazło się w jej zasięgu, tysiącami mieniących się w ciemności krysztalków. Mieniły się kocie łby, klamki, drzwi i beczki, mieniły się latarnie, ściany kamienic, zamrożony bezpieczeństwa pies, który nie zdążył znaleźć schronienia przed Porą Kostucha. Obok niego leżała mała dziewczynka, również pokryta szronem. Już dawno się poddała. Czekwała na dołączenie do Orszaku, a w dłoni ścisnęła paczkę zapalek.

Nikt tej nocy nie był na tyle odważny ani na tyle głupi, żeby przedzierać się samotnie przez ulice.

Prawie nikt. Dwie postacie szły główną ulicą w stronę Monastynu. Milcząco i w pośpiechu. Kot i dziewczyna. Zwierzak miał futro pokryte szronem, a dziewczyna, ubrana w gruby płaszcz, przyciskała szal do ust i nosa, żeby nie wciągać powietrza, które dosłownie kaleczyło płuca. Wydawało jej się, że droga, którą mają przed sobą, oświetlona latarniami, skryta we mgle, droga, która mieniła się milionami krysztalków szronu, droga, po której obu stronach w zamarzniętych oknach strzelistych kamienic widziała płonące ogarki, płomienie świec i czasem twarze przerażonych ludzi, którzy z niedowierzaniem patrzyli na dwie istoty, idące na spotkanie z Orszakiem Kostucha – zdawało jej się, że ta właśnie droga nie ma końca.

Ulica była cicha. Jakby cały świat trwał w niemym wyczekiwaniu na nieuniknione. W pewnej chwili dziewczyna zdała sobie sprawę, że słyszy echo własnych kroków, ale brzmiało inaczej niż zwykle. Każdy krok stukał ciężko jak kamień upadający na posadzkę.

Szli w milczeniu, coraz bardziej przyspieszając kroku. Wtedy z ciemności za ich plecami zaczął dobiegać jakiś odgłos. Dziewczyna nasłuchiwała uważnie.

*Szszuuu, szszszuuu, szszszuuu...*

*Dzyń! Dzyń! Dzyń!*

– Kocie, czy ty też to....

*Szszszuuu, szszszuuu, szszszuuu...*

*Dzyń! Dzyń! Dzyń!*

*Trzask! Trzask! Trzask!*

*Wycie! Przeciągłe wilcze wycie!*

– Chodu! – krzyknął Chowaniec.

Biegli najszybciej, jak potrafili. A za nimi niesły się odgłosy pościgu, który był coraz bliżej.

Chowaniec przyspieszył jeszcze bardziej. Skąd wziął w sobie tyle siły? – pomyślała. Może to dlatego, że ścigały go psy, a może dlatego, że nie chciał być pierwszym Kotem w Upiornym Orszaku Kostucha. Niezależnie od przyczyny wystrzelił do przodu, zostawiając za sobą Panią Klątwę.

*Szszszuuu, szszszuuu, szszszuuu...*

*Dzyń! Dzyń! Dzyń!*

*Trzask! Trzask! Trzask!*

Szał przeszkadzał jej w biegu. Wypuściła go, pofrunął w ciemność. Wciągnęła haust mroźnego powietrza, aż załzawiły jej oczy, ale nie mogła się zatrzymać. Musiała uciec, musiała dobiec do bram Monastynu i tam się schronić. Już je widziała.

*Szszszuuu, szszszuuu, szszszuuu...*

*Dzyń! Dzyń! Dzyń!*

*Trzask! Trzask! Trzask!*

Ujadanie wilków. Były tuż, tuż.

Kot pierwszy dopadł do bramy. Próbował ją pchnąć, ale wrota nawet nie drgnęły. Klamka! Metr nad ziemią znajdowała się mosiężna klamka. Doskoczył do niej, zawiesił się łapkami, ale ani drgnęła. Musiała zamarznąć. Odwrócił się. Widział dziewczynę, już prawie go dogoniła. A za nią...

– O żesz!.... – przeklął i zaczął jeszcze mocniej szarpać się z klamką.

Pani Klątwa biegła, ile miała sił w nogach.

*Szszszuuu, szszszuuu, szszszuuu...*

*Dzyń! Dzyń! Dzyń!*

*Trzask! Trzask! Trzask!*

Czuła na plecach oddech wierzchowców Kostucha. Nie wiedziała jednak, co się dzieje za nią. Gdyby się odwróciła, zobaczyłaby potężną chmurę ciemności, która pożerała miasto, a na tle tej chmury olbrzymie, monstrualne wręcz wilki, utkane z fosforyzującego lodu. Siedem wilków ciągnęło potężne sanie, na których stał większy od Monastynu Kostuch o twardych rysach, gniewnym spojrzeniu i z porożem jelenia na głowie. A za nim ciągnący się aż do nieba Orszak Upiorów.

*Szszszuuu, szszszuuu, szszszuuu...*

*Dzyń! Dzyń! Dzyń!*

*Trzask! Trzask! Trzask!*

Kot szarpał klamkę z całej siły, ale nie chciała się ruszyć. Klął we wszystkich językach, jakie znał, ale i to nie działało. Jeden ostatni raz obejrzał się za siebie.

Sięgnęła po niego ciemność i wielka ręka, utkana z kryształków lodu.

– To już koniec. – Przełknął ślinę.

*Bach!*

Dziewczyna całym ciałem naparła na drzwi.

Otworzyły się!

Wlecieli do środka i nim Kot zdążył się podnieść, Pani Klątwa zatrzasnęła drzwi za sobą, zatrzymując falę ciemności i mrozu, która chciała wtargnąć do środka.

– Udało się. – Przywarła plecami do drzwi i osunęła się na podłogę. – Uciekliśmy Kostuchowi. Tym razem.

Ale Kot już tego nie usłyszał. Zemdlał.

\*

– Tylko nie waz się o tym nikomu powiedzieć! – szeptał, gdy szli długim, ciemnym korytarzem Monastyru. – W szczególności Swółkowi!

– Dobrze, już dobrze – uspokoiła go. – Powiedz lepiej, dokąd teraz, bo nie chciałabym, żeby gryfici albo morłogowie nas złapali i wyrzucili na zewnątrz. Albo gorzej – oddali do dyspozycji Septimusa.

– Spokojna głowa – powiedział już nieco bardziej pewny siebie Chowaniec. – Święto Kostucha to szczególny czas, powiedziałbym: wręcz magiczny. Z kilku powodów. Po pierwsze: na te trzy noce morłogowie udają się na spoczynek w kryptach wszystkich Monastyrów. Po drugie: gryfici również, z tym że ich legowiska znajdują się pod dachami wież. Wszyscy kapłani natomiast są w swoich kwaterach. Słowem: jesteśmy tutaj całkowicie bezpieczni.

Pani Klątwa poczuła się nieco lepiej. Za murami szalał Kostuch ze swoim Upiornym Orszakiem, a w Monastyrze, choć pod nimi i nad ich głowami drzemali strażnicy tego miejsca, na razie nic im nie groziło. Kot podjął swój wywód:

– Podczas Czarnych Nocy powstają połączenia między różnymi uniwersami Wieloświata. Chociażby taki Kostuch. On nie do końca należy do naszego świata, a teraz po nim grasuje. Niesamowite rzeczy dzieją się z czasem i przestrzenią. A my, Koty, wiemy, jak to wykorzystać – dodał dumnie.

– No dobrze, a dlaczego idziemy akurat do Głównej Sali Monastyru?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, tam najłatwiej otworzyć przejście do Królestwa Myszy, a po drugie – tam kończyły się ślady, na które natrafił Swółek wraz ze zwiadowcami. – Chowaniec zamilkł i zamyślił się. Po chwili podjął. – Wydaje mi się, że Myszy nie są takie głupie. Zaczynam powoli rozumieć, co planują.

– Mianowicie?

– Szukają świata, który mogłyby zasiedlić. Nie możemy do tego dopuścić. – Na milczenie Pani Klątwy, z którego zaraz miało wyłonić się pytanie,

odpowiedział: – Pożarłyby tamten świat wraz z jego mieszkańcami.

Dalszą drogę pokonali w milczeniu.

Przed nimi rozpościerał się długi korytarz, który z rzadka rozświetlały pochodnie, umocowane w obręczach na ścianach. Korytarz spowijał półmrok, a potężne kolumny niknęły w ciemności.

*Tutaj jesteś bezpieczna*, powtarzała Pani Klątwa, żeby dodać sobie otuchy.

Na końcu korytarza zobaczyli uchylone drzwi Wielkiej Sali. Wtem Kot zatrzymał się.

– Ćsii – powiedział i dziewczyna zatrzymała się w pół kroku. – One tu są.

– Kto? – szepnęła.

– Myszy. Wyczuwam je. – Zaczął się rozglądać. – Słuchaj, idź do Sali i poczekaj tam na mnie, a ja sprawdzę coś w bocznym korytarzu, który mijaliśmy. – Nim zdołała cokolwiek powiedzieć, Chowaniec zawrócił i najciszej jak potrafił popędził w przeciwnym kierunku. Zniknął za zakrętem.

– Ten Kot... – Wywróciła oczami. – Zawsze chodzi swoimi drogami.

Ruszyła w stronę drzwi. Kiedy była już naprawdę blisko, również i ona coś usłyszała. Łkanie. Dochodziło z wnętrza Wielkiej Sali. Dziewczyna bardzo powoli podeszła do ogromnych drewnianych wrót i zajrzała do środka.

Z początku nic nie zobaczyła. Tylko długą salę spowitą półmrokiem, tę samą, w której była kilka dni temu podczas Uroczystości Poświęcenia. Wtedy wewnątrz wypełniali ludzie i gwar ich głosów, teraz świeciło pustkami. Prawie.

Na końcu jednej z bocznych ścian Wielkiej Sali zobaczyła wysokie witrażowe okno. Było otwarte. Do środka wpadał śnieg i odgłos dzwonek z oddali: ...*dzyń, dzyń, dzyń*...

Na podwyższeniu, obok ołtarza, w miejscu, gdzie jeszcze całkiem niedawno młodemu chłopakowi odrąbano rękę, klęczał przed ołtarzem potężny mnich. Miał na sobie ciemnobrązowy habit z naciągniętym kapturem. Zbliżyła się niepostrzeżenie i wsłuchiwała w jego słowa.

Zawodził ochryplym głosem:

– Matko, dlaczego oni mi to robią?

Szloch. Szum mroźnego wiatru.

– Odrzucili mnie... Okaleczyli... Ścigają i chcą potępić...

Dziewczyna podeszła bliżej, uważnie obserwując potężne plecy mnicha. Skradała się pod ścianą, za ławkami, nasłuchując uważnie niskiego głosu, który rozchodził się echem wśród murów Wielkiej Sali.

– Ja przecież ich nie zabijam... Biorę tylko niepotrzebne... Inaczej nie potrafię... Tak mnie stworzyli... I trochę od żywych...

Szum wiatru.

Ciche kroki. Podciągnięcie nosem.

– ...Samotność, wielka samotność...

Skrzypnięcie podłogi. *Cholera!* Zatrzymała się.

Mnich obrócił się gwałtownie. Dostrzegł ją. W półmroku zamiast twarzy zobaczyła parodię ludzkich rysów: jedno oko wyżej, drugie niżej, przekrzywione wargi. I łzy, które ściekały po policzkach.

Trupojad.

Potwór momentalnie zerwał się na nogi i jednym szybkim susem wyskoczył przez okno, które znajdowało się trzy metry nad ziemią.

...dzyń, dzyń, dzyń...

Mroźna czarna noc.

Śnieg sypał do środka.

\*

Kiedy Kot ją odnalazł, siedziała w ławie i przyglądała się rozecie nad ołtarzem. Dopiero teraz zauważyła, że rozeta przedstawiała jabłoń, dwie wężopodobne istoty i człowieka, który wyciągał w ich kierunku nadgarstek, aby go ukąsiły.

– Uciekły mi – oświadczył. – Ale mam ich trop, musimy się pośpieszyć, chodź za mną... – Patrzyła dalej. Dopiero teraz Chowaniec dostrzegł otwarte okno, zza którego było słychać odległe wycie. – A tobie co?

– Widziałam go. Widziałam Trupojada – powiedziała cichym głosem. – I powoli zaczynam domyślać się prawdy.

– Trupojada? – Kot wybałuszył oczy. – To świetnie, to znaczy, że ten twój, no wiesz, głos, miał rację. – Ucichł, po czym spytał: – Czyli nie idziesz ze mną?

– Idę. – Spojrzała na Chowańca. – To nasz kierunek. Prowadź. – Wstała.

Kot podszedł do ściany i nakreślił pazurkiem mały okrąg. Okrąg zaświecił i ukazało się przejście, czarny tunel, który cicho zasysał powietrze.

– To, co nas czeka dalej, jest dla mnie zupełną zagadką – powiedział. – Może być bardzo niebezpiecznie. W każdej chwili możesz się wycofać. To moja sprawa, więc zrozumieć.

– Nie – powiedziała stanowczo. – Chcę ci pomóc.

– Dziękuję. – Ukłonił się. – W takim razie... Gotowa?

– Gotowa.

Wskoczyli do środka.

\*

Wylecieli ze ściany i znaleźli się w pomieszczeniu, które Pani Kłątwie wydało się znajome. Pokój należał do dziewczyny. Stało w nim duże, dwuosobowe łóżko z czarnego metalu, nakryte białą pościelą. Oparcie łóżka dekorowały

migające światełka choinkowe. Obok stała szafka, a na niej leżały stosy książek. Była też szafa, z której wręcz wysypywały się dziewczęce ubrania. Do tego akwarium z rybkami, półka, na której leżały świece, skromny pojemnik na biżuterię. Pokój zdawał się opuszczony i to już od dłuższego czasu. Kiedy Kłątwa wciągnęła powietrze, poczuła znajomy zapach jabłka z cynamonem. Unosił się ze świeczki, która stała przy łóżku. Była podarkiem od bliskiej osoby – innej dziewczyny.

– Skąd ja to wiem? – spytała siebie, kiedy po raz kolejny wciągnęła przyjemnie kojarzący się zapach jabłka i cynamonu.

– Patrz. – Kot wskazał na podłogę. – Są ślady.

Dostrzegli fosforyzujący na zielono ślad, który ciągnął się wzdłuż dywanu i kończył za drzwiami.

– To Myszy, były tu – stwierdził Chowaniec. – Każdy, kto w Noc Kostucha porusza się między światami, zostawia tropy. Ruszajmy, ale bądźmy ostrożni. Wciąż mogą tu być.

Dziewczyna ostrożnie uchyliła drzwi i zobaczyła znajomy korytarz.

Biegła tamtędy nitka fosforyzującego śladu, która prowadziła do dużego pokoju. Bardzo cicho ruszyli w tamtym kierunku. Po drodze minęli kuchnię. Siedziała w niej kobieta, którą dziewczyna dobrze знаła. Odświętnie ubrana, w jednej ręce trzymała papierosa, w drugiej telefon. W jej oczach zbierały się łzy, a głos drżał:

– Sami już nie wiedzą, czy się wybudzi – mówiła do słuchawki, widać było, że zaraz wybuchnie płaczem. – Nie dają jej wielkich szans, jest na granicy...

– Chodź – mruknął Kot.

– Idę. – Zostawiła kobietę w kuchni i doszła za Chowańcem do końca korytarza.

Kiedy stanęli w progu dużego pokoju, zatrzymali się.

W pomieszczeniu stała szafa, meblościanka wypełniona książkami i telewizor, który transmitował właśnie z Watykanu przebieg bożonarodzeniowej mszy. Był też stół zastawiony dwunastoma daniami oraz trzema kompletami zastawy, w tym dla niespodziewanego gościa. Obok telewizora stała sztuczna choinka, nieduża, przystrojona w migające lampki, bombki, cukrowe aniołki, malowane srebrną farbą orzechy włoskie, figurki dziadka do orzechów i baletnicy, a całość wieńczyła srebrna gwiazda. Naprzeciwko telewizora drzemał mężczyzna. A wokół niego było pełno Myszy.

Myszy wiązały go włóczką, krępowały, przebijały plecy, ręce i uszy. Włóczka w niektórych miejscach wyglądała na bardzo starą, jakby krępowała mężczyznę od wielu lat.

Mimo że Myszy pracowicie go wiązały, nie obudził się. Jakby nic nie czuł.

Za to dziewczyna nagle poczuła wściekłość. Nie wiedziała, dlaczego. Po



prostu eksplodowała gniewem.

– Zostawcie go! – wybuchła, wpadając do pokoju.

Myszy dopiero teraz zorientowały się, że są śledzone. Szybko zerwały się i popędziły za choinkę, w stronę przejścia, które się tam znajdowało. Nie wszystkim się udało.

Pani Klątwa dorwała kilka w locie i z furją cisnęła nimi o ścianę. Od razu padły trupem. Jedną rozdeptała, a kolejną kopnęła tak mocno, że ta grzmotnęła w sufit i upadła nieprzytomna.

– Tam! – krzyknął Kot. – Ukryte przejście za drzewkiem!

Pobiegł, ale nim skoczył w czarny korytarz, zorientował się, że dziewczyna nie podąża za nim.

– Co robisz?! Przejście zaraz się zamknie! – zawołał za nią, ale Pani Klątwa nie ruszyła się. Wyrwała włóczkę z ciała mężczyzny i odrzucała ją na podłogę.

– Muszę mu pomóc... – mówiła. – Nie wiem, czemu... Jest mi bliski... To... – Uniosła kolejny metr włóczki. – To go krępowało przez lata. Muszę go uwolnić.

– Szybciej! – Chowaniec dostrzegł, że przejście się zmniejsza. – Tunel się zamyka!

– I ostatnia! – Wyrwała kawałek włóczki z pleców mężczyzny i skoczyła za Kotem.

W ostatniej chwili udało im się zmieścić w przejściu.

Nim poleciała w ciemność, rzuciła ostatnie spojrzenie na człowieka, którego oswobodziła z więzów. Właśnie się obudził, jakby wyrwał się z długiego snu. Wtedy przejście się zamknęło.

\*

Znajdowali się w długim korytarzu. Wszystko wskazywało na to, że byli pod ziemią: zapach gleby, korzonki zwisające z sufitu i mrok. Ciemność rozświetlały pojedyncze kule, porostawiane jak pochodnie wzdłuż całego korytarza. W kulach jarzyła się błękitem elektryczność. Pani Klątwa nie zastanawiała się nawet, jak to działało. Miała większe problemy.

– Kocie, dlaczego nagle jestem taka mała? – spytała Chowańca, który przy obecnym rozmiarze dziewczyny mógłby być jej wierzchowcem.

– Nie wiem – odparł Kot zgodnie z prawdą. – Może to konsekwencja przejścia przez prawie zamknięty portal, a może coś innego. Nie mamy czasu na zastanawianie się. Musimy uwolnić więźniów i rozprawić się z Królem Myszy i Astrologiem.

– Wiesz chociaż, gdzie jesteśmy albo dokąd powinniśmy ruszyć? – spytała szeptem.

– Wiem tylko tyle, że gdzieś w okolicy musi być Królestwo Myszy.

Stali tak przez moment w podziemnym korytarzu, kiedy odpowiedź na pytanie, w którym kierunku powinni ruszyć, przyszła z odległym miauknięciem.

– Tam! – szepnął Chowaniec.

Przez pewien czas szli naprzód, spodziewając się, że za moment zza zakrętu wyskoczy na nich patrol Myszy jadących na szczurach. Na razie jednak mieli szczęście. Nikt się nie pojawił, a miauczenie rozbrzmiewało coraz bliżej.

W pewnej chwili korytarz przeszedł w długie pomieszczenie. Nie było bardzo wysokie, ale w górze widzieli snopy światła, które wpadało przez szyby. Musieli być zatem dość płytko pod ziemią. Co więcej, po obu stronach pomieszczenia znajdowały się wydrążone w twardej glinie cele, zamknięte kościanymi kratami. A w celach dziesiątki kotów: wygłodzonych, brudnych i okaleczonych.

Jedynymi strażnikami były dwie Myszy, które chodziły wzdłuż krat z długimi szydełkami i raz na jakiś czas dla sadystycznej uciechy dźgały więźniów.

Nim dziewczyna zdążyła cokolwiek zrobić, Chowaniec doskoczył do pierwszego strażnika i odgryzł mu głowę. Drugi zdołał przebiec kilka kroków w stronę przeciwnego korytarza, a kiedy uznał, że nie zdoła uciec, odwrócił się, by zaszarżować na Kota, ale było już za późno. Chowaniec jednym brutalnym machnięciem przybił go pazurkami do podłoża. Mysz zakaszła krwią i umarła.

Chowaniec zaczął w szale biegać wzdłuż cel.

– Gdzie jesteście? Gdzie jesteście? – wołał. Wtem zatrzymał się przed jedną z krat. Mocnym uderzeniem łapy wyrwał zamek i uwolnił więźniów.

Pierwsza wyszła biała kocica. Była cała brudna, wokół pyszczka miała zakrzepłe ślady krwi, pozostałe po dźgnięciach szydełkiem. Chowaniec polizał ją i zaczął mruzczyć. Zaraz potem wyszły cztery malutkie kociaki. Jeden nie miał ucha. Kot, pomimo świadomości wiszącego nad nimi niebezpieczeństwa, lizał je wszystkie z czułością.

– A gdzie ojciec? – spytał.

Kotka pokręciła smutno głową.

– Wzięli go.

Chowaniec miauknął z wściekłości.

– Zapłacą za to! – krzyknął, po czym przeklął po kociemu. – Ale na zemstę jeszcze przyjdzie pora. Teraz szybko, pomóż mi ich uwolnić – powiedział do żony.

– Aha, a to jest Pani Klątwa – mruknął w stronę dziewczyny, która wciąż stała przy wejściu i pobiegł rozwalać kolejne zamki ciasnych cel.

– Miło mi. – Kotka ukloniła się. – Myślałam, że jesteście większe.

– To długa historia.

– Z pewnością. Dziękuję za pomoc.

– To nic takiego...

– Te baby! – zawołał z rezygnacją Chowaniec. – Zawsze muszą plotkować,

choćby zaraz miał wpaść tu regiment Myszy i nas wyrznąć. Pomóżcie nam!

Nie minęła minuta, a wszystkie cele były otwarte.

Chowaniec zauważył, że brakuje wielu spośród tych wszystkich poranionych i słabych kocic oraz kociąt. Chciał uratować choć tę garstkę.

Spojrzał w górę. Nad nim był wylot szybu, zakryty kratą z kości. Podskoczył, wybił przejście.

– Szybko, niech matki pomogą młodym – zarządził. – Myszy zaraz tu będą.

Kocice zaczęły przerzucać młode na zewnątrz.

– Poradzisz sobie? – Chowaniec spytał żonę. – Obiecuj mi, że zaprowadzisz ich w bezpieczne miejsce. Powiadom Swołka. On wie, co robić.

– Tak, ale dokąd... Przecież już traciłam nadzieję, że cię jeszcze spotkam. – Biała kotka zaczęła miauczeć, lecz Chowaniec jej przerwał.

– Muszę to zrobić. Muszę zabić Astrologa i Króla. Inaczej wrócę. – Otarł się o nią z czułością. Potem dotknął łebkiem każde z kociąt.

Pani Klątwa patrzyła na to z daleka.

Mimo że Chowaniec na co dzień zachowywał się w stosunku do niej złośliwie, w tej jednej chwili zdała sobie sprawę, że jest kimś więcej niż zwykłym humorzystycznym Kotem. Na pewno dla tych czterech kociąt i białej kotki. Choć nie chciała się do tego przed sobą przyznać, poczuła, jak szczypią ją oczy.

Wtedy zauważyła w oddali mysie ślepie.

– Kocie! – zawołała. – Patrz!

Mysz szybko zawróciła na swoim szczurzym wierzchowcu i pognęła w dół korytarza.

– Wróć – obiecał żonie Kot, a potem krzyknął do dziewczyny: – Wskakuj na mój grzbiet.

Zrobiła, jak kazał, mocno chwytając się jego sierści. Razem ruszyli w pogoń za Myszą.

Kot nie wiedział, że po raz ostatni widzi swoją rodzinę.

\*

Gnali na złamanie karku.

Pani Klątwa z całej siły tuliła się do Kota, żeby nie spaść. Czowała jego zapach, czowała kocie feromony, którymi nasiąknięte było jego futro.

Nie widziała zbyt wiele, tylko szybko umykające ściany tunelu, smugi światła, korzenie, odnogi korytarzy. Pędzili cały czas w dół, robiło się coraz cieplej.

Wróg był jednak ciągle na prowadzeniu. Wydawało mu się, że zdoła uciec i zaalarmować pozostałe Myszy. Ale tylko mu się tak wydawało. W jednej chwili dziewczyna poczuła, jak Kot odbija się od podłoża i doskakuje do szczura, wbijając

w niego pazury. Zasyczał, Mysz spadła z wierzchowca. Szarpnęło, ale Pani Kłątwa utrzymała się na grzbiecie. Kot błyskawicznie przegryzł szczurowi gardło i dopadł przeciwnika. Już chciał zapytać, gdzie leży mysie Królestwo, ale wróg był martwy. Spadając z wierzchowca, Mysz musiała nabić się na wystający z ziemi korzeń. Jej ciało wisiało na nim bezwładnie.

Kot przeklął.

– Spokojnie – rzekła Pani Kłątwa. – Jeżeli gryzoń biegł w dół, to znaczy, że kierował się w stronę, gdzie Myszy jest więcej.

– Słuszna uwaga – mruknął Kot. – Podążajmy więc w dół. – Znow zerwał się do biegu.

Nie minęło nawet kilka minut, kiedy dotarli do końca tunelu. Wtedy właśnie ujrzeli podziemne Miasto Myszy.

– Nieźle – powiedziała z uznaniem dziewczyna.

– Z niechęcią, ale zgodzę się z tobą – przyznał.

Przed nimi rozpościerał się widok na olbrzymią, wydrążoną w ziemi komnatę. Była jeszcze większa od Monastynu. Ze sklepienia zwisały potężne stalaktyty, w których wnętrzach wydrążono okna i leża Myszy. Podłogi nie widzieli, komnata musiała sięgać dziesiątki, jeżeli nie setki metrów w dół, gdzie rozpościerała się ciemność, rozjaśniona punkcikami elektrycznego światła. Na środku komnaty wyrastał olbrzymi zamek-kopiec w kolorze piaskowca, do którego ze wszystkich stron prowadziły mosty i kładki. Na samym szczycie zamku znajdował się taras, na którym stał tron, a nad nim wisiała olbrzymia kula elektryczności, która jarzyła się błękitnym światłem.

– To musi być dzieło Astrologa – przemówił Kot. – Na pewno jest na górze. Podobnie jak Król. Ruszajmy...

– Czekaj. – Zatrzymała go. – Czy ciebie też niepokoi to, że nikogo tutaj nie ma? Żadnej Myszy, żadnego szczura. – Zaczęła się rozglądać. Widok, który rozpościerał się przed nimi, napawał ją niepokojem. Zastanawiała się, jak długo Myszy drążyły podziemia, aby stworzyć tak potężną metropolię. Przecież nawet gdyby Szczurołap z Hameln odwiedził Aerie sto lat wcześniej, nie zdążyłyby w tak krótkim czasie wydrążyć tych wszystkich korytarzy i zbudować miasta...

– Tak, czuję niepokój. – Chowaniec kiwnął głową. – Ale pamiętaj, że wciąż trwa Noc Kostucha. Myszy mogą teraz podróżować między światami. Albo spać.

Wtem Pani Kłątwa coś dostrzegła. Martwego kreta. Wisiał przybity nad jedną z bram wjazdowych do Miasta Myszy. Był okrutnie pokaleczony, jego truchło musiało trafić tam niedawno. Nagle wszystko zrozumiała.

– Krety – powiedziała sama do siebie.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się Chowaniec.

– Tysiące martwych kretów – wciąż mówiła, nie odwracając się do Kota. – Myszy zniewoliły je, zmusiły do okrutnej pracy przy budowie Królestwa, do

drażenia w ziemi aż do zdercia pazurów, a potem... – Spojrzała w otchłań i zobaczyła stos trupów. – Nie możemy im pozwolić zniewolić innych istot – zwróciła się do towarzysza.

– O tym właśnie mówiłem – mruknął. – Myszy są okrutne i wyrachowane... A teraz wskakuj na mój grzbiet, coś czuję, że mamy mało czasu.

– Racja, ruszajmy. – Ukuła go w bok oficerkami niczym ostrogami. – Ale bądź ostrożny.

– Będę.

Bardzo powoli szedł mostem, ostrożnie stawiając kroki. Pani Klątwa spojrzała w dół i zakreśliła jej się w głowie.

Zbliżali się do uchylonych bram. Nasłuchiwali. Nic, jedynie syczenie błękitnej kuli nad nimi. Dotarli do wrót, weszli do środka. Ani jednej Myszy. Jedynie olbrzymi plac, po bokach strzeliste mury i wieża pośrodku.

– Musimy ruszyć na górę – szepnął Kot, wskazując łebkiem wieżę, którą otaczały z zewnątrz kręte schody. Na jej szczycie znajdował się tron i kula elektryczności.

Fantastyczny widok zapierał Pani Klątwe dech w piersiach. Ale nie tylko on. Wzięła głębszy wdech i zakaszła. Smród siana i mysich odchodów na moment odebrał jej oddech.

– Cicho – zgromił ją Chowaniec.

– Przepraszam – odszepnęła. Zdawało jej się, że coś poruszyło się na szczycie wieży.

Dziewczyna przywarła mocniej do Chowańca, kiedy ten zaczął wspinać się po stromych, krętych schodach, co pewien czas skacząc kilka stopni wzwyż. Raz prawie odpadła od grzbietu, kiedy Kot znalazł się w pozycji niemal pionowej. Zamknęła oczy.

Kiedy przestała słyszeć szum powietrza, otworzyła powieki. Byli na górze, na samym szczycie Miasta Myszy.

Zeszła z grzbietu Chowańca i rozejrzała się. Roztaczał się stąd imponujący widok na całą komnatę, w której się znajdowali. Pani Klątwa przyglądała się jak zahipnotyzowana wielkiej kuli elektryczności, którą miała nad sobą. Zobaczyła w jej wnętrzu coś dziwnego. Jakby drugą kulę w środku, od niej zaś odchodziły liczne tunele. Coś się w nich poruszało. To były Myszy. Tysiące, miliony Myszy. Zmierzały w kierunku niezliczonych innych kul. Szybko zdała sobie sprawę, że to nie żadne kule, a światy. Były przeróżne, nieskończone. A wśród ich mnogości jej uwagę przykuła niebieska planeta. Była perłą spośród wszystkich rzeczywistości Wieloświata. Myszy wyruszały eksplorować różne światy, w tym niebieską planetę, a to znaczyło, że...

– Kocie. – Odwróciła się do zwierzaka, ale jego już nie było. – Kocie, gdzie jesteś? – Rozejrzała się, ale wokół widziała tylko pustą przestrzeń, nie licząc

czterech pomostów przecinających szczyt wieży. Na jednym z nich, na podwyższeniu, stał tron. Był tak duży, że nie widziała, co jest po drugiej stronie. Na drugim i kolejnym pomoście znajdowały się punkty widokowe. A na ostatnim umocowana była luneta astronomiczna. Stamtąd zaatakował wróg.

To stało się nagle. Mysz natarła na Kłątwę ostrym szydełkiem. Była zbyt blisko, by dziewczyna mogła uniknąć ciosu. Mysz z całą nienawiścią wbiła jej ostrze w brzuch, a potem uniosła w górę jak szmacianą lalkę.

– Aaa! – Pani Kłątwa zawyła, a mysi Astrolog uśmiechnął się złośliwie. Miał na sobie długą fioletową szatę w złociste gwiazdy i spiczasty kapelusz z rondem.

– Nic nie przeszkodzi nam pożreć tych wszystkich światów. – I podniósł ją jeszcze wyżej. Kurczowo ścisnęła palcami zimną stałą szydełką. Czują, jak czerwona posoka spływa po jej rękach, ale nie potrafiła się wyrwać. Prawy bok potwornie bolał. – Ani Pani Kłątwa, ani...

Czarny cień, świst powietrza.

*Trzask!*

Mysz nie dokończyła zdania. Pani Kłątwa poczuła, jak Astrolog puścił szydełko i poleciała na zimną posadzkę.

Zawyła. Ledwo zdołała wyciągnąć ostrze z brzucha. Znowu zawyła z bólu. Dostrzegła, że Kot pojawił się znikąd, a potem trzasnął Astrologa łapą. Tamten padł na ziemię, plując krwią.

– Zapłacicie mi za to – syczał. – I tak już jest za późno. Inwazja się rozpoczęła. Nie zdążycie przerwać połączenia. Ja i mój Król...

– Zamilcz, padalcu – rozkazał Kot i wziął go zębami za kark. Mysz nawet się nie szamotała, bo od razu złamał jej kręgosłup, choć nie zabił.

Chowaniec zaniósł ją przed tron i upuścił na ziemię.

– Oto twój Król. – Wskazał łapą.

Przed Astrologiem stał wielki tron. Na nim siedziała gruba Mysz, odziana w królewskie szaty i koronę z kocich zębów. Miała wielki brzuch i bardziej przypominała kreta niż Mysz. Drzemała z czarką wina w dłoni. Astrolog szybko zorientował się, że Król wcale nie śpi. Tak naprawdę nie żyje. Kot szybkim pociągnięciem pazura poderżnął mu gardło, korzystając z jego pijackiego snu.

– A teraz ty zapłacisz mi za to. – Kot wskazał na podłogę: u stóp martwego Króla Myszy leżała odcięta głowa kota. Należała do ojca Chowańca.

Astrolog zacharczał, śmiejąc się. Kot ponownie przeniósł go na środek tarasu, pod samą kulę. Potem położył na ziemi i chwycił szydełko w pyszczek.

– Mylisz się – powiedział z szydełkiem w zębach. – Wiem, jak was powstrzymać. Wystarczy zniszczyć kulę, którą stworzyłeś. – A potem wbił ostrze w brzuch Astrologa. Ten zawył. Kot chwycił drugi koniec szydełka, uniosł ciało żyjącego jeszcze wroga w powietrze, wziął zamach i z całej siły cisnął nim o kulę. Mysz wrzasnęła, a potem stanęła w płomieniach. W powietrzu rozszedł się zapach

palonej sierści i mięsa. Na kuli pojawiły się pierwsze pęknięcia.

– To moja zemsta – powiedział Kot, a potem doskoczył do dziewczyny i pomógł jej wdrapać się na swój grzbiet.

– Trzymaj się! – krzyknął. – Zaraz to wszystko się rozsypie! – I popędził w dół wieży.

Tymczasem na elektrycznej kuli pojawiało się coraz więcej pęknięć.

\*

Pani Klątwa na przemian mdlała i budziła się, wciąż kurczowo trzymając się sierści Kota. Czowała podmuch powietrza, Chowaniec znowu biegł tunelem. Usłyszała huk eksplozji, a zaraz potem poczuła tąpnięcie.

Korytarz za nimi zapadał się.

– Kocie, szybciej – jęczała mu do ucha, tracąc coraz więcej krwi.

– Jeszcze chwila – zapewniał. – Zdamy, zaufaj mi.

Przyspieszył. Czowała cieplejszy podmuch powietrza, co oznaczało, że zbliżają się do wyjścia. Nagle usłyszała okrzyki. Pościg był już blisko.

Kot biegł, ile tylko miał sił. Czowała, jak jego serce bije z oszałamiającą prędkością. Teraz nie mógł się zatrzymać, napędzała go adrenalina. Dokonał tak wiele, musiał się tylko stąd wydostać. I uratować dziewczynę. Byli już blisko. W pewnym momencie zatrzymali się.

Kot położył ją na ziemi i wybił wyjście w szybie ponad nimi. Już chciał podrzucić Panię Klątwe w górę, kiedy dopadły ich Myszy. Dziewczyna była bezbronna. Leżała na ziemi, a z jej brzucha ciekła ciepła krew. Kot zaciekle jej bronił.

Myszy było pięć. Wszystkie dosiadały szczurzych wierzchowców i miały lance z szydełek.

Pierwsza zaszarżowała na Kota, dźgnęła go celnie w lewą łapę, ale Chowaniec szarpnął nią, Mysz wyleciała z siodła, a wtedy przeciął ją w powietrzu. Pyszczeniem wyrwał szydełko, które sterczało mu z łapy i cisnął nim w szczurę. Zabił go na miejscu. Dwie kolejne Myszy zaszarżowały z obu stron. Kot miał dwa wyjścia: albo uniknąć ciosów i pozwolić, by wrogowie dopadli dziewczynę, albo przyjąć ostrze na pierś. Wybrał drugą opcję.

Zawył, kiedy metal rozdzierał jego futro i skórę. Szybko jednak pozbawił życia dwóch napastników. Zostało jeszcze dwóch. I cztery szczury. Myszy wykorzystały szansę i okaleczyły tylne łapy Kota, po czym odbiegły, formując szyk.

Chowaniec zawył.

Kolejne tąpnięcie. Wstrząs.

Korytarz zaraz się zawali, pomyślał.

Szczur natarł na dziewczynę, ale Kot wydrapał mu oczy, a potem przegryzł krtań.

Pani Klątwa, ledwo przytomna, nagle poczuła chłód. One przybyły.

Słyszała wrzask Myszy, słyszała rozpaczliwe, pełne furii miauczenie i odgłosy konania kolejnych wrogów. Ale z każdym śmiercionośnym machnięciem Kot tracił coraz więcej krwi. Pokonał już prawie wszystkich. Ostatnia Mysz wbiła mu szydelko w oko. Kot rozszarpał ją na strzępy, a potem to samo zrobił z jej wierzchowcem.

Wszędzie była krew. Znowu zadrżała ziemia.

– Musisz mi wybaczyć – usłyszała jego głos. – Nie dam rady uratować nas obojga. Zdołam wyrzucić tylko ciebie. – Chciała coś odpowiedzieć, ale nie potrafiła. Była zbyt słaba. One już tu przybyły: Śmierć i Uczennica. Kot chwycił Klątwę w pyszczek, ale zaraz wypuścił. Zasłabł. Krew i życie coraz szybciej opuszczały jego ciało. – Piękno i cierpienie – Chowaniec szepnął jej do ucha. – To jedyne pewne rzeczy, które łączą wszystkie światy. I nas. Nie zapomnij o mnie. – A potem ostatkiem sił poderwał ją i nieziemskim wysiłkiem zdołał wyrzucić przez szyb.



## Rozdział X

### Vermisytą

Obudziły ją promienie słońca. Zmrużyła oczy, ale słońce dalej drażniło. Z początku oślepiła ją jasność i jaskrawość barw. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że leży w łóżku, pod białą pierzyną. Pachniało świeżością. Łóżko z kolei znajdowało się w niedużym, równie jasnym pomieszczeniu o drewnianych ścianach. Obok niej stała miska z wodą, a na krześle wisiały ubrania. Na wprost znajdowały się drzwi, a po prawej stronie okno, przez które wpadały promienie słońca. Za oknem wyrastał las, a dzień wyglądał na pogodny.

Podniosła się i od razu syknęła. Zabolął ją prawy bok. Zajrzała pod kołdrę. Oprócz bandaża i bielizny nie miała na sobie nic więcej. Była zdezorientowana i niewiele pamiętała. Bardzo ostrożnie podniosła się i sięgnęła po ubrania. Postanowiła dowiedzieć się, gdzie się znajduje i kto ją opatrzył.

\*

Wyszła na zewnątrz małej, drewnianej chatki pośrodku jodłowego lasu. Wszystko spowijała gruba warstwa śnieżnego puchu, który odbijał promienie słońca.

Od drzwi chatki prowadziła w stronę traktu wąska ścieżka. Na tyły domu wiodła z kolei wydeptana dróżka – stamtąd niósł się odgłos rąbania drewna.

Dziewczyna podążyła po śladach i za rogiem zastała gospodarza. Wyglądał niegroźnie, a nawet komicznie.

Młody, wysoki mężczyzna w okularach, z blond włosami postawionymi na sztorc, w za dużym swetrze w renifery i w niezgrabnie zawiązanym czerwonym szaliku próbował rąbać drewno, wydając przy tym dziwne odgłosy. Wyglądał jak typowy naukowiec, starający się empirycznie poskromić opór materii klocka drewna przy wykorzystaniu siekiery i sił grawitacji oraz pędu. Nieskutecznie. Klocek co chwilę odskakiwał, a spocony chłopak w pewnym momencie cisnął siekierę na bok i otarł czoło rękawem.

– Nic z tego nie będzie – powiedział do siebie zrezygnowany i ruszył w stronę chaty. Miał zaparowane szkła okularów i nie zauważył Pani Klątwy. W zasadzie to prawie na nią wpadł.

– Dzień dobry – powiedziała, gdy zmierzał ku niej niechybnie kolizyjnym kursem i był o krok od zderzenia.

Odkoczył przestraszony i upadł w śnieg, gubiąc po drodze okulary.

Uśmiechnęła się.

– Ojjoj, to Pani! – zorientował się, mrużąc oczy. – Nie zauważyłem, proszę mi wybaczyc.

– Nie szkodzi. – Pomogła mu wstać i podała okulary. – Proszę bardzo.

– O, dziękuję. – Przetarł szkła i włożył okulary na nos. – Tak lepiej, bez nich jestem zupełnie ślepy – wyznał. Schylił się w jej stronę i wyciągnął dłoń. – Nazywam się Swawełek, do usług.

– Pani Klątwa, bardzo mi miło.

– Tak, wiem, on mi już to mówił.

– Kto?

– Oj, Dale – wyjaśnił, a widząc jej minę, wziął dziewczynę pod rękę. – Może chodźmy do środka. Tam, przy odrobinie ciepłej herbaty, opowiem o wszystkim.

\*

– Proszę bardzo. – Postawił przed nią blaszany kubek z gorącym naparem.

– Dziękuję. – Upiła łyk. Czarna herbata z wiśniówką.

Swawełek sięgnął do garneczka zawieszzonego na niedużym palenisku w rogu pomieszczenia i żeliwną chochlą zaczerpnął zawartość do swojego kubka. Dosiadł się do dziewczyny, uśmiechnął nieporadnie. Kiedy przyjrzała mu się dokładniej, stwierdziła, że nie był taki młody; miał sporo zmarszczek. Ale wciąż posiadał młodzieńczy urok.

– To od czego chciałaby Pani zacząć? – spytał grzecznie, wręcz potulnie.

– Jak się tu znalazłam?

– Oj, dobre pytanie – mruknął. – Może zanim do tego dojdziemy, ja zapytam, co Pani pamięta?

– Hmm – skoncentrowała się. – Pamiętam, że byłam z... – Nagle wróciły wspomnienia. Chowaniec. Odszedł. Poczula ból na wysokości splotu słonecznego i łzy w oczach. Swawełek zmarszczył brwi. – Byłam z moim przyjacielem – powiedziała łamiącym się głosem. – W podziemiach, w Mieście Myszy. Obronił mnie przed nimi, a sam zginął. Oddał za mnie życie. – Spuściła głowę.

– Przykro mi to słyszeć – odpowiedział. – Musiał być dzielnym człowiekiem.

– Kotem.

– Słucham?

– Był Kotem, nazywał się Chowaniec – powiedziała cicho.

– Oj, Chowaniec... – Coś zaczęło świtać w głowie Swawełka. – Dale wspominał o nim. W każdym razie bardzo mi przykro. Jeżeli nie jest Pani w stanie

...

– Nie, możemy rozmawiać. – Kiwnęła głową i napiła się herbaty z

wiśniówką.

Nastała cisza. Szumiało jej w głowie. Chowaniec, ten paskudny, złośliwy Kot, oddał za nią życie, a teraz... Nie mogła się rozkleić. Zbyt dużo dla niej poświęcił, musiała iść do przodu. Wytrzymać, wyjaśnić wszystko. Czas na żalobę jeszcze przyjdzie. Pociągnęła nosem.

– I nie mów do mnie Pani. Wystarczy Klątwa.

– Dobrze. – Kiwnął głową. – Czyli byłaś w Mieście Myszy? – Zmrużył oczy. Zastanawiał się, czy to, co mówi dziewczyna, jest prawdą, czy wynikiem gorączki i utraty dużej ilości krwi. Skinęła głową. – A ranę masz z tamtego starcia?

– Tak. Mysi Astrolog przebił mnie szydełkiem.

– Mysi Astrolog, szydełkiem – powtórzył, kiwając głową. – Oj.

– Tak, wtedy byłam bardzo mała, ale widzę, że odzyskałam już normalny rozmiar. Jesteś w stanie to wytłumaczyć? – Spojrzała mu w oczy.

– Ehm... Nie bardzo. – Podrapał się po głowie. – Czyli mówisz, że ta rozległa rana, którą ci opatrzyłem, była zadana... szydełkiem?

– Tak. – Zobaczyła powątpiewanie w jego spojrzeniu. – Oczywiście, że tak! Jakkolwiek nieprawdopodobnie to brzmi.

– Wierzę ci – uspokoił ją, nie będąc do końca przekonany, czy zabrzmiało to wystarczająco szczerze. – To znaczy, przyznam, że wydaje się to niezwykle, ale... Cokolwiek zadało ci tą ranę, miałaś szczęście, że na czas cię opatrzyłem.

– Dziękuję, że mnie uratowałeś.

– No, to nie do końca byłem ja, oj... – Skrzywił się. – To znaczy ja cię opatrzyłem. Powtórnie. Wcześniej dokonał tego ktoś inny. Ktoś, kto cię tu przyniósł. We mgle.

– Kto?

– Oj, Trupojad.

\*

Od dłuższego czasu siedziała w milczeniu. Na zewnątrz zaczynało się powoli ściemniać.

Swawelek niedawno wyszedł narąbać trochę drwa. Chciał dać jej nieco czasu, żeby oswoiła się z informacjami, które jej przekazał. I przy okazji zgromadzić drewno, jednocześnie nie zabijając się siekierą. Zapowiadała się długa, zimna noc. Nie chciał, żeby zmarzli.

Dziewczyna siedziała sama przy okrągłym stole, patrzyła w ogień kominka i żeliwny garnczek, z którego parowała herbata z wiśniówką. U sufitu wisiał czarny żyrandol. W pomieszczeniu były jeszcze trzy krzesła i skóra z dzika rozłożona na podłodze. I tyle. Wystrój był prosty, wręcz ascetyczny.

Pani Klątwa zastanawiała się, co ją bardziej zdziwiło: czy to, że istota zwana

Trupojadem uratowała ją i przyniosła do chaty Swawełka, czy może fakt, że od trzech tygodni leżała w łóżku nieprzytomna, czy wreszcie to, że przypadkiem w chacie Swawełka pojawił się Dale, który przywiózł część jej rzeczy z miasta.

Że też zawsze musi znajdować mnie, jak leżę nieprzytomna, pomyślała.

Wcześniej zjedli ze Swawełkiem obiad, a teraz siedziała przy stole, rozmyślając.

Zdażyła sprawdzić, jak wygląda rana pod opatrunkiem. Swawełek zaproponował pomoc, lecz uznała, że woli nie obnażać się przed nim. Słyszając te słowa, zaczerwienił się. I wydobył z siebie nerwowe: „oj”.

Pod bandażem rana była już prawie zablizniona. Bolało tylko kiedy się schylała. Przejechała palcem po bliźnie. Przypomnił jej się Chowaniec. Oczy zaszklily się.

– Potrzebujesz czegoś do kąpieli? – zapytał gospodarz zza drewnianych drzwi.

– Nie, dziękuję. – Opanowała głos, otarła łzy. Potem wykąpała się w małej balii.

Swawełek intrygował ją. Na pierwszy rzut oka nieporadna gapa w za dużych ubraniach. Ale pod tą powierzchownością kryło się coś więcej. Coś, co ją niepokoiło. I ten irytujący tik nerwowy. Miała wrażenie, że chłopakowi przytrafiło się coś strasznego. Mógł być świadkiem okropieństw, których pamięć skrywał głęboko w sobie, a jedynym świadectwem tego było wyrzucane z siebie mimowolne „oj”.

Teraz siedziała przy stole i patrzyła w ogień na kominku. Do środka wszedł Swawełek z porąbanymi kanciasto kawałkami drewna; rzucił je obok paleniska.

– Powinno nam wystarczyć na dzisiaj – dodał wesoło, ściągając szalik. Po chwili dosiadł się do niej. – Jeżeli czegokolwiek będzie ci brakowało, powiedz.

– Dziękuję, powiem.

– Dale kazał mi się o ciebie troszczyć – dodał. – Jesteś dla nas niezwykle cenna.

– Słucham? – Zwróciła uwagę na słowa: *dla nas*.

– Oj... – Wyraźnie się zakłopotał. – Czyli nic ci jeszcze nie powiedział?

– O czym miał mi powiedzieć? – Zmrużyła oczy.

– No to się porobiło – mruknął do siebie. – Słuchaj, oj, jeżeli on nie wtajemniczał cię w nasze sprawy, to może poczekajmy, aż przyjedzie. Wszystko wyjaśnimy w nocy...

– Nie – powiedziała ostro. – Nie chcę czekać do nocy. Chcę wiedzieć, o jakich sprawach mówisz. – Nagle poczuła wściekłość. Na Dale'a, że wykorzystuje ją do jakiś celów, i na siebie, że kolejnej osobie pozwala sobą manipulować. Mężczyzna dostrzegł te płomienie w oczach.

– Dale urwie mi głowę. – Zaczął nerwowo kręcić się na krześle. – Może po

prostu udajmy, że tej rozmowy nie było, a jak tylko przybędzie...

Wstała.

– Swawełek – powiedziała twardo. – Albo powiesz mi natychmiast, o co chodzi, albo wyjdę. I więcej mnie nie spotkacie. Żaden z was.

Wciągnął głęboko powietrze, a potem wypuścił je z głośnym świstem.

– No dobrze, ale usiądź, proszę. – Zdjął okulary i potarł je nerwowo końcem rękawa. Usiadła, obserwując go bacznie. – To, co ci powiem... Zmieni całkowicie twój punkt widzenia na wszystko. I nie osądzaj mnie. Naprawdę nie wiedziałem, czym się tam zajmują.

– Gdzie? O czym ty mówisz?

– Oj, o Vermiserium – powiedział z trudem, a potem przełknął ślinę. – Miejscu, z którego pochodzi wszystko, co masz tutaj. – Dotknął długim palcem czoła dziewczyny. – W twojej głowie.

\*

Przyglądała mu się bacznie, kiedy obluźowywał jedną z desek w podłodze, a potem wyjmował zawinięty w ciemny materiał pakunek. Wcisnął deskę na miejsce i wrócił z pakunkiem do stolika.

Milczał. Na zewnątrz niebo nabrało granatowego odcienia, pojawiły się gwiazdy, nad ziemią unosiła się mroźna mgła, a wraz z nią między drzewami zaczęły zawodzić pierwsze upiory.

W pomieszczeniu jedynym źródłem światła był ogień z kominka oraz trzy świece w kandelabrze.

– Co chcesz mi powiedzieć? – spytała, kiedy milczenie zbyt się przedłużało.

– To nie jest takie proste – odpowiedział. – Liczyłem, że Dale ci o wszystkim powie, taki mieliśmy układ, ale on...

– Nie powiedział mi – odparła. – Masz okazję być pierwszy. Uwierz mi, niewiele rzeczy jest już w stanie mnie zadziwić po ostatnich wydarzeniach.

– Skoro tak mówisz, to patrz. – Zdjął ciemny materiał. Pod jego warstwą był najzwyczajniejszy na świecie słoik. Ale to, co się w nim unosiło, nie było już tak zwyczajne.

– Co to jest? – spytała bardzo powoli Pani Klątwa, obserwując unoszącego się wewnątrz słoika robaka. Był biały, długi na palec, fosforyzował w ciemności. Trudno było określić jego położenie. Niby unosił się pośrodku, ale jednocześnie jakby wibrował, wydawał się smugą w innych miejscach.

– To, oj, jest najniebezpieczniejsza istota w Wieloświecie – odparł Swawełek. – I masz ją dokładnie tu – postukał się po czole. – Między uszami.

– O czym ty mówisz? – Dziewczyna poczuła się nieswojo. Patrzyła na robaka i sama myśl o tym, że mogłaby go mieć w głowie, przyprawiała ją o ciarki.

– A to – wskazał palcem fiolkę z Esencją, która wisiała na łańcuszku między

piersiami dziewczyny – to czyni nas zależnym od nich. – Postukał w słoik. Robak od razu zaatakował palec, ale szkło było zbyt grube. – Spokojnie, to nie jest zwykły pojemnik. Tak łatwo się nie przebije.

Dopiero teraz dziewczyna zdała sobie sprawę, że mężczyzna nie ma na szyi własnej fiolki z Esencją.

– A gdzie jest twoja? – spytała.

– Ja jej już nie potrzebuję – odparł. – Bo to, co siedzi w słoiku, kiedyś było w mojej głowie.

– Czyli chcesz powiedzieć, że ja... Że tam w środku mam...? – Zebrało jej się na wymioty.

– Oj, nareszcie zaczynasz łapać! – ucieszył się rozbrawiająco.

Zemdlała.

\*

Kiedy ją ocucił, leżała na ziemi.

– Czy ja długo...?

– Nie, kilka minut – uspokoił ją. – To normalne, Dale też zemdlął.

– Jak to? Dale? Ale...

– Oj. To, co teraz słyszysz, może być szokujące, to normalna reakcja. Usiądź przy stole, a ja zaparzę ci coś na nerwy. I spokojnie, już to schowałem. – Pomógł jej usiąść z powrotem przy stoliku. Na blacie nie było już tego przerażającego, ohydneho robala.

– Jeżeli cię to pocieszy – powiedział, sypiąc garść ziół do żeliwnego garneczka, w którym gotowała się już woda – to też mam jeszcze pozostałości w głowie. Dalej mi tam krąży, ale nie potrzebuję już Esencji.

Pani Klątwa nie wiedziała, czy jej żołądek wytrzyma dalszą część tego wyznania.

– Bo nie da się wyciągnąć całości od razu. To znaczy da się, ale bezpieczniej jest po kolei. Fragmentami.

– Swawełek, czy mógłbyś na razie przestać? – poprosiła go.

– Oj, wybacz – zreflektował się, widząc błąd odcień twarzy dziewczyny. Pomieszał chochlą w garneczku i nalał jej naparu z ziół. – Proszę, to powinno ci pomóc.

Wypiła. Wyczuwała melisę i rumianek. I jeszcze jakieś zioła, których nie знаła. Efekt przyszedł błyskawicznie. Rozluźniła się i poczuła, jak wypełnia ją fala spokoju.

Swawełek dosiadł się do niej i wręczył drugi kubek naparu. Przyglądał jej się badawczo. Jakby już ją kiedyś widział, z odległości, a teraz miał ją w zasięgu ręki.

– Masz, ale nie wypij całego od razu. Przyda się podczas naszej opowieści.

– No dobrze, myślę, że jestem gotowa – powiedziała, nie będąc do końca pewną.

– Na pewno? Nie ma odwrotu – przestrzegł. – Potem idziesz tylko coraz głębiej w las. Jak w tej opowieści o Czerwonej Opończy, Dziadzie i Wilkołaku.

– Tak, zaczynaj.

– Dobrze. – Wziął głęboki oddech. – Zacznę od tego, że większość rzeczy, jakie wiesz o świecie i w które wierzysz, to kłamstwo. Kłamstwo misternie utkane przez istoty dużo inteligentniejsze od nas, silniejsze psychicznie, emocjonalnie i duchowo.

– Rozumiem, że...

– Tak. – Pokiwał głową. Kiedy mu się przyglądała, Swawełek przestawał być, mówiąc delikatnie, nieporadną pierdołą w swetrze, a stawał się pewniejszą wersją samego siebie. Kimś zimnym i analitycznym. – Ale sami też się do tego przyczyniliśmy. Wiem o tym doskonale z własnego doświadczenia – dodał smutno. – Jednak zacznijmy od początku.

– Na pewno słyszałaś o buncie kapłanów, którzy pokonali królów ludojadów i tak dalej... – Kiwnęła głową. – To nie jest do końca prawda, a przynajmniej nie cała. Chodzi o sam początek, o Primusa Garivaldiego. Tego samego, który krzewił wiarę wśród pierwszych wyznawców naszej religii – tej, której symbolem są dwie wężopodobne istoty. Wiesz już, skąd się wzięły? – Mrugnął porozumiewawczo. Złożył dłonie w piramidkę. – Widzisz, problem jest taki, że Primus Garivaldi był pierwszym nosicielem. Historycy nie wspomnieli o tym, że był kiedyś technologiem i uczestniczył w wyprawie eksplorującej dno morza. Zszedł tam w kombinezonie, mając na głowie szklaną kulę, do której pompowano powietrze z łodzi. I kiedy eksplorował dno, odkrył coś w głębinach i zabrał to ze sobą. Po powrocie do Króla był zupełnie innym człowiekiem. Prawdopodobnie zetknął się z Robakami, które były pograżone we śnie i czekały na okazję. A kiedy zbliżyła się do nich istota myśląca, świadoma, o skomplikowanej strukturze emocjonalno-duchowej... Wykorzystały moment.

– Garivaldi, jako krzewiciel nowej wiary, zarażał kolejnych wiernych. Zostawali nosicielami, tak jak dzieje się to teraz podczas Rytuału Pokropienia. Zarażani doustnie. A teraz najlepsze: Robaki żyją w kilku wymiarach jednocześnie. Nie tylko w naszym świecie. Żyją i rozwijają się na wszystkich nam znanych płaszczyznach, a być może na jeszcze innych, których nie jesteśmy w stanie pojąć. Nie wiem, czy to jest ich ostateczna forma, czy tylko zarodkowa, a potem przekształcają się w coś innego w tym lub innym świecie. Wiem tylko tyle, że gdy już trafią do naszego mózgu, wpływają na całość postrzegania, na system wierzeń, wartości, strukturę osobowości, nawet na strukturę organiczną. I są bardzo inteligentne. Cała nasza religijna doktryna została skonstruowana przez nie! – Swawełek mówił z rosnącym podnieceniem. – To wszystko, co wydaje ci się

prawdą, jest kłamstwem. To pojęcia, myśli i odczucia, które one pompują ci do głowy. I co więcej, sprawiają, że te zarówno twarde, jak i niemalże nieuchwytnie elementy naszego widzenia świata stają się realne na poziomie organicznym! Weźmy taką mgłę, z której wyłaniają się Istoty Nocy. Pojawiła się dopiero wtedy, kiedy ludzie zaczęli być nosicielami Robaków. Co więcej, wtedy też zaczęła mieć na nich wpływ! Wiem, co mówię. Odkąd uniezależniłem się od tego... tego świństwa w mojej głowie, mogę wejść we mgłę i nic mi się nie stanie! A gdybym usunął je z mózgu całkowicie... Pewnie nawet nie widziałbym mgły. Ty za to... – wskazał na nią palcem – jeżeli wyjrzysz za okno, zobaczysz demony i upiory. A jeżeli wejdiesz między nie, zostaniesz rozszarpana. To genialny sposób uzależnienia nas od nich.

Zamilkł i skierował wzrok w sufit, próbując złapać jakąś myśl. Kłątwa przyglądała mu się z ciekawością, słuchając tych absurdalnych wywodów. Może Swawełek był szalony?

– Spytasz pewnie: a co z Esencją? – mówił coraz szybciej, coraz bardziej podniecony. – Robaki, te istoty, których nie jesteśmy i nigdy nie będziemy w stanie zrozumieć, żyją w kilku wymiarach jednocześnie. Ubocznym efektem ich istnienia jest Esencja. To jest organiczno-duchowa manifestacja ich symbiozy, ba, ich pasożytowania na nas. Połączyły ją z systemem ekonomicznym. W końcu płacimy Esencją, przez co jesteśmy nieświadomymi niewolnikami. Idąc jeszcze dalej, narzuciły nam system wartości, system zasad i wierzeń, system praw i etyki, które sprawiają, że tworzymy im optymalne środowisko rozwoju. We wszystkich wymiarach, jakie jesteśmy w stanie im zapewnić. Nawet śmierć! Nawet życie pozagrobowe opanowały! Jeżeli chcesz iść dalej, podążać za Śmiercią i Jej Uczennicą, musisz przejść pośmiertny rytuał. A kto w nim uczestniczy? Morłogowie! I kapłan. Wmawia się nam, że wędrujemy dalej, ale kto z nas wie, co się tam dzieje? Może one dalej w nas żyją, tyle że w innych, bardziej subtelnych obszarach naszej struktury? A może faktycznie Śmierć i Jej Uczennica istnieją niezależnie od tych istot, ale my służymy im jako swoisty środek lokomocji do dalszych światów, bardziej subtelnych, gdzie... gdzie mogą rozwinąć się w formę docelową. – Zamilkł, przerażony własnym odkryciem. – Oj, oj, oj...

– Spokojnie, Swawełku, masz, napij się tego. – Podsunęła mu swój blaszany kubek. Pił łapczywymi łykami. – Lepiej?

– Tak – odpowiedział, ale dłonie mu drżały. – Czy wiesz, co my w sobie nosimy? To... To wykracza poza moje najbardziej przerażające tezy...

– Swawełku, dla mnie to, co mówisz, jest straszne. Ale nie przerywaj. Im więcej osób pozna prawdę... – Teraz musiała dowiedzieć się tego, co wiedział jej rozmówca. To ją tak bardzo intrygowało. I przerażało.

– Tak, tak – podchwycił i opanował głos. – Muszę ci powiedzieć tyle, ile wiem. Może teraz o morłogach. Tak, to jest dobry pomysł – przyznał sobie rację. –



Nie mam pewności, czy morloqowie towarzyszyli kapłanom od początku, czy powstałi później, ale wiem jedno – oni nie podlegają Primusom, Tercytom, Septimusom i innym duchownym. Morloqowie zostali stworzeni co prawda przez kapłanów, ale nie z ich woli. Morloqowie są kontrolowani przez Robaki i mają bezpośredni wpływ na decyzje kapłanów. Służą do utrzymywania porządku. Podobnie jak Panie Klątwy.

Dziewczyna przyglądała mu się uważnie. Płomienie z kominka rzucały złoty blask na twarz Swawelka, na której światło tańczyło z cieniami.

– Ludzie dociekają, skąd się wzięłyście i jaki jest cel waszego istnienia. – Patrzył jej prosto w oczy i mówił teraz bardzo wolno. – Wasze działania są przejawem wyższej inżynierii, ingerującej w osobowość na wszystkich możliwych poziomach. Wiem, po co zostałyście stworzone: żeby pilnować porządku, a porządek zapewnia optymalne warunki do rozwoju Robaków. I nic więcej. To bardzo przejrzysty system: duchowni mają wpływ na masy, morloqowie kontrolują duchownych i sprawy, powiedzmy, przyziemne. Panie Klątwy zaś... Wy odkrywacie tajemnice, czyli utrzymujecie porządek tam, gdzie ani kapłani, ani morloqowie nie mają jak go utrzymać. A tajemnice to nic innego jak błędy Robaków, dziury w strukturze rzeczywistości. A może wynikają ze zderzenia różnych światów? – spytał sam siebie.

– No dobrze, skąd się w takim razie wzięłam?

– Stamtąd, skąd biorą się wszystkie zaawansowane inżynieryjnie konstrukcje: z Vermiserium.

\*

– Co to dokładnie jest?

– Poczekaj.

Poszedł do żeliwnego garneczka i nalał im resztkę naparu.

– To naprawdę będzie konieczne. – Wręczył jej kubek. – Za prawdę – wznosił toast.

Wypili, odstawili kubki na stół.

– Vermiserium znajduje się w Aerie, w dzielnicy Podpagórze. I jest to przerażające miejsce. – Przełknął ślinę. – Ma dziewięć kręgów, dziewięć podziemnych poziomów. Im niżej, tym zimniej. Vermiserium służy do krzyżowania Robaków i sprawdzania, jaki mają wpływ na ludzi. Zostało założone przez jednego z Septimusów, ku aprobachie Primusa. Nie wiem, czy impuls wyszedł od Robaka, czy od człowieka. Wiem jedno: jest to bardzo złe miejsce. Na każdym bowiem poziomie dokonuje się eksperymentów, również z udziałem ludzi. I obserwuje się wpływ pasożytów na nosicieli. – Wziął głęboki oddech. – Zdarzali się rozczłonkowani ludzie, którzy dalej żyli, dalej cierpieli... To tam powstały

Panie Kłątwy, to tam udoskonaliliśmy gryfitów, to tam stworzyliśmy różne plugastwa, które od razu zostały unicestwione, chyba że zdołały uciec.

– Tam. Oj, tam – mówił coraz bardziej łamiącym się głosem. – Tam było można. Bo tam znajduje się wielka kadź z Esencją, która nie zabarwia się na czarno od okrutnych dokonań vermisytów, lecz pochłania je. Normalnie już dawno zostaliby dotknięci *peccatum tensi*. Co więcej, miejsce to jest chronione Dziewięcioma Pieczęciami, a wchodzi się tam przez Dziewięć Wrót. Na samym dole jest Strażnik, Władca Pieczęci. On wszystkim kieruje, ale nie jest już człowiekiem. Człowiek – westchnął. – Człowiek nie jest zdolny do takich rzeczy. Ja wiem, co się tam działo. Sam byłem świadkiem dokonywania strasznych, niewybaczalnych czynów. Rośliny usychały, zwierzęta rozbijały głowy o ściany. Ale ludzie? Ludzie byli inni. Poddawaliśmy ich opętaniom. Po dwa, trzy, cztery razy! Wyobrażasz to sobie?! Cztery razy! Testy, testy i testy. Mordowanie, tłamszenie, topienie i ożywanie, by znów zamordować, rozczłonkować, opętać i ożywić coś bardziej subtelnego, i znów to samo, rozczłonkować, działać na niewidocznym, niezrozumiałym, trzymać w zamknięciu duszę duszy. Nie wiedziałem, że śmierć ma tyle twarzy. Że możemy ją zadać na tak wielu poziomach. Że możemy skłonić do samozjedzenia i wskrzesić, i znów to samo... To, to było... Ja byłem nim. Ja byłem vermisytą, Pani Kłątwo... Ja tak bardzo żałuję... Oj, oj, ojoj. – Dostał ataku i chwycił się za głowę. Momentalnie podbiegła i zaczęła go uspokajać.

– Już spokojnie, ćsii. – Gładziła go po sterczącej czuprynie. – To już było, już nie wróci, spokojnie...

Poczuła wilgoć na swoim ramieniu.

A potem Swawełek rozplakał się jak małe dziecko.

\*

Była już późna noc, kiedy vermisyta przemówił ponownie, wcześniej wypiwszy kilka litrów uspokajającego naparu. Nie pozwolił się położyć spać, nie chciał odkładać tego na później. Chciał powiedzieć wszystko teraz. Za wszelką cenę.

Zgodziła się.

– Vermiserium może i stworzyły Robaki... – mówił pustym głosem, patrząc w ogień kominka. – Ale to ludzie przeprowadzali te doświadczenia. I to ludzie, tacy jak ja, ponoszą winę za wszystko. I tej winy nie odkupią.

– Swawełku...

– Sterowaliśmy tam ewolucją Robaków – ciągnął pustym głosem, nie dał sobie przerwać. – Odkryliśmy, że jest ich kilka rodzajów. Nie ma tylko jednego gatunku Robaka. Co więcej, występuje on w różnych częściach naszego globu. Na

przykład taki blednik, który siedzi w mózgach ludzi na naszym kontynencie, jest śmiertelnym wrogiem szkarłatowca, który opanował południowo-wschodnie kontynenty. Zwalczają się. Widziałem to, kiedy chcieliśmy je skrzyżować, a one rozpoczęły walkę. Zostało samo rozerwane mięso. Zniszczyły się nawzajem. Ale niektóre... Niektóre dało się krzyżować. I tak blednik z brunatnikiem tworzyły demoryka. Dwa demoryki z kolei łączyły się w jednego urobosa. Urobos z kolei zjadał blednika i po połączeniu z kronosusem tworzyli krawanika, i tak dalej. Łączymiśmy je przez pokolenia, a mój zespół wcale nie był pierwszy. W pewnym momencie zapomnieliśmy już, po co to robimy. – Zadrzał mu głos i Swawełek ucichł. Płomienie odbijały się od jego okularów. – Tworzyliśmy skomplikowane mutacje, by uzyskać pokarm dla jeszcze bardziej skomplikowanych mutacji, które to potrzebowały ludzi, by rozwinąć się w nich mózgach w inny podgatunek, który można było połączyć z kolejnym. I tak dalej. Ta wielka maszyna tak się rozpędziła, że straciliśmy nad nią kontrolę. Człowiek nie potrafi teraz już tego ogarnąć, inaczej wpadłby w szaleństwo.

– W pewnym momencie zdaliśmy sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy. Pieczęcie chroniły nas przed światem zewnętrznym, przed każdym atakiem na poziomie organicznym lub duchowym. Niestety, nie wzięliśmy pod uwagę jednego: podczas dokonywania mutacji stworzyliśmy, a może one stworzyły, coś tak skomplikowanego i rozwiniętego, że bez trudu zdołało przeniknąć Pieczęcie. I pewnego dnia Vermiserium opustoszało... Oczywiście, Robaki nie odeszły od tak. Wcześniej skłoniły wszystkich obecnych do popełnienia zbiorowego samobójstwa. Ja akurat się wtedy spóźniłem. I to mnie uratowało. Dlatego też uciekłem.

– To, co wyhodowaliśmy w Vermiserium i wypuściliśmy w Wieloświat, jest po prostu złe. Nigdy nie powinno do tego dojść. – Spuścił głowę. – Niestety, do mutacji czasem dochodziło poza murami tego okropnego miejsca.

– Jak to?

– Kodeks etyczny kapłanów. – Stwierdził krótko. – Nie każdy ma w sobie jednego Robaka. Wyżej postawieni kapłani mają ich kilka. Septimus ma ich trzy, Tercyta siedem, a Primus aż dwanaście. Dzięki temu zyskują różne zdolności: przewidywania przyszłości, dokonywania tak zwanych cudów, czytania z Esencji, przelewania jej. Niestety, kapłani mają też swoje słabości i – mimo wyraźnego zakazu sypiania z kobietami – któryś z nich raz na jakiś czas zgrzeszy. A przekładając to na nasz język, język vermisyków, dokona skrzyżowania. Czasem nic się nie dzieje, czasem jest to w stanie zabić Robaka, a czasem upośledzić narodzone w wyniku tego zbliżenia dziecko. Efekty takich mimowolnych mutacji mogą mieć straszne konsekwencje. Dlatego Robaki wolą je kontrolować przez nasze świadome umysły niż poddawać się nieprzewidywalnym skutkom ludzkiej żądzy. Do mutacji dochodzi oczywiście wyłącznie kiedy uczestniczy w tym kapłan, który ma więcej niż jednego Robaka.

Ciekawe, pomyślała Pani Klątwa. Wszystkie elementy układanki powoli zaczynały do siebie pasować. – A co z wami? Co z Dale'em? Dlaczego jestem dla was taka cenna?

– Widzisz, kiedy uciekłem z Vermiserium, byłem ścigany – podjął. – Za dużo wiedziałem. Wypuszczono za mną Ludzkich Myśliwych, kolejny wytwór Vermiserium. Na szczęście uratował mnie Dale. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś był w stanie pokonać Myśliwego. On zabił dwóch. Własnoręcznie. Byłem jego dłużnikiem.

– Nie mogłem też zatrzymać prawdy wyłącznie dla siebie. Kiedy opowiedziałem o wszystkim temu osiłkowi, załamał się. I nie chodziło o prawdę, a o jego żonę. Zginęła parę tygodni wcześniej z głupiego powodu. Zbyt późno wracała do domu, zabłądziła, a resztą zajęła się mgła i Istoty Nocy.

– Dale nigdy nie odnalazł jej zwłok, nie pochował jej należycie, w związku z czym Łucja stała się Istotą Nocy. *Gdybym wiedział, mówił wtedy, gdybym tylko wiedział, to wcześniej wyjąłbym to gówna z jej głowy. I nigdy by do tego nie doszło* – zamilkł. – Nie znałem nikogo tak bardzo zakochanego w kobiecie jak Dale. Wtedy pękło mu serce. Wtedy też na własne oczy zobaczyłem, co się z nim działo. Strasznie cierpiał, czuł taką tęsknotę i takie rozdarcie, że aż z jednego boku odchodziły mu kawałki ciała i pozostały po tym teraz blizny. To była strasznie głęboka strata. Ale jedyną jasną stroną tej historii jest pewne odkrycie. Dowiedzieliśmy się, że Robaki nie mają wpływu na tę sferę naszego życia, na uczucie głębokiego przywiązania, które możemy komuś ofiarować i towarzyszące mu rozdarcie w przypadku straty. To był wybór Dale'a. One mogą wzmocnić naszą wolę i tak stało się w tym przypadku. Podobnie, jak w przypadku Dagona, o czym na pewno już wiesz. One nie kontrolują wszystkiego. Innymi słowy: Dale czuł się tak mocno rozdarty, że to rozdarcie przeniosło się do świata organicznego. I nie miało nic wspólnego z wolą Robaków. To był mniej lub bardziej świadomy wybór olbrzyma.

Pani Klątwa zaczęła rozumieć. I współczuć mu. Jednocześnie chciała teraz mieć go przy sobie, objąć, zatroszczyć się tak, jak kobieta potrafi najlepiej.

– W każdym razie postanowiliśmy wtedy z Dale'em wyciągnąć sobie Robaki z głowy, ale nie od razu całe – podjął Swawełek. – Najpierw po kawałku, żeby sprawdzić, co się stanie. To ograniczyło ich wpływ na nas. Powoli przekonaliśmy się, że możemy wchodzić w mgłę bez uszczerbku. Jednak Esencja jest nam potrzebna z przyczyn ekonomicznych, dlatego Dale pracuje jako przewoźnik.

– Postanowiliśmy też ujawnić prawdę jak największej liczbie osób. W tym momencie w samym Aerie jest nas trzystu. – *A więc to oni mnie strzegli!* – W innych miastach nieco mniej, ale z każdym dniem rośniemy w siłę. Żeby któregoś dnia obalić obecne rządy i pokazać, co naprawdę nami sterowało.

– A więc to jest trzecia droga – szepnęła do siebie dziewczyna. Przypomniała

jej się rozmowa z Konsyliarzem.

– Ale potrzebujemy dowodu, potrzebujemy symbolu – ciągnął, nie zwracając uwagi na jej szept. – Jest nim Trupojad. Nie ima się go działanie religii i obecnego porządku. Musimy dowiedzieć się, dlaczego. Dlatego od początku Dale cię chronił. Dlatego potrzebujemy Pani Klątwy. Żeby wyjaśnić tę tajemnicę. I obalić zakłamaną porządek!

Drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem.

## Rozdział XI

### Septimus

Przerażony Swawełek spojrział w stronę drzwi.

*Wrogowie! Zostaliśmy odkryci! Jesteśmy straceni, ojoj...,* pomyślał. Ale w drzwiach nie stali wrogowie. Ten, kto tam stał, ledwo mieścił się we framudze.

– Dale – powiedziała dziewczyna. – Jak miło cię wreszcie zobaczyć – dodała z przekąsem.

– Ehm, witaj. Witajcie – odpowiedział zaskoczony.

– Wiecie co, na dzisiaj mam już za dużo wrażeń, pójdę do siebie. – Wstała, minęła Dale'a bez mrugnięcia okiem i zamknęła za sobą drzwi delikatnym, acz sugestywnym trzaśnięciem.

– Czy coś mnie ominęło?

\*

Leżała w łóżku, szczelnie owinięta kołdrą. W pokoju było ciemno. Jedyne światło księżyca rzucało blady blask na środek pokoju. Za oknem unosiła się upiorna mgła. Rozbrzmiewały w niej jęki. Pani Klątwa nie rozmyślała o niczym. Za dużo tych wszystkich informacji i wydarzeń. Straciła grunt pod nogami. Nie miała się nawet do kogo odezwać. *Gdyby chociaż Chowaniec tu był,* westchnęła w myśli. Brakowało jej towarzystwa Kota. Za drzwiami od kilku godzin rozbrzmiewały męskie głosy. Swawełek i Dale toczyli zawziętą dyskusję. Czasem przechodzili w szept. Nie próbowała się przysłuchiwać. Dopiero kiedy ogarnęła ją senność, zrozumiała słowa Swawełka:

– Słuchaj, wielkoludzie, też mam dosyć na dzisiaj tych dyskusji. Idę spać. – Potem usłyszała skrzypienie schodów prowadzących na poddasze. Dale został na dole. Wyobrażała sobie, że siedzi zamyślony przed kominkiem i długo patrzy w ogień. Z tą wizją zasnęła.

\*

Wyspana, przeciągnęła się. Bok nawet nie bolał. Podniosła się na łokciach i rozejrzała dookoła. Pokój niby ten sam, co wczoraj, ale wydawał jej się teraz taki... Trudno jej było znaleźć właściwe określenie. To było jak przebudzenie w niedzielny poranek. Czuła się wypoczęta, zrelaksowana, oczyszczona. Uśmiech

zadowolenia sam pojawił się na jej twarzy. Czowała, że wczorajsza rozmowa i wszystkie przeżycia, choć ciężkie, były konieczne. Wiedziała już, co ma zrobić. Czekać na odpowiedni moment. Na pewno przyjdzie, była o tym przekonana. A potem ona popłynie z nurtem wydarzeń.

Pełna energii, zgarnęła świeże ubranie, które Dale przywiózł jej jakiś czas temu z miasta, i poszła się odświeżyć.

Mimo wszelkich okropieństw i cierpień odzyskała nadzieję. Ten przyptyw optymizmu był dla niej tak samo niewytłumaczalny, jak przyjemny.

\*

– O, kogo ja widzę. – Vermisyta stał właśnie nad żeliwnym garnkiem i mieszał coś długą łyżką. – Wyspana?

– Oj, tak. – Usiadła przy stole.

– Proszę bardzo, to dla ciebie. – Postawił przed nią drewnianą miskę z owsianką. – Tu jest łyżka. – Wręczył jej wielką łyżkę z drewna.

– Dziękuję. – Przysunęła sobie talerz. – A ty?

– Poczekam, aż skończysz. – Widząc zdziwioną minę Pani Klątwy, szybko się zreflektował. – To nie tak, że jest zatrute, oj! Po prostu mieszkam sam i wiesz... Jeden zestaw naczyń mi wystarcza. Mniej zmywania. – Pokiwał głową.

– Rozumiem – przytaknęła, a w myślach dodała: *dorośli mężczyźni...*

Kiedy skończyła, poszedł umyć miskę i nałożył sobie porcję owsianki.

– Dale pojechał zapolować – powiedział, dmuchając w łyżkę. – Spędził całą noc przed kominkiem, a nad ranem oświadczył mi, że wychodzi. Nie wiem, kiedy wróci. Dziwne, nigdy się tak nie zachowywał.

Chyba znam powód, pomyślała.

– Och, Dale, no tak. – Pokiwała głową. – Swawelku... Wracając do tego, o czym rozmawialiśmy wczoraj... Mógłbyś mi jeszcze raz pokazać zawartość tego słoika?

Zakrztusił się.

– Oczywiście po śniadaniu – dodała.

\*

Na środku stołu stał słoik, a w nim Robak. Oboje patrzyli na niego z przekrzywionymi głowami. Podbródkami dotykali blatu.

Dziewczyna nie czuła już obrzydzenia, raczej ciekawość.

– Czyli zakładając, że to, co wczoraj mówiłeś, jest prawdą...

– Jest.

– No dobrze. W takim razie ja też mam coś takiego w środku?

– Tak.

– I potrafiłbyś to usunąć?

– Teoretycznie tak... Ale jesteś Panią Kłątwą, więc nie wiem, jak to zadziała.

– Skąd wiesz, jak to zrobić? – Podniosła wzrok i skierowała go na Swawelka.

– Byłem vermisytą. To nic trudnego. Przynajmniej dla wtajemniczonych.

– Rozumiem. W takim razie powiedz mi, jak mogłabym wam pomóc? Tobie, Dale'owi i waszej... sprawie?

– Cóż. – Nabrał powietrza w usta i zmarszczył brwi. – Szczerze mówiąc, to po wczorajszym nie spodziewałem się, że jednak zgodzisz się...

– Nie zgodziłam się. I nic nie obiecuję. Pytam: jak?

– Oczywiście, oczywiście – uspokoił ją. – Chcemy, żebyś zaprowadziła nas do Trupojada. Nie zamierzamy go skrzywdzić, o nie! – dodał szybko. – Pragniemy go poznać, zrozumieć. Chcielibyśmy też, jak wczoraj nadmieniałem, zrobić z niego symbol. Symbol istoty wyzwolonej z obecnego porządku. Myślę, że skoro już tyle wiesz... – Spojrzał w bok, zastanawiając się. – Planujemy przewrót. Niebawem. Zaczniemy od Aerie. Mamy zamiar spalić Vermiserium. A potem pójdziemy dalej. Nasi już ściągnęli do miasta. Trupojad mógłby bardzo pomóc Sprawie, mógłby przekonać innych, tych, co jeszcze nie wiedzą...

– A skąd wiecie, że będzie z wami... – szukała odpowiedniego słowa – współpracował?

– Oj, rozmawialiśmy z nim.

– Rozmawialiście? – zdziwiła się. – To do czego jestem wam potrzebna?

– W zasadzie to ja rozmawiałem – stwierdził. – Wtedy, kiedy cię przyniósł. I jeszcze raz później, jak leżałaś nieprzytomna. On tu się kręci w okolicy. Wydaje mi się... Wydaje mi się, że cię pilnuje.

– Jak to *pilnuje*? Przecież to potwór, który pożera zwłoki...

– Nie pożera... Pożeranie to element opowieści ciemnego ludu. I demagogii kapłanów. On zabiera części ciała Stygnących. Bo sam się rozpada. Jest takim chodzącym konstruktem złożonym z różnych trupów. Ale żyje. I gdy jedna część, powiedzmy noga, zużyje się, musi ją wymienić. I, z tego co wiem, nigdy nie zabił człowieka.

– Skąd to wiesz?

– Jako vermisyta miałem różne zadania. Jednym z nich było zbieranie informacji o tym monstrum. Ale to nie monstrum, jest bardziej ludzki, niż nam się wydaje. On po prostu cały czas się rozpada i musi odtwarzać się na nowo z fragmentów obcych ciał.

– A te wszystkie porwania? Martwi ludzie wokół studni?

– On ich nie zabija. Porywa, owszem. Ale nie zabija. – Złożył palce w piramidkę. – Trupojad ma w głowie Robaka, być może kilka. Tylko że jest z nim



coś nie tak. Jest uszkodzony. Działa jak my, potrzebuje Esencji do życia, ale jego pasożyt nie wytwarza własnej. Dlatego porywa ludzi i odlewa od każdego część Esencji. Od ciebie również zabrał. – Spojrzała odruchowo na swój flakonik. – Pół buteleczki. Ale jesteś Panią Kłątwą, szybko ci się odnawia. Poza tym... Poza tym on wie, że ma w głowie Robaka. Sam mi o tym powiedział. Powiedział też, że twoja Esencja jest wyjątkowa.

– Hmm... – zamyśliła się. – Zaczynam rozumieć, kim jest Trupojad. Czy też przypuszczasz, że jest...

– Samowolną mutacją? – dokończył. – Tak, to jedyne wytłumaczenie. Któryś z kapłanów musiał, że tak się wyrażę, mieć skok w bok.

– Wracając do pytania – podjęła po chwili. – Do czego jestem wam potrzebna?

Swawełek poprawił okulary.

– Wydaje mi się – kaszlnął – wydaje mi się, że po prostu podobasz mu się.

\*

Krępującą ciszę przerwał Dale.

– Hmm – mruknął. – Co tym razem? – Rzucił na ziemię trzy martwe zające.

Dziewczyna milczała.

– Powiedziałem tylko – Swawełek spojrzał zapobiegawczo na Panią Kłątwe – że Trupojad nie chce z nami bezpośrednio rozmawiać. I...

– Dobrze, skończ już. – Olbrzym machnął ręką. – Mógłbyś – wskazał palcem na otwarte drzwi – oporządzić te zające? – Widząc bladość na twarzy vermisyty, dodał:

– Dobrze, zajmę się tym. W takim razie przydad się na coś i chociaż porąb drewno, a my tymczasem porozma...

Nie dokończył. Przez otwarte na oścież drzwi do chaty wleciała duża, świecąca pszczoła. Swawełek głęboko wciągnął powietrze i wybałuszył oczy w przerażeniu.

– Ttto. – Pokazał palcem owada, który leciał w stronę Pani Kłątwy. – Znaleźli nas, jesteśmy straceni! – Nim ktokolwiek zdołał zareagować, porwał drewnianą miseczkę i przygniółł nią pszczołę do stolika. Nie zabił jej, ale złapał między dno miski a blat stołu.

– Coś się dzieje? – Pani Kłątwa patrzyła zdezorientowana na szaleńcze zachowanie Swawełka. I na miseczkę z bzyzącą zawartością, która próbowała się wydostać.

– Trzymaj ją! – zawołał. Posłusznie położyła dłoń na naczyniu, żeby nie mogło się ruszyć, a Swawełek podbiegł do drzwi, odtrącając wielkoluda, i zatrzasnął je.

– Czy mógłbyś się uspokoić i wytłumaczyć, o co chodzi? – powiedział wolno Dale. Vermisyta z przestachem przyglądał się bzyczącej miseczce.

– To nie jest zwykła pszczoła. To, oj, pszczoła Septimusa – oświadczył, ale widząc niezrozumienie w ich oczach, wyjaśnił:

– Septimus i inni kapłani w ten sposób zbierają informacje. Pszczoły, umysł roju, nic wam to nie mówi? – spojrział na nich jak na uczniów. – Kiedy jedna się czegoś dowie, wszystkie już to wiedzą. Wystarczy, że zanurzą się w Esencji osoby, od której lub do której jest adresowana informacja. I ta przyleciała tutaj do nas...

– Swawelku. – Pani Kłątwa wiedziała już, że to jest ten moment, na który czekała od rana. – Ona przyleciała do mnie. I jeżeli Septimus ma mi coś do przekazania, prędzej czy później mnie znajdzie, prawda?

Vermisyta pokręcił się nerwowo.

– Nie mogę tutaj siedzieć przez wieczność. Zobaczmy, co chciał mi przekazać i...

– Nie! – Chwycił miseczkę, kiedy Kłątwa zaczęła ją unosić. – To może narazić nas wszystkich na dekonspirację! Oj!

– Pozwól jej – łagodnie powiedział Dale. – To Pani Kłątwa, wie, co robi.

Vermisyta rzucił okiem na wielkoluda, potem na dziewczynę. I z największą niechęcią oderwał długie palce od naczynia. W końcu uwolnił pszczołę. Owad miał na skrzydełkach owsiankę. Trzepotał tak długo, aż się jej pozbył. Potem zaczął krążyć wokół głowy Pani Kłątwy. Bzyczał cicho. Dziewczyna popatrzyła na Swawelka, komunikując spojrzeniem: *a nie mówiłam?* Następnie odkorkowała flakon z Esencją. Pszczoła wleciała do środka i wytarzała się w złocistej cieczy. Wiadomość od Septimusa została dostarczona.

\*

– Dziękuję ci za opiekę i za wszystko. – Uściskała Swawelka, który stał na zewnątrz w swoim swetrze w renifery. – Wydaje mi się, że jeszcze się spotkamy.

Wskoczyła na wóz i usiadła na koźle, obok Dale'a.

– Uważaj na siebie – zawołał vermisyta.

– Będę.

Woźnica strzelił z lejców i kasztanowy koń ruszył traktem biegnącym wśród śniegu i drzew.

Milczeli.

Z początku wcale nie chciała z nim jechać.

– Pozwól mi cię chociaż odwieźć i wytłumaczyć się – nalegał wcześniej. – Przecież nie będziemy rozmawiać przy nim – dodał szeptem, wskazując głową na zafrasowanego Swawelka, który trzymał w ręku brudną miskę po owsiance.

W końcu zgodziła się. I tak miałyby problem z samodzielnym dotarciem do

Monastynu. Poza tym przy Dale'u mimo wszystko czuła się bezpieczniej. Kto wie, co czaiło się w tych lasach. Pamiętała też o fioletowych oczach Omerty. A może tamta już sobie odpuściła? Nie potrafiła wyczuć jej obecności.

Koń monotonnie uderzał kopytami w trakt pokryty wydeptanym śniegiem, koła skrzypiały z każdym obrotem. Wciąż milczeli. Dziewczyna postanowiła poczekać. Jeżeli miał coś do powiedzenia, niech zacznie. Wydawało jej się, że kątem oka widzi w oddali ruch. Jakby wielka postać przemieszczała się wzdłuż traktu. Kiedy tam patrzyła, nikogo nie widziała. Ale potem kątem oka ponownie dostrzegła ruch.

*On tam jest. Śledzi mnie. Strzeże.*

\*

Kiedy dojeżdżali do murów miasta, nie wytrzymała:

– Milczysz i milczysz – wypaliła. – O czym chciałeś porozmawiać? Mam nadzieję, że nie o waszej sprawie. W to wszystko wprowadził mnie Swawełek. Podobno zamierzałeś mi o tym powiedzieć.

– Zamierzałem – odparł z głową skrytą pod opończę. Patrzył przed siebie.

– I tylko tyle?

– Nie mogłem cię odwiedzić wcześniej. Byłaś obserwowana.

Zamilkł. Machnął ręką do strażników. Przejechali przez bramę miejską.

– Teraz też jesteś – powiedział cicho. – Nie widzisz ich, ale oni tam są. Ludzcy Myśliwi. Potrafią być niewidzialni. Narażam i siebie, i sprawę...

– Wiesz co, mam już dosyć tego wszystkiego – powiedziała poirytowana. – Nie będę cię dłużej narażać. Zatrzymaj wóz.

Nie zatrzymał.

– Powiedziałam: zatrzymaj go. Sama trafię.

Milczał.

– Dobrze, w takim razie żegnaj. – Już chciała wyskoczyć z wozu, kiedy chwycił ją za rękę.

– Poczekaj.

Skręcił w boczną uliczkę, zatrzymał konia. Upewnił się, że nikogo nie ma. Pocałował ją. Mocno, namiętnie. Nie oponowała. Cicho jęknęła. Pierwszy oderwał usta.

– Nie mogę – powiedział.

– Możesz, tylko nie chcesz. – Patrzyła mu w oczy. – Jej już nie ma. – Poglądziła go po boku, na którym miał bliznę. – Musisz zapomnieć, iść dalej. Mogę poczekać, ale...

– Nie chodzi o mnie. – Pokręcił głową. – To należy do kogoś innego. – Położył ręce na jej lewej piersi. – Tylko o tym zapomniałaś.

– Nie przypominam sobie, żeby jakkolwiek mężczyzna...  
– Nie on. Ona. – Po tych słowach nagle poczuła oszałamiającą woń jabłka z cynamonem. Zakręciło jej się w głowie.

\*

– Nie odchodź, błagam cię. – Łzy spłynęły jej po policzku.

\*

– Wszystko w porządku? – Dale przytrzymał jej głowę, która nagle opadła na bok.

– Tak, ja tylko... – powiedziała zdezorientowana. – To było takie dziwne... Skąd wiesz, że...? Nieważne.

– Nie chciałem cię urazić. Nie chciałem...

– Nie uraziłeś – przerwała mu, odzyskując przytomność umysłu. – Nie mów już nic. Lepiej, żebym dalej poszła sama. – Zaczęła schodzić z wozu. – Nie powstrzymuj mnie, proszę.

Puścił ją.

– Dziękuję ci za wszystko. Być może jeszcze się spotkamy. Kiedyś.

Ruszyła w stronę głównej ulicy i zniknęła za rogiem.

\*

– Septimusie, wzywałeś mnie – powiedziała, podchodząc do ołtarza w Wielkiej Sali. Kapłan stał odwrócony do niej plecami, a nad nim mieniły się szkiełka rozety, odbijające promienie słoneczne. Przedstawiały dwie wężopodobne istoty.

Byli całkowicie sami.

– Tak – powiedział, a echo rozniosło się po całym pograżonym w półmroku pomieszczeniu. Odwrócił się. – Wzywałem.

Postąpił parę kroków w jej stronę. Nie ruszyła się. Zatrzymał się na wyciągnięcie ręki, zmierzył ją spojrzeniem.

– Na północ od Aerie, nad samym morzem, leży Syrein. Na południu kolejna wielka metropolia: Bramiasto, zwane Siedliszczem Golema. Na zachodzie, na dalekim zachodzie, znajduje się Parge, stamtąd pochodzą wszystkie wykwintne tkaniny i suknie. Na wschodzie Makałat, Mroźne Miasto. Na dalekim południu znajduje się Miasto Czaszki... Mógłbym tak wymieniać nazwy wielkich miast, dziesiątki mniejszych, setki niewielkich, acz ważnych miast. Mógłbym mówić o tych wszystkich miejscach, do których docierają pszczoły. A wiesz, po co? – Nie

odpowiedziała. – Bo chcę, żebyś zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo rozległy jest nasz świat. A co za tym idzie, bardzo trudno utrzymać w nim należyty porządek.

– Dostałaś proste zadanie, prostą tajemnicę do rozwikłania i stoisz tutaj przede mną z niczym. – Podniesiony głos kapłana odbijał się od ścian Wielkiej Sali. – Trupojad. Nawet nie wiesz, jak dużym zagrożeniem staje się dla naszego porządku. Dla porządku, którego jesteś częścią. Jedynym powodem, dla którego nie wzięłem innej Pani Kłątwy, jest kodeks, który zabrania angażowania dwóch Kłąt do tej samej tajemnicy. Ten sam kodeks zabrania mi odebrania ci tego zadania. Ale mogę skorzystać z mojej władzy i sprawdzić, dlaczego nagle znikasz na kilka tygodni, bo widzę, że sama nie kwapisz się, żeby mi to wytłumaczyć. – Sięgnął w stronę jej fiołki z Esencją. – Otwórz to – rozkazał.

– Nie. – Zakryła dłonią flakonik i zrobiła krok w tył.

Twarz Septimusa wykrzywiła się.

– Cóż to? Nieposłuszna Pani Kłątwa? – Wytrzeszczył oczy.

– Twój syn – powiedziała cicho.

– Słucham?

– Twój syn – odpowiedziała głośniej, a echo odbijało się od ścian. – Trupojad to twój syn. Dlatego starasz się to wszystko zatuszować. – Rzuciła mu nieustępliwe spojrzenie. Wytrzymał.

– No cóż. – Oblizął wargi. – Jesteś Panią Kłątwą, w końcu musiałaś to odkryć, wiesz. – Zaczął klaskać. – Kłątwa, Kłątwa, Kłątwa. – Pokręcił głową. – I co ja mam teraz z tobą zrobić? Miałaś tylko odkryć jego kryjówkę. Zrobić swoje i zasnąć. Nie odkrywać niczego więcej. – Nie odpowiedziała. – No dobrze, skoro wiesz już tyle... Tak, potwierdzam, to mój syn. Efekt uboczny pewnej libacji, kiedy byłem młodszy, głupszy. Nie pamiętam nawet, jak miała na imię matka. Zwykła służka. Wybrała zły czas i złe miejsce, żeby spytać mnie, czy w czymś jeszcze może pomóc... No, ale było, minęło. – Wzruszył ramionami. – Nikt z nas nie jest bez grzechu. Szczerze mówiąc, liczyłem, że już dawno zostało mi wybaczone. A tu co? Po latach jakieś monstrum wyłazi z kanałów, terroryzuje mieszkańców, przeczy wszystkim zasadom, jakie ustaliliśmy, chwieje naszym porządkiem.

– Poprzednia Kłątwa miała dowiedzieć się, czym jest to monstrum. Niestety, po tym, co mi wyjawiała, nie mogłem jej, ot tak, odesłać. Sama rozumiesz. Wiedza to potęga. – Zaczął się do niej zbliżać, a ona z każdym jego krokiem robiła krok w tył. – Niestety, była niebezpieczna, nie tylko dla mnie. Zrobiłem, co musiałem zrobić. No a tu proszę – wskazał na nią. – Kolejna zbyt dociekliwa Pani Kłątwa. A miałaś tylko znaleźć jego kryjówkę... No, ale spokojnie, nie bój się mnie. To nie będzie bolesne. Po prostu zaśniesz. Jak zwykle. Tylko że nikt cię już nie wybudzi. – Zatrzymał się. – A przedtem, droga Kłątwo, zaprowadzisz mnie do Trupojada. Po dobroci lub siłą.

– Twoje niedoczekanie. – Splunęła mu w twarz, a potem odwróciła się i pobiegła do wyjścia.

Septimus zatrzymał się. I tak by jej nie dogonił. Dziewczyna wybiegła na korytarz. Przetarł twarz dłonią. Wtedy zmaterializowała się przy nim postać. Wysoka, chuda istota. Przypominała szarańczę. Czarne, wybałuszone oczy owada, żuwaczki, czarny chitynowy pancerz, długie odnóża i równie długie ręce, zakończone sześciopalczystymi, czarnymi dłońmi, pokrytymi małym pancerzykiem. Istota trzymała w ręku długą strzelbę z celownikiem.

– Czy mam ją zatrzymać? – zaklekotała żuwaczką.

– Nie, drogi Wiju. – Septimus wstrzymał ją dłonią. – Byłeś cały czas przy naszej rozmowie, wiesz, że to nic nie da. Pozwólmy jej biec, pozwólmy jej uciekać. Zaprowadzi nas do niego. Trupojad ją znajdzie.

– Skąd ta pewność? – zaklekotał Wij.

– To mój syn, zaufaj mi – odpowiedział. – I jako ojciec widzę, że wpadła mu w oko. Będzie ją chronić...

Odwrócił się szybko, aż warstwy szaty zatrzepotały przy podmuchu powietrza, i ruszył w stronę bocznego wyjścia. Na odchodnym rzucił:

– A teraz wypuść za nią charty. Wypuść innych Ludzkich Myśliwych.

## Rozdział XII

### Trupojad

Wybiegła z Monastynu i rozejrzała się nerwowo.

Dokąd uciekać? W którą stronę biec?, myślała gorączkowo. I chociaż nikt jej nie gonił, wiedziała, że zaraz ruszy za nią pościg.

Wiem! – poczuła wyraźny impuls. – Pobiegnę w stronę pagórka! Tam, gdzie to wszystko się zaczęło.

Nim zdołała zrobić chociaż krok, przed Monastyr zajęchała czarna karetą.

– Jeszcze tego brakowało...

Otworzyły się drzwi, a w środku siedział stary znajomy.

– Znowu się spotykamy. – Konsyliarz oblizał wargi. – Prędko, do środka! Wiem, że Panią ścigają, pomogę w ucieczce!

– Nie, nie skorzystam! – Puściła się biegiem w stronę mostu.

– Tak łatwo mi się nie wywiniesz... Za nią, durniu! – zawołał na woźnicę i zamknął drzwi z trzaskiem.

Karoca zawróciła i popędziła za dziewczyną. Pani Kłątwa biegła mostem, przedzierając się przez tłum przechodniów, którzy odskakiwali na boki, by nie zostać stratowanymi przez upiorną karocę.

Kłątwa odwróciła się. Karoca była coraz bliżej, przerażający woźnica o czasce białej jak kreda i oczach nienależących do żywego człowieka poganiał wściekle dwa czarne konie.

Nie ucieknę im, nie zdołam, zaraz mnie stratują!

Za sobą słyszała rżenie koni, tętent kopyt. Nie ucieknie im!

Ledwie dysząc, minęła wielkoluda-mnicha w habicie, mignęła jej jego nienaturalnie wykrzywiona twarz, już prawie ją złapali, już...

Trupojad!

Szarpnęła głową w tył i w tym momencie serce jej zamarło.

Mężczyzna w habicie nie odskoczył przed końmi. Kiedy były tuż, tuż, kiedy miały go stratować... zamachnął się i uderzył potężną pięścią czarnego wierzchowca. Koń zarżał, wywrócił się, a Trupojad chwycił go i przygniół do ziemi. Od razu upadł też drugi, a upiorny woźnica wyleciał jak z procy, wpadając prosto do rzeki. W tym samym momencie dyszel wbił się w bruk i karoca Konsyliarza oderwała się od ziemi, zatoczyła łuk w powietrzu i przywaliła z całym impetem w ziemię, wzbijając chmurę pyłu i drzazg.

Wszyscy zamarli. Dziewczyna rozejrzała się zdezorientowana.

Nagle z gęstego pyłu wyłonił się Trupojad. Był olbrzymi i szarżował prosto

na nią. Poderwał Panią Klątwę jakby nic nie ważyła, przycisnął do boku i puścił się biegiem przed siebie.

– W lewo czy w prawo? – zapytał. – Szybko!

– W prawo. – Ledwo złapała dech. Trzymał ją tak mocno, że nie mogła oddychać. – W stronę pagórka.

Gwałtownie skręcił, a potem poczuła, jak odbił się i zeskoczył.

Biegł dalej w szaleńczym tempie. Coraz trudniej było jej łapać powietrze.

Z początku słyszała krzyk kobiet, ale Trupojad skręcił w boczną, mniej uczęszczaną drogę. Śmierdziało tam pomyjami.

– Za mocno... trzymasz... – wydyszała. – Brakuje... Brakuje powietrza.

Ale Trupojad jej nie słyszał. Biegł, skakał po dachach, wybijał się i leciał jak gład kilka metrów w dół. Byle dalej, byle szybciej. Wiedział, że są ścigani. Musiał ją uratować.

\*

Ocknęła się na śniegu.

– Ych! – Wzdrygnęła się, widząc nachyloną nad sobą postać. – Zostaw mnie!

Odsunął się.

– Nie skrzywdzę cię – powiedział gardłowym głosem. – Raz już cię ocaliłem.

Faktycznie, przypomniała sobie. Podniosła się ze śniegu. Była na pagórku, tym samym pagórku, na którym to wszystko się zaczęło. Wtedy żył jeszcze Chowaniec, a ona niczego nie pamiętała. Teraz, zupełnie jak wtedy, roztaczał się przed nią widok na miasto, odległe latarnie lśniące Esencją, pola, lasy i mgłę.

Przyjrzała się Trupojadowi. Wciąż miał na sobie ciemnobrązowy habit. Jego twarz przypominała połączenie kilku różnych twarzy: oczy, jedno błękitne i ładne, drugie piwne, osadzone na wysokości nosa, uszy zupełnie różne, nos w miarę normalny, ale usta krzywe, policzki jak kartofle, wielka grdyka... Istota miała ponad dwa metry wzrostu i była bardzo szeroka w ramionach. Pani Klątwa zastanawiała się, w jaki sposób Trupojad łączy te wszystkie ludzkie organy. Było w nim coś dziwnego. Nie cuchnęło od niego rozkładem, jego skóra wydawała się gładka, jak u żywych.

Nagle zauważyła, że jego lewy rękaw jest mokry.

– Krwawisz? Pokaż, obejrzę.

– Nie. – Powstrzymał ją. – Sam sobie poradzę. Możesz odwrócić wzrok, jeśli chcesz.

Nie odwróciła. Trupojad podwinął rękaw. Dziewczyna się skrzywiła. Lewa ręka, ta, którą uderzył pędzącego konia, była cała fioletowa. Płat skóry odstawał,



jakby jedna z warstw Trupojada odkleiła się od pozostałych. Monstrum sięgnęło do kieszeni, wyciągnęło fiolkę z Esencją, a następnie posmarowało ranę, delikatnie nawijając skórę na kość. Potem palcami, z których każdy był inny – niektóre krótkie i tłuste, inne kościste – ostrożnie przyklepał skórę przy szwach, spod których przebijało się światło. Po chwili było już po wszystkim. Trupojad wsunął fiolkę do kieszeni.

– Czyli do tego potrzebujesz Esencji – powiedziała do siebie Kłątwa.

Trupojad nie odpowiedział.

Stał jak głaz i tylko patrzył na nią.

– Chciałam ci podziękować – powiedziała niespodziewanie. – Za to, że mnie wtedy uratowałeś. I za... teraz. – Mruknął coś w odpowiedzi. – Powiedz mi: dlaczego? Dlaczego mnie ocaliłeś?

Trupojad stał, patrzył.

Powiał mroźny wiatr, nadal czuć było w nim zimę, ale też odległą zapowiedź nadchodzącej wiosny.

– Pani Kłåtwo – przemówił w końcu. – Ja jestem przekleństwem.

– Nie jesteś.

– Jestem. Moje życie to przekleństwo. Proszę na mnie spojrzeć. – Dotknął swojej twarzy. – Codziennie muszę składać się na nowo. Coś jest nie tak z tą istotą w mojej głowie. Jest uszkodzona. I muszę tak żyć, chodzić po cmentarzach, co noc polować na nieostrożnych, kraść Esencję. Nie jestem potworem... Ale muszę żyć jak potwór. Inaczej rozpadnę się, zgniję. A gdy moje członki rozsypią się w popiół, ja nadal będę tu tkwił. Przez wieczność! Pani Kłåtwo, ja nie mogę umrzeć. Muszę tu trwać, muszę codziennie sklejać się z ciał trupów. Jestem przekleństwem.

Dopiero teraz dziewczyna zrozumiała koszmar bycia Trupojadem. Nie może umrzeć, jego Robak jest uszkodzony, trzyma go w tym świecie. Nie pozwala żyć i jednocześnie nie pozwala odejść.

– Ale Pani jest w stanie mi pomóc – powiedział po chwili. – To. – Wskazał jej fiolkę z Esencją. – Ona leczy. Ona sprawia, że to w mojej głowie się naprawia. Gdybym tylko mógł prosić o jedną fiolkę... Ona by pomogła. Uzdrowiłaby to w mojej głowie. I mógłbym odejść.

No tak! Swawełek o tym mówił. Mutacje Robaków. Jedne wpływają na inne. Esencja jej Robaka jest w stanie uzdrowić tamtego.

– Po ostatnim razie pomogło. – Postukał się po głowie. – Zawiesiłem na szyi, wypił wszystko. A potem... – Wyciągnął inną fiolkę, w której była tylko śladowa ilość srebrnej substancji. – Widzi Pani? To tego czegoś w mojej głowie. Wystarczy jedna fiolka.

Coś ukłuło ją w kark. Poczowała lekkie szczyknięcie.

Już chciała powiedzieć, że to żaden problem. Że mu pomoże. Ale wtedy zasłabła. Nie wiedziała, że lotka wbiła jej się w kark, wpuszczając truciznę do

krwiobiegu. Upadła na kolana. I dopiero wtedy zauważyła Ludzkich Myśliwych.

W powietrzu unosił się przynajmniej tuzin humanoidalnych owadów, przypominały szarańcze. Zmaterializowały się i mierzyły z długich strzelb do Trupojada. Raz po raz słyszała świst lotek, które wbijały się w ciało olbrzyma. Ten próbował odganiać się, zasłaniać głowę, uciec, ale Myśliwi dalej go ostrzeliwali. Bezlitośnie. W końcu i Trupojad upadł. To było jej ostatnie wspomnienie.

\*

Te wydarzenia pamiętała jak przez mgłę.

Coś trzymało ją w pasie, słyszała odgłos skrzydeł ważki albo innego owada. Na twarzy czuła powiew powietrza. Zwiesiła głowę.

Następnym niejasnym wspomnieniem była kamienna posadzka.

Ciągnęli ją gdzieś, trzymali pod ramiona, a jej nogi bezwładnie sunęły po podłodze. Poczwała chłód kamiennych ścian.

– Wyśmienicie – usłyszała znajomy głos. – Załatwmy to jeszcze dzisiaj. Przygotujcie stos.

Znowu zwiesiła głowę.

Ostatnie wspomnienie, nim w pełni odzyskała świadomość, było związane z wilgotnymi ścianami. Loch, musiała siedzieć w lochu. Pachniało tam pleśnią. I strachem.

Wtedy też usłyszała odgłos rozsuwanej kraty.

– Już czas, Pani Klątwa – przemówił ochryply głos. – Pora spłonąć na stosie. Poczwała szarpnięcie.

Kiedy odzyskała świadomość, zdała sobie sprawę, że czas i miejsce nie były najkorzystniejsze.

Ręce miała związane za plecami. Gryfita prowadził ją w stronę Rynku Głównego. Wokół kłębił się rozwrzeszczany tłum kobiet i mężczyzn:

– Spalić wiedźmę!

– Na stos z nią!

– Niech płonie w Ogniu Wiekuistym!

– Zdrajczynie wiary, tfu! – Ktoś splunął jej w twarz. Ktoś rzucił pomidorem, ale trafił przypadkiem w prowadzącego ją strażnika.

Od wściekłego motłochu oddzielał ją tylko korowód gryfitów. Nad sobą słyszała szmer ważkowatych skrzydeł Ludzkich Myśliwych.

Wyszli na Rynek, pełen jeszcze bardziej nienawistnych ludzi. Kątem oka Pani Klątwa dostrzegła macochę Alicji.

Na środku Rynku wzniesiono stos. Przywiązano tam Trupojada, który na razie nie odzyskał przytomności. Nieopodal znajdowało się podwyższenie, na którym stały trzy trony. Na największym siedział Septimus, po bokach miał morłogów. Jeden z nich trzymał pochodnię.

– Kogo ja widzę – przemówił, kiedy gryfita przywlókł dziewczynę przed oblicze kapłana. – Znalazła się i nasza uciekinierka. Brawo. – Morłogowie zaskrzeczeeli, prawdopodobnie śmiejąc się. – Nie jesteś tak przebiegłą Kłątwą, za jaką się miałaś. Spójrz. – Gryfita szarpnął jej głowę w kierunku, który wskazywał kapłan. Patrzyła na stos. – Doprowadziłaś nas do niego. Udało ci się odnaleźć Trupojada. Niestety – dodał jakby ze smutkiem – zdradziłaś też swoją religię i będziesz musiała podzielić los tego monstrum.

Na dźwięk słowa „monstrum” Trupojad zaczął się budzić.

– O, nasza bestia wraca do świata żywych. – Kapłan wstał. – Trzeba przyspieszyć ceremonię, bo znowu nam ucieknie.

– Zebrani wierni – przemówił do tłumu. – Udało nam się schwytać sprawcę całego zła: istotę, która bezczęściła groby naszych zmarłych, porywała matki i dzieci, by mordować je dla zabawy; bestię, która nie ma żadnego szacunku dla naszych świętości i dla naszej wiary; zwyrodnialca, którego nareszcie dosięgła ręka sprawiedliwości! – Tłum wiwatował, gdy Septimus podniósł płonącą żagiew, którą podał mu morłog. Pani Kłątwa zwróciła uwagę, że ogień jaśniał fioletowo-jadeitowymi płomieniami. – Oto Ogień Wiekuisty! Ogień, który będzie płonął przez sto lat i przez sto lat będzie trawił duszę tego grzesznika. A jeżeli nie wypali z niej wszystkich plugastw, jakich dopuścił się w swoim nikczemnym życiu, jego dusza będzie płonąć przez wieczność, niewidzialnym już dla nas, ale trawiącym ją wciąż ogniem! – Motłoch znów krzyknął z radości, domagając się natychmiastowego spalenia złoczyńcy. – A to – wskazał ręką na Panią Kłątwę – to jest jego pomocnica, którą do tej pory mieliśmy za jedną z nas. Niecnie wykorzystwała swoją pozycję, by pomagać tej kreaturze, mordować wraz z nią i pić krew niewinnych dzieci.

– To kłamstwo! – próbowała przekrzyczeć tłum, ale cios w brzuch powstrzymał ją.

– Niech zatem zobaczy, jak płonie stwór, dla którego wyrzekła się nas i naszej wiary! Niech będzie świadoma, że przez sto lat w tym miejscu będzie płonął Żywy Ogień jako pomnik i przestroga dla wszystkich, którzy zechcą pójść w jej ślady! A potem niech dołączy do Trupojada! – zakończył, a tłum znów wiwatował w dzikiej ekstazie. Zwarty oddział gryfitów ledwo był w stanie utrzymać kordon wokół placu.

Septimus podszedł do stosu i wzniosł żagiew wysoko, by wszyscy mogli widzieć, jak podpala potwora. Trupojad stopniowo odzyskiwał świadomość. Potrząsnął głową. Rozejrzał się nerwowo na boki i od razu zdał sobie sprawę, gdzie

się znajduje.

– Ojczy! – zawył. – Czemu mi to robisz?!

Ale Septimus nie słuchał. Nie chciał słuchać. Musiał czynić swoją powinność. Nie patrząc na syna, podpalił stos.

Fioletowo-jadeitowe płomienie szybko zajęły słomę i drewno. Dziewczyna patrzyła z przerażeniem na tę scenę. Potwór wrzeszczał, próbując się wyswobodzić, a tłum skandował. Septimus wrócił na tron i obserwował rozwój wypadków.

Wtedy Trupojad wydał przeraźliwy ryk. Był to ryk tak straszny, że ludzie nagle ucichli. Wiekuisty Ogień zaczął trawić lewą rękę potwora. Płonęło nie tylko ciało, ale i dusza. Ból był nie do wytrzymania. Potwór znowu ryknął. I nagle zdołał oswobodzić prawą rękę. Tłum zamarł.

Wtedy Trupojad odgryzł sobie lewą rękę i uwolnił się.

Zapanowała panika.

Nagle zaczęło się dziać coś, czego nikt nie przewidział.

\*

Na gryfitów spadł grad strzał.

Septimus wrzasnął przerażony, a Ludzcy Myśliwi zlecieli się, by zasłonić go swoimi pancerzami. Kilku gryfitów padło bez życia, ale to nie był koniec.

Nagle po prawej stronie Rynku ktoś zaczął krzyczeć i ciasny kordon strażników rozerwał się. Pomiędzy nich wpadł oddział jeźdźców, za którym pędził wóz, dwukółka, którą Klątwa tak dobrze знаła.

– Dale! – krzyknęła.

Gryfita już podniósł rękę do ciosu, żeby ją uciszyć, lecz nagle wzniosł się w powietrze. A potem Trupojad oderwał jego głowę od reszty ciała i rzucił ją w tłum.

Ludzie rozbiegli się we wszystkie strony, tratując gryfitów. Septimus też próbował uciec, osłaniany przez Ludzkich Myśliwych, ale co chwilę któryś z jego strażników padał, ugodzony strzałą.

Trupojad oswobodził dłonie Pani Klątwy, zrywając z nich powróż. W tym samym czasie podjechał do niej Dale.

– Szybko! – krzyknął. – Wskakuj!

– Pobiegnę obok. – Trupojad wsadził dziewczynę na wóz.

Dale popędził kuca, który ruszył szaleńczym galopem w stronę wąskiego przejścia, między gryfitów walczących z napastnikami. W ostatnim momencie udało im się przejechać, nim wrogowie zagrodzili im drogę.

Dziewczyna odwróciła gwałtownie głowę.

– Trupojad! – zawołała, ale monstrum zdołało przeskoczyć nad barykadą i już doganiało powóz.

– Rozdzielmy się! – wydyszało, biegnąc obok wozu. – Gdzie was znajdę?

– Tam, gdzie ostatnio zaniósłś Panią Klątwę – zawołał Dale. – W

drewnianej chacie.

Trupojad kiwnął głową, a potem wyprzedził ich i z całym impetem runął na gryfitów, którzy wybiegli z bocznej uliczki. Był jak kula zbijająca kręgle, a potem podniósł się, wskoczył na dach kamienicy i zniknął.

– Nic ci nie jest? – zawołał olbrzym.

– Nie – odpowiedziała, przekrzykując świst powietrza. – Co teraz?

– Musimy opuścić miasto, trzymaj się! – Skręcił gwałtownie w boczną ulicę.

\*

Mimo że już znajdowali się poza murami, koń wciąż pędził na złamanie karku.

– Przed czym tak uciekamy? – spytała. – Przecież nikt nas nie ściga.

– Jesteś pewna? – Dale odwrócił się i wskazał

w niebo.

– O nie... – od strony miasta leciało siedmiu Ludzkich Myśliwych.

– Dojeżdżamy już do lasu – zawołał. – Między drzewami będzie łatwiej ich zmylić!

– Co chcesz zrobić?!

– Jak dojedziemy do rozstajów, wyskoczysz!

– Co?! Nigdy! – zaprotestowała. – Nie zostawię

cię z...

– Bez dyskusji! Ja wezmę na siebie pościg. – Odwrócił się, pęd powietrza szarpał mu brodę. – Trafisz?

– Trafię. – Kiwnęła głową.

– W takim razie... – Jechali już pod koronami drzew. Pamiętała tę ścieżkę, szła nią kiedyś z Chowańcem. Już zbliżali się do rozdroży, gdzie rósł dąb. – ...Skacz!

Dale wypchnął ją i odbił w prawo.

Poleciała w śnieg, poturlała się i zatrzymała na drzewie. Podniosła wzrok. Usłyszała w górze szmer owadzych skrzydeł.

– Pierwszy, drugi, trzeci – liczyła tych, którzy przelecieli. Wydawało jej się, że powinno być ich siedmiu. – Czwarty, piąty...

Nasłuchiwała. Cisza.

Może się pomyliłam, może było ich tylko pięciu, uznała i podniosła się z ziemi. To był błąd. Dwaj Myśliwi pojawili się znikąd. Zlecieli z koron drzew i złożyli skrzydła.

– Jest i Pani Klątwa – przemówiły zuwaczki pierwszego.

– Mamy rozkaz unicestwić – dodał drugi.

Zbliżyli się obaj.

Cofnęła się pod sam dąb.

– Może Pani zamknąć oczy. – Pierwszy przekrzywił głowę i uniósł strzelbę.  
– Będzie bolało.

Drugi również uniósł strzelbę. Patrzyli na nią czarnymi, owadzimi oczami. Nie zamknę, powiedziała w myśli, umrę z godnością.

Przymrużyła oczy. Kiedy już mieli wystrzelić, coś zagruchało na gałęzi. Myśliwi spojrzeli w górę. I wtedy na dół zeskoczył Głupi Anioł. Stał między dziewczyną a napastnikami.

– Gru, gru – przemówił. – Ot co skrzywdzić jej nie możecie, czy wiecie? – Przechylił głowę.

– Odsuń się, głupcze – rozkazał Ludzki Myśliwy. – Inaczej unicestwimy również ciebie.

Anioł odwrócił się do Pani Kłątwy i powtórzył zdanie, które wypowiedział podczas ich pierwszego spotkania:

– Zapomniałem, kim, czym chciałem być i byłem, czym się stałem. Wypróbować muszę się. Czy pomoże tej anielskiej musze?

Przytaknęła. Ludzcy Myśliwi, gdyby mieli brwi, unieśliby je teraz w zdziwieniu. Głupi Anioł nagle stanął w płomieniach i przeobraził się jak Feniks wstający z popiołów. Stał się potężnym Aniołem, jego napierśnik lśnił, gniewne rysy budziły grozę, mocarne, białe skrzydła rozpostarły się, a płonący miecz ściał głowy przeciwnikom. Ciała bezwładnie upadły na śnieg. Anioł odwrócił się do dziewczyny.

– Dziękuję ci. – Ukłonił się. Biło od niego dostojność i siła. – Dzięki tobie przypomniałem sobie, kim jestem. Jestem obrońcą, jestem Aniołem. Przylatuję chronić przed złym, zawsze na wezwanie. Wezwałaś mnie. Teraz mogę odlecieć tam, skąd pochodzę.

Nie odpowiedziała. Patrzyła tylko, urzeczona, na potężnego Anioła. Na istotę nie z tego świata.

– Nie trać nadziei – rzekł. – Na każdego przychodzi czas powrotu na właściwą drogę i przypomnienia sobie, kim się jest, Adrianno.

Drgnęła na dźwięk tego imienia.

Anioł rzucił jej ostatnie spojrzenie. Potem wzbil się w przestworza.

\*

Szła znajomą leśną ścieżką. W oddali widziała chatę, którą opuściła nie tak dawno temu.

– Nareszcie bezpieczna – powiedziała do siebie i ruszyła naprzód.

Nie dostrzegła cienia, który przemknął za jej plecami, zostawiając po sobie zapach róż.

\*

Do chaty Swawełka dotarła późnym wieczorem, zanim podniosły się mgły. Widziała, jak ze środka bije blask kominka. Widziała cienie trzech postaci. Każdy kolejny cień był większy od pozostałych.

– Oj, żyjesz! – Swawełkowi opadła szczeka, kiedy Kłątwa weszła do środka. – To znaczy... Cieszę się, że nic ci się nie stało.

– Jestem cała... To długa historia. – Zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się po pomieszczeniu. Nic się nie zmieniło od ostatniego razu. Tylko miejsca było mniej. Przy kominku siedzieli Dale i Trupojada. – Jak wam się udało uciec?

– Pościg trwał prawie do samej chaty – odparł Dale, nie podnosząc się z krzesła. Zobaczyła, że obie nogi ma strasznie poranione i owinięte opatrunkiem, który powoli zabarwiał się na bordowo. – To? Nic takiego. Trochę mnie pokaleczyli, ale wyliżę się. Gdyby nie nasz nowy towarzysz, byłoby ze mną znacznie gorzej.

Spojrzała na Trupojada. Wyglądał... inaczej. Lewą rękę, którą stracił na stosie, zastąpił ręką Ludzkiego Myśliwego.

– Myślałem też o skrzydłach, ale wyglądałbym jak wróżka – burknął, a dziewczyna uśmiechnęła się.

– Siadaj, siadaj – zachęcił gospodarz i nalał jej herbaty z wiśniówką. Lub też wiśniówki z odrobiną herbaty.

– Co teraz? – spytała, kiedy siedzieli wszyscy w pomieszczeniu, przy świetle kominka, a za oknem panowała czarna noc, wypełniona już nie tak straszną mgłą.

– Udało nam się zabić kilku morłogów i poważnie okaleczyć Septimusa, nie wspominając o dziesiątkach martwych gryfitów i Ludzkich Myśliwych – podsumował Swawełek. – Potem nasi szybko się ukryli. Dzisiaj będziemy tu bezpieczni, ale nad ranem musimy opuścić kryjówkę. Coś czuję, że wypuszczą za nami charty. W każdej chwili możemy zostać zdekonspirowani. Tylko na moment oddaliliśmy od siebie wielkie niebezpieczeństwo – dodał. – A jutro planujemy uderzyć na Vermiserium. Zechcesz do nas dołączyć?

– Z chęcią – odpowiedziała i zawiesiła głos. – Z chęcią bym to zrobiła, ale na mnie chyba już pora. Muszę wyruszyć w dalszą drogę.

– Jak to? – Swawełek nie zrozumiał.

– Chcę, żebyś wyciągnął mi to z głowy – odparła. – Wiem już, że nie jestem Panią Kłątwa. Jestem kimś innym. I będę mogła wrócić, kiedy... – Dotknęła czoła. Pokiwał głową.

Rozpięła łańcuszek i podsunęła fiolkę z Esencją Trupojadowi.

– Proszę, mnie już się nie przyda, a tobie na pewno pomoże.

– Dziękuję. – Chciał wstać, ale powstrzymała go gestem.

- Spokojnie, tym razem wolę mieć czym oddychać.  
Znowu zapanowała cisza.
- W takim razie kiedy zamierzasz odejść? – spytał Dale.
- Niezwłocznie – odpowiedziała. – Czuję, że mam mało czasu.

\*

Leżała na stole. Pożegnała się ze wszystkimi, utuliła Dale'a, Swawelka, delikatnie objęła Trupojada.

– Nie wiem, co się potem stanie – powiedział vermisyta. – Może zaśniesz i już się nie obudzisz, nie wiedząc nawet, że żyjesz snem. Może zobaczysz świat takim, jakim jest naprawdę. A może odkryjesz swoją tajemnicę, poznasz, kim tak naprawdę jest Pani Klątwa. I będziesz odkrywać to dzień po dniu, rok po roku.

– Kto to wie, Swawelku – odparła. – Niezależnie od wszystkiego jestem gotowa podjąć ryzyko. Nie mam innej drogi.

– Oj, dobrze – przytaknął i podał jej kubek ze śmierdzącą substancją. – Musisz to wypić, potem zapadniesz w głęboki sen. A kiedy się obudzisz... Będzie po wszystkim. Gotowa?

– Gotowa.

Wypiła gorzką zawartość kubka, a potem zaczęła odpływać.

Nagle odniosła wrażenie, że wyczuwa niepokojącą obecność. Omerta! Ona tu jest!

Ale nie miała siły niczego powiedzieć, ostrzec ich.

Wszystko momentalnie straciło znaczenie. Niepokój odszedł, nadeszła błogość. Zobaczyła twarze Swawelka i Dale'a, i skrawki różnych twarzy na obliczu Trupojada.

*Ciekawe, jak wyglądasz naprawdę?*

I była to jej ostatnia myśl, nim zapadła w ciemność.



## Epilog

Czwartego lutego o godzinie piętnastej piętnaście Adrianna wybudziła się na dobre. Bardzo szybko przypomniała sobie, kim jest i od razu rozpoznała miejsce, w którym się znajdowała. Ku swojej uldze nie czuła bólu, jak ostatnio. Mogła nawet otworzyć obie powieki. Nogi wciąż nie były sprawne. O godzinie piętnastej dwadzieścia weszła salowa, pięćdziesięcioletnia pani Halinka, i rutynowo poprawiła jej poduszkę. Była tak zaaferowana odcinkiem „Złotopolskich”, który leciał właśnie w pokoju dla salowych i pielęgniarek, że nie zwróciła uwagi na otwarte oczy Ady.

Dlatego też na pytanie dziewczyny o datę zareagowała klasycznie:

– Matko Boska!!! – I złapała się za serce.

O godzinie piętnastej trzydzieści Agnieszka, jak zwykle po zajęciach, przyszła odwiedzić Adę. Pogodziła się już z myślą, że przyjaciółka może nigdy się nie wybudzić. Jednak kiedy usłyszała harmider dochodzący z sali, w której leżała dziewczyna...

Pobiegła, przeczuwając najgorsze. Kiedy zaś stanęła w drzwiach i zobaczyła, że przy łóżku Ady kręcą się dwie pielęgniarki i lekarz...

– Aduś! – wykrzyknęła, a potem, nie zważając na nikogo, uściśnęła ją tak mocno jak nigdy.

Lekarz nie protestował.

Adrianna poczuła zapach fiołków.

– Znowu zmieniłaś szampon. – Uśmiechnęła się słabo.

– Tak... Obiecuj mi, że nigdy... już nigdy... – głos zaczął jej się łamać.

– Obiecuję, Aguś, masz moje słowo.

\*

Kiedy całe szaleństwo związane z wybudzeniem dziewczyny uspokoiło się, kiedy już tylko tydzień dzielił Adriannę od powrotu do domu, siedziała na wózku inwalidzkim w gabinecie lekarki, pani Kasi. Opowiadała jej dziwny sen.

– I wtedy się obudziłam – skończyła. – Wie pani, nikomu jeszcze o tym nie mówiłam. Nie chcę, żeby mnie wzięli za szurniętą, ale tak się zastanawiam... Czy wszyscy przechodzą przez coś podobnego, kiedy są w takim stanie... jak ja byłam?

– Zdecydowanie nie. – Pokręciła głową tamta. – Ale nie martw się. Uległaś poważnemu wypadkowi i miałaś rozległe obrażenia, również głowy. Przypuszczam... – Zamyśliła się. – Przypuszczam, że mogło dojść do zaburzenia postrzegania. Widzisz, masz nie tylko te pięć zmysłów, które znasz. Jest ich trochę

więcej. Istnieje zmysł kinestetyczny, który odpowiada za poczucie ruchu, propriocepcja, który daje nam poczucie tego, gdzie znajdują się nasze kończyny i jak nasze ciało umiejscowione jest w przestrzeni, termorecepcja, czyli zmysł odczuwania temperatury, nocycepcja, zmysł odczuwania bólu, nie mówiąc już o układzie przedsionkowym, który składa się ze zmysłu równowagi i przyspieszenia. Mogłaś je mieć chwilowo zaburzone. Ale na twoim miejscu nie zastanawiałabym się nad tym. Przed nami długa rehabilitacja i liczę na ciebie, Adrianno.

– Dam radę – odpowiedziała. – Jak już się obudziłam, to tak łatwo nie odpuszczę.

– Trzymam za słowo.

Ada już miała opuścić gabinet lekarki, kiedy coś ją tknęło. Musiała wiedzieć, czy absolutnie wszystko jej się przyśniło.

– Chciałam spytać o jeszcze jedną rzecz – zaczęła.

– Tak, Adrianno?

– Kiedy obudziłam się parę miesięcy temu, stał nade mną taki czarny kot – próbowała dobrać odpowiednie słowa. – Czy to też mi się tylko przywidziało?

– Czarny kot? – Spytała lekarka bardziej siebie niż dziewczynę. – Tak, kręcił się w okolicy jakiś czas temu. Przybłęda, jakich pełno. Możliwe, że dostał się do twojej sali oknem pod nieuwagę pielęgniarek albo ochrony. Ale nie kojarzę, żeby ostatnio pałętał się wokół szpitala.

– Rozumiem. – Ada kiwnęła głową z lekkim smutkiem.

– Chociaż... – Lekarka zaczęła coś sobie przypominać. – Chociaż wydaje mi się, że w dniu, kiedy się wybudziłaś, przemknął korytarzem szybki czarny kształt. Mógł to być kot. Wiele działo się tamtego dnia, dlatego nie poświęciłam szczególnej uwagi temu wydarzeniu. – A potem dodała już wyłącznie do siebie: – Muszę porozmawiać z ochroną, żeby dokładniej pilnowali, kogo wpuszczają na teren szpitala.

\*

Siedziała w swoim pokoju, na metalowym łóżku, pod białą pościelą z Ikei. Za nią paliły się lampki choinkowe. I mimo że Boże Narodzenie już dawno się skończyło, a dzisiaj zaczynała się Wielkanoc, postanowiła ich nie zdejmować.

Czytała lekturę szkolną na zaliczenie, opowiadanie *W nocy twarzą ku niebu* Cortazara. Choć nie mogła chodzić na zajęcia, nie chciała opuścić całego semestru. Do szkoły na razie nie mogła wrócić. Udało się przekonać nauczycieli, by od czasu do czasu zaglądali do niej, dawali zadania i przepytывali.

Biznes ojca znowu zaczął funkcjonować. Odkąd Ada się wybudziła, ojciec również stał się bardziej aktywny. Nie znaczy to, że zmienił się zupełnie. Wciąż miał masę paskudnych nawyków, ale coś jakby drgnęło.

Adrianna mogła nieznacznie poruszać nogami i odzyskała sprawność w innych częściach ciała. Co prawda przed nią były jeszcze długie miesiące ciężkiej pracy z rehabilitantem, ale nie zamierzała odpuszczać ani się załamywać.

Zdawała sobie sprawę, że nie wróci na tor gokartowy. W sumie to trochę jej zbrzydł. Na razie nie myślała o tym, czym będzie się zajmować w przyszłości. Chciała iść tam, gdzie nakaże jej serce.

Niektóre rzeczy wcale się nie zmieniły. Nadal była w szkole nielubiana. Nikt nawet jej nie odwiedzał. No, prawie nikt.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę! – zawołała. – O, Aguś! Jaka niespodzianka...

Blondwłosa dziewczyna zamknęła drzwi i ucałowała Adę z czułością.

– Nie mam dzisiaj wiele czasu, bo rodzina się zjeżdża, ale chciałam ci coś dać. – Nim sięgnęła do torebki, spytała jeszcze:

– Co tu tak cicho? – Włączyła radio. Odezwał się Wojciech Mann, zapowiadając kolejną piosenkę na antenie Trójki. – Tak lepiej.

Usiadła koło Ady i wyciągnęła trzy prezenty.

Pierwszym była świeczka o zapachu jabłka z cynamonem. Adrianna od razu ją zapaliła.

– A dwa kolejne znalazłam wczoraj na strychu, kiedy pomagałam sprzątać. – Wręczyła Adzie dwie figurki. – Pomyślałam, że mogą ci się spodobać.

Dziewczyna spojrzała na anioła ze złamanym skrzydłem i czarnego jak noc kota. Uśmiechnęła się.

– Dziękuję ci. – Pocałowała ją, a potem wtuliły się w siebie. Ada ścisnęła figurki, na nocnym stoliku paliła się świeczka, pachnąc jabłkami i cynamonem, a w tle grało radio.

Agnieszka przytuliła się mocniej.

– Aduś, zastanawiam się czasem, co z nami kiedyś będzie. To znaczy, jeżeli nasze drogi się w jakiś sposób rozejdą albo stwierdzisz nagle, że wolisz facetów...

– Aga. – Dziewczyna pogłaskała ją po czole. – To nie jest ważne. Zobaczmy, nie ma co się martwić na zapas. Ważne, że leżymy tu razem. Teraz. Że w tle gra przyjemny utwór. Że jesteś dla mnie tą osobą, którą jesteś. I że w tym momencie to jest właśnie moje miejsce w całym wszechświecie.

– A teraz ćsii, Aguś. – Pocałowała jej włosy, pachniały wiśniami. – Posłuchajmy piosenki. Nie wiem, czemu, ale jak jej słucham, jest mi po prostu błogo.

Przytuliły się jeszcze mocniej. W głośnikach brzmiał głos Janusza Radka:

*Jeżeli my duchy płoche  
Obraziliśmy was trochę  
Wiedźcie, że to sen jedynie*

*I zaraz jak sen przeminie  
Niech ta cała sprawa błaha  
Nad wami jak sen się waha  
Trwajcie w tym śnie jak w zabawie  
A co złe to ja naprawię...*

\*

Zasnęły, wtulone w siebie.

\*

– Jesteś pewna, że już nigdy się nie obudzi, Omerto?  
– Z pewnością, Septimusię.

*Wieczór, 30 czerwca 2014 roku.*

**Koniec**

# ZŁE

Michał J. Chmielewski



Baskin Zachodnie, miasteczko na polskim wybrzeżu, wydaje się zbyt małe, aby pomieści całe zło, jakie się w nim dzieje. Zło czynione przez człowieka człowiekowi, gdyż w tym akurat przypadku niepotrzebna jest pomoc diabłów, demonów czy jakichkolwiek innych istot.

Jeden dzień z życia rodziny Jasińskich. Dwadzieścia cztery godziny koszmaru, jaki rozgrywa się w setkach miast, miasteczek i wsi. Andrzej – ojciec, alkoholik i oprawca swojej rodziny. Iwona – matka, ofiara przemocy domowej. Justyna, Kryspin i Michał – maltretowane i okaleczone psychicznie dzieci, dla których normalność to marzenie. Tomasz, Marcin i Krzysztof – mimowolni uczestnicy dramatu.

Polskie Fargo, bracia Coenowie nie powstydziliby się tej opowieści.

*„Michał Chmielewski pisze mocno i ciekawie, ma surowy styl i nie bawi się w niepotrzebny manieryzm. Jego historia jest brutalna, tak jak brutalna może być małomiasteczkowa rzeczywistość, pod płaszczykiem prowincjonalnej nudy skrywająca historię śmierdzącej alkoholem przemocy domowej, rodzicielskiego okrucieństwa i złamanego dzieciństwa. Akcja powieści rozgrywa się w ciągu dwudziestu czterech godzin, znacznie mniej czasu potrzeba, żeby książkę przeczytać. Jednak to, co po niej zostaje, pamięta się długo.”*

**Jan Krasnowolski, autor Klatki**

„Wystarczy, by dobrzy ludzie nic nie robili, a zło zatriumfuje” - Edmund  
Burke

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/zle-michal-j-chmielewski/>

## Betelowa rebelia: Spisek

Daniel Nogal



W Betelii, leżącej na krańcu świata tropikalnej kolonii, ścierają się interesy dwóch mocarstw: Regalium i Septium. W ich cieniu rozgrywa się prawdziwa walka pomiędzy zupełnie nowymi graczami: wszechwładnym Bankiem Rotów i tajemniczą Lożą Mechanistów. Napiętą sytuację komplikuje antykrólewska rebelia, wzniecona przez szlachetnych idealistów, dążących do wyzwolenia kolonii spod imperialnej władzy Regalium.

W „betelową rebelię” zaangażuje się, ku własnemu zdziwieniu, nałogowy hazardzista Angus, odważna dziennikarka Marta Brus i wielu innych. Będzie wśród nich szalony profesor Fergus, badający zwyczaje nagów, gadzich mieszkańców Betelii. Tłem dla losów rewolucji okażą się podróże przez malowniczą dżunglę, zapomniane świątynie, niezwykle wynalazki, pirackie zamki na rajskiej Tygrysiej Wyspie...

Betelia stanie w ogniu! Jaki będzie los rebeliantów?

*„Porządne, awanturnicze fantasy. Jest tu bunt i spisek, są walki i pościgi oraz twardzi bohaterowie. Nogal stworzył wciągający świat, a to dopiero początek serii!”*

**Marcin Jamiolkowski**, autor *Okup krwi*, *Order*, *Bezseni* i *Keller*

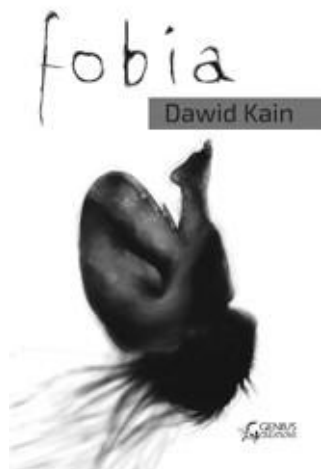
<http://geniuscreations.pl/ksiazki/betelowa-rebelia-spisek-daniel-nogal/>





## Fobia

### Dawid Kain



Bliska przyszłość, w której ludzie zasłonili sobie świat nakładkami nowej sieci – Immersjonetu, żyjąc w gigantycznych kompleksach mieszkalnych, z całodobową obsługą dronów i botów.

Magdalena Kordowa musiała porzucić studia i znajomych, by zaopiekować się ojcem – pisarzem, który postradał zmysły w pogoni za arcydziełem. Ten pewnego dnia zniknął, zostawiając po sobie jedynie ostatnią powieść, „Kres Komunikacji” skrywającą wskazówki dotyczące swojej niewytłumaczalnej ucieczki.

Zrozpaczona córka rozpoczyna poszukiwania, na przeszkodzie stoi jednak pewien „drobny” problem. Magda, jak wielu jej rówieśników, cierpi na batofobię, skrajną odmianę lęku przed głębią.

Czy można przeszukać cały Kraków bojąc się wyjść z domu?

Gdzie tak naprawdę znajduje się zmierzający ku zagładzie świat równoległy, dotknięty epidemią milczenia?

I jak spojrzeć w otchłań myśli szalonego ojca, wiedząc że bezpieczne jest tylko ślizganie się po powierzchni rzeczywistości?

Na te i inne pytanie odpowie wyłącznie „Fobia”.

*„Fobia to zaskakująca powieść, w której z każdą kolejną stroną treść kształtuje formę i na odwrót. Można mówić, że takiego eksperymentu w polskiej literaturze jeszcze nie było, ale po co? Dawid Kain nie potrzebuje reklamy,*

wystarczy, że po raz kolejny udowadnia, że jego wyobraźnia nie zna granic.”

**Aleksandra Zielińska**, autorka powieści *Przypadek Alicji*

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/fobia-dawid-kain/>

## **Kotku, jestem w ogniu**

### **Dawid Kain**



Życie w świecie opanowanym przez książkoholików nie jest łatwe, ale Edward Egan, mieszkaniec Postmoderny i nieuleczalny utracjusz, stara się skupiać na jego jasnych stronach. Dostarczając czytelniczym narkomanom dobrej jakości teksty, pisane przez przyjaciela, szalonego Zampano, jest w stanie zarobić tyle, by starczyło na używki, kobiety i oczywiście kolejne lektury.

Jednak pewnego dnia wszystko się zmienia. Edward budzi się w jakimś zimnym, obcym miejscu, daleko od domu, imprez i przyjaciół. Nie pamięta, jak tam trafił. Na dodatek pewien natręt namawia go do szukania rzekomo najważniejszego dzieła literackiego w historii, zwanego Raportem. Czy pojedyncza książka jest w stanie odpowiedzieć na każde z kluczowych dla naszej egzystencji pytań? Gdzie ją znaleźć i czy w ogóle warto?

Powieść o czytaniu, do czytania. Zupełnie inna niż wszystkie.

„(...) wielka literacka zabawa z czytelnikami, a zarazem uniwersum, z

*którego wcale nie chce się wychodzić.”*

**Milena Buszkiewicz**, redaktor Booklips

*„Równie wciągająca, choć wymagającego skupienia, opowieść o literaturze.”*

**Robert Ziębiński**, redaktor Dzika Banda

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/kotku-jestem-w-ogniu-dawid-kain/>

**Po drugiej stronie**

**Rafał Cuprjak**



O czym jest moja książka? O tym, że maluję obrazy. Tworzę coś z niczego, czyli w pewnym sensie jestem bogiem, ale nie tym z Paktofoniki, i nie Jezusem Chrystusem, nawet nie Zeusem, tylko takim małym bogiem, bożkiem. Kiedy zasypiam, obrazy się budzą, życie w nich toczy się normalnie, tak jak u nas, tam też

jedzą, płodzą dzieci, łożą wodę, kłócą się, jarają gandzię. Taki świat wykreowałem.

Usadawiłem go w oddalonej od szlaku samotnej góralskiej chatce, gdzieś na końcu świata, w Bieszczadach, pomiędzy Cisną a Wetliną. To na pierwszy rzut oka zwyczajne schronisko tak naprawdę jest azylem pełnym ludzi uciekających przed wojną, bestialstwem getta, przed krwią na dłoniach, uzależnieniem od cyberseksu, chorą ambicją, wypłukującą z mózgu resztki wolności i zdrowego rozsądku. To miejsce jak magnes przyciąga moich bohaterów, wyławiając ich z różnych czasów i miejsc.

Łączę i mieszam gatunki, romans z kryminałem, horror z erotyką, poezję z fantastyką; przy ciągłym akompaniamencie muzyki, od jazzu i bluesa po brudny i sprzężony punk rock. Zadaję wiele pytań, na które odpowiedź jest zawsze taka sama – Człowiek jest niezniszczalny. Ale czy to dobrze?

Milej lektury!

### **Rafał Cuprjak**

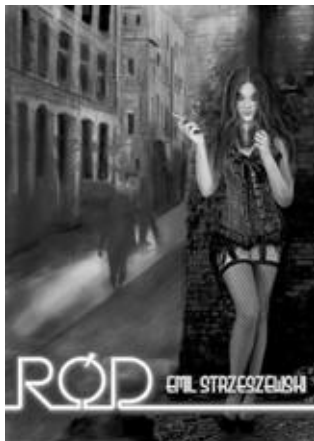
*„Po drugiej stronie” to magiczna opowieść. Coś pośredniego między dusznym, niespokojnym snem pijaka, a żydowskim mistycyzmem, coś co wymachuje przed nosem oniryczną tajemnicą, a jednocześnie jest mocne, surowe i namacalnie prawdziwe. Wciągająca książka. Podobają mi się bohaterowie – są z prawdziwego mięsa i ciepłej krwi.”*

**Marcin Jamiolkowski**, autor *Okupu krwi*, *Orderu* i *Kellera*

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/po-drugiej-stronie-rafal-cuprjak/>

## Ród

Emil Strzeszewski



Książka, która zwala z nóg niczym apateja!

Gdzieś w naszej lub nie naszej rzeczywistości istnieje Miasto, które z pozoru tętni życiem. Bezimienni bohaterowie zmagają się z codziennością skrywającą całkowity rozkład społeczeństwa i moralności. Zdegenerowane miasto jednak upomina się o każdego z nich i zmusza do dokonania najistotniejszych wyborów.

Wolna wola zdaje się być jednak iluzją, a jedynym ratunkiem jest wyciszenie, ucieczka w stan beznamiętnej konsumpcji rzeczywistości. Ale czy takie życie warto jest kontynuowania? Być czy trwać?

*„To wspaniale, że nareszcie doczekaliśmy się na kogoś takiego, jak Strzeszewski. Świetne pióro, odważne i oryginalne pomysły, punkowa zadziorność – „Ród” to brawurowa i bezwzględna literatura.”*

**Paweł Majka**, autor bestsellerowego „Metro 2033: Dzielnica obiecana”, zdobywca literackiej nagrody im. Jerzego Żuławskiego i nominowany do nagrody im. Janusza A. Zajdla za „Pokój światów”

*„Romans z „Rodem” Emila rozpoczął się banalnie – od uwiedzenia. Zostałem uwiedziony. I chociaż wydawałoby się, że za stary jestem na miłość od pierwszego wejrzenia, to jednak dałem się zauroczyć tej historii od pierwszych*

*akapitów.”*

**Marcin Jamiolkowski**, autor „Okupu krwi”

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/rod-emil-strzeszewski/>

## CK Monogatari

Artur Laisen



W kieleckiej firmie KZDM-Nagita zawrzało. Z centrali w Tokio przysłano Sho Kyubimori, ekscentrycznego wiceprezesa, pragnącego zrealizować monumentalny i tajemniczy projekt architektoniczny. Jego śladem podąża enigmatyczna emisariuszka klanu Oda – Yuki Yamada oraz śmiertelnie niebezpieczny egzekutor Yakuzy – pan Toru.

I nie są to bynajmniej najbardziej egzotyczni przybysze z Kraju Kwitnącej Wiśni. Wkrótce w prowincjonalną rzeczywistość wędrują się też *yūrei*, *kitsune* i inni przedstawiciele japońskiego świata magii, duchów i demonów...

Piotr Jaskulski, dyrektor finansowy firmy, wiodący do tej pory spokojne i monotonne życie, nieoczekiwanie staje przed iście mefistofelesowym wyborem. Od tego, czego naprawdę pragnie i jaką cenę jest gotów zapłacić za spełnienie marzeń, zależeć będą losy całego miasta.

„CK Monogatari” to opowieść o samotności i przemijaniu, o naszym miejscu w czasie i przestrzeni, a także, przede wszystkim, o gubieniu i odnajdywaniu samych siebie.

Metafizyczny thriller nie tylko dla miłośników fantastyki!

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/ck-monogatari-artur-laisen/>







KUPUJ W  
**madbooks.pl**



